

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

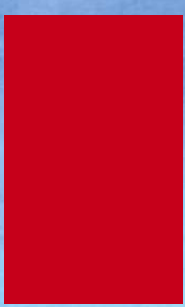
WOLNA
SOBOTA

- Rosjanie to na pewno papierowy tygrys? • Malajkat nie chce w kosmos • Czy Oslo powinno się dzielić z Ukrainą? • Komu Netflix nie płaci wynagrodzenia?



WYSOKIE
OBCASY

Joanna Krochmalska
Samotna matka
na wojnie



GAZETA
wyborcza
nie ma wolności bez solidarności

wyborcza.pl



Bijące serce partii

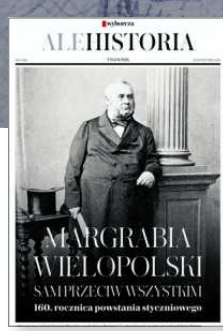
Co się dzieje z polską policją?

rys. MARCIN BONDANOWICZ

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198

ISSN 0860-908X
03>
9 770860 908167

Margrabia Wielopolski
Sam przeciw wszystkim,
czyli 160. rocznica powstania
styczniowego



Edukacyjna klęska
Pokolenie „kamieni rzuconych
na szaniec” wychowane
na kulcie powstania

Rusinek:
Czy minister
Czarnek mógłby
być Zagłobą? ►9

KOLEJNY OLIGARCHA
NIE ŻYJE. WYPADŁ
PRZEZ OKNO.

CO W TYM
DZIWNEGO?

TO BYŁO OKNO W PIWNICY.

wyborcza.pl andrzejjeszke.pl

Top 2
wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Wtorek

Czekanie na wyrok

1 Trybunał Konstytucyjny ma ocenić, czy unijne przepisy pozwalające Trybunałowi Sprawiedliwości UE ukarać Polskę, są konstytucyjne. Autor wniosku minister Ziobro twierdzi, że nie. TK zajmuje się sprawą od lutego, kolejne terminy odwoływano. Wreszcie skład zebrał się w październiku – na godzinę – po czym Julia Przyłębska ogłosiła przerwę. Komisja Europejska cały czas potrąca kary i będzie mogła to robić niezależnie od orzeczenia TK.



FOT. PRZEMEK WIERZCHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL, RICH HEIN

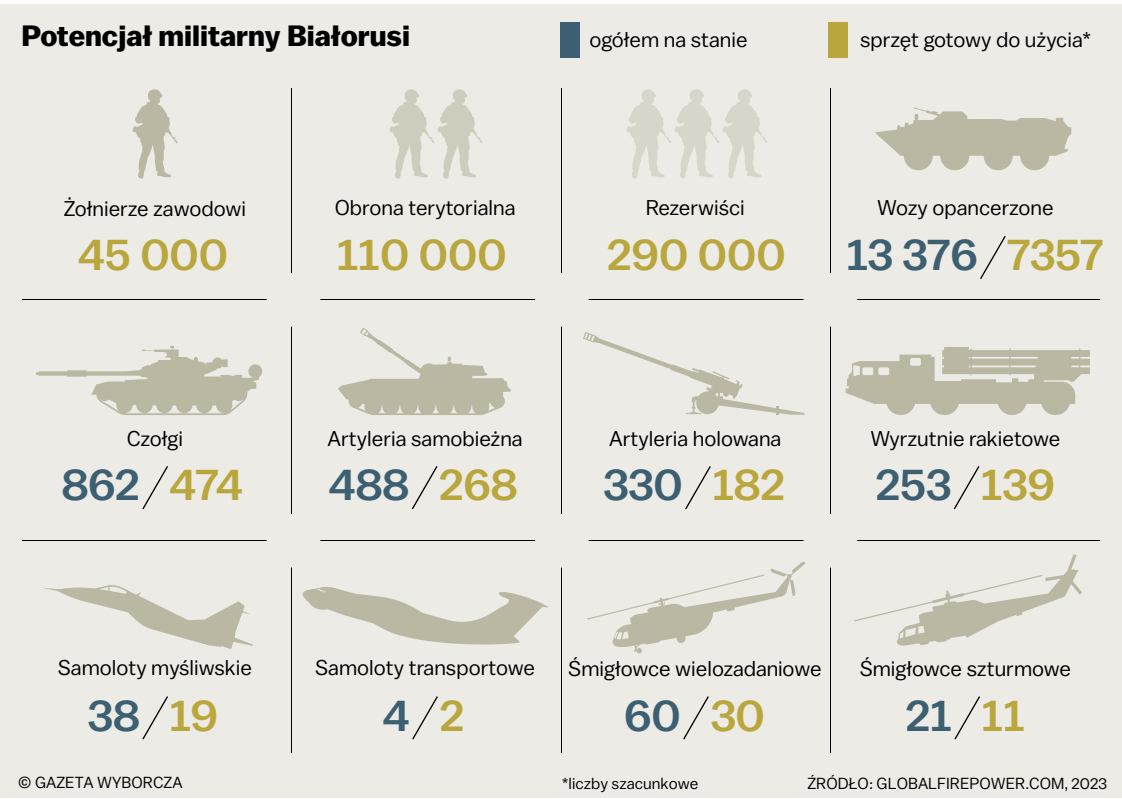
Środa

Karski na scenie

2 „Zapamiętaj. Świadekstwo Jana Karskiego” w reżyserii Dereka Goldmana z Davidem Strathairnem w roli Karskiego to spektakl stworzony przez The Laboratory for Global Performance and Politics, który prapremierę miał w 2019 r. Monodram zostanie pokazany w Warszawie (Teatr Dramatyczny – 25 i 26 stycznia), Łodzi (Artkombinat – 29 stycznia), Krakowie (Teatr Variete – 1 lutego) oraz Poznaniu (Aula Artis – 4 lutego).



Wykres tygodnia
A jeśli Putin zmusi ich do wojny?



Byle dopiec Bidenowi. Albo Trumpowi

Amerykę uratuje więcej partii

Republikanie biorą na celownik Departament Sprawiedliwości, FBI i prokuratora, który tropi przestępstwa Trumpa

Jarkowiec



W styczniu ubiegłego roku, kilkanaście godzin przed napaścią trumpistów na Kapitol, Jim Jordan, republikański kongresmen z Ohio, wysłał serię SMS-ów do Białego Domu. Instruował ludzi administracji, jak – przy pomocy wiceprezydenta Mike’a Pence’a – zablokować wybór Joego Bidena. Jordan należy do najbardziej niezłomnych zwolenników zarówno poprzedniego prezydenta, jak i tezy, że poprzedni prezydent nadal jest prezydentem, a obecny to uzurpator. Takich republikanów jest w Kongresie co niemiara, ale Jordan jest ważniejszy, bo właśnie rozpoczyna szefowanie nowej komisji. Jej pełna nazwa: specjalna podkomisja komisji sprawiedliwości Izby Reprezentantów Stanów Zjednoczonych do zbadania wykorzystywania rządu federalnego w celu ataków.

Brzmi równie groźnie, co niejasno, i takie też będą działania tej instytucji. Ma ona bowiem prowadzić dochodzenie w sprawie innych organów prowadzących dochodzenia. Na jej celowniku znalazły się Departament Sprawiedliwości, podlegająca mu FBI i specjalny prokurator Jack Smith, który tropi możliwe przestępstwa Trumpa. Jednak głównym zadaniem, jakie stawia sobie Jordan, jest prześwietlenie innej kongresowej komisji – prowadzącej śledztwo wyjaśniające zdarzenia z 6 stycznia 2022 r. Dobra komisja Jordana chce pokazać, że prace złej komisji Demo-

kratów były inspirowane przez FBI i inne agencje określane wspólnym mianem „deep state” (w wolnym tłumaczeniu: państwo podziemne tajnych służb). Działając pod rękę z demokratycznymi kongresmenami, deep state toczy wojnę przeciw konserwatywnym obywatelom Ameryki.

Specjalne komisje kongresowe zaczęły się rozmnażać już sto lat temu, kiedy egzekutywa coraz odważniej rozpychała się w ramach konstytucyjnego systemu trójpodziału władzy. Parlamentarzyści z pomocą komisji chcieli skuteczniej patrzeć na ręce prezydentowi i podległym mu instytucjom. Wkrótce również prezydenci zaczęli powoływać komisje. Jedną z nich była tzw. komisja Kenera stworzona przez Lyndona Johnsona w 1967 r., gdy przez ulice amerykańskich miast przetaczała się fala zamieszek, głównie na tle rasowym. Ustalenia komisji okazały się rewolucyjne. Po raz pierwszy władza szczegółowo udokumentowała fakt, że USA są państwem rasistowskim w sensie systemowym: na poziomie edukacji, ochrony zdrowia, mieszkalnictwa, wymiaru sprawiedliwości. Wnioski były na tyle druzgocące, że politycy, łącznie z Johnsonem, nie chcieli przyjąć ich do wiadomości.

Johnson jednak przysłużył się ojczyźnie nie tylko tym, że komisję powołał, ale także tym, jak zdefiniował jej misję: miała ustalić, „co się zdarzyło, dlaczego się zdarzyło i co można zrobić, aby nie zdarzyło się nigdy więcej”. W idealnym świecie taka powinna być rola parlamentarnych komisji – opisać chorobę, zdiagnozować jej przyczyny, przepisać leki. Słowem: pomóc leczyć państwo.

Jordan przyrównuje swoją komisję do innej, która odmieniła Amerykę.

W 1975 r., po niszczącej dla demokracji erze Nixona, Senat stworzył komisję do zbadania działalności CIA, FBI i innych służb. Przewodniczył jej demokratyczny senator Frank Church. Śledztwo komisji Churcha pokazało, że agencje wywiadowcze prowadziły zmasowaną inwigilację obywateli, planowały i przeprowadzały spiski. Church i jego ludzie odkryli przestępczy charakter FBI. Pod władzą Edgara Hoovera policja federalna przez kilka dekad działała jak Stasi, włącznie z organizowaniem zamachów na domniemanych wrogów państwa. Jordan twierdzi, że dziś jest podobnie. Teraz spiski zawiązywane są przeciw konserwatywnym, religijnym i białym Amerykanom.

Kiedyś komisje parlamentarne były po to, żeby dociekać „co się zdarzyło, dlaczego się zdarzyło i co można zrobić, aby nie zdarzyło się nigdy więcej”. Dziś są po to, żeby gnębić przeciwnika

Gdy powstała komisja Churcha, kraj też był w stanie wojny kulturowej. Ale na poziomie polityki zdolność do kompromisu była wyższa. Komisja działała z poparciem obu partii. System dwupartyjny był wtedy w Stanach jedynie umowny. W praktyce istniała trzecia partia – rozległe centrum umiarkowanych republikanów i umiarkowanych demokratów. To w tej przestrzeni zbierano głosy pod projekty reformujące państwo. Dziś centrowe podwórko jest zaorane i zaminowane. Kto na nie

wejdzie, wylatuje w powietrze – w polityczny niebyt, jak niedawno Liz Cheney, republikanka, która ośmieliła się współdziałać z demokratami.

Komisje nie powstają dziś, żeby dociekać, „co się zdarzyło, dlaczego się zdarzyło i co można zrobić, aby nie zdarzyło się nigdy więcej”, lecz po to, żeby gnębić przeciwnika. Komisja Jordana będzie rozmywać odpowiedzialność Trumpa. Przeciężni obywatele nie polapią się w prawniczych napażkach między komisją a Departamentem Sprawiedliwości. A ci, którzy wierzą w jedną z dwóch politycznych prawd, nadal będą wierzyć.

Historyczka Jill Lepore, analizując w „New Yorkerze” raport komisji, która wyjaśnia atak na Kapitol, też nie pozostawia na nim suchej nitki. Raport nie diagnozuje problemu i nie proponuje remediów, tylko na setkach stron do znudzenia wskazuje palcem: to wszystko wina Trumpa. Nie pada kluczowe pytanie: dlaczego ludzie dali się uwieść populistycznej nagonce i kłamstwu?

Odpowiedzi byłoby wiele. Jedna z nich dotyczy struktury politycznej państwa i zawiera przestrożę dla Polski. Do wygaszania konfliktu potrzebne jest większe rozbicie sceny politycznej, które wymusza zawieranie koalicji. Taki model momentami przynosi chaos, ale w długiej perspektywie działa kompromisotwórczo. Z mniejszym lub większym powodzeniem funkcjonuje w większości krajów Europy. Polaryzacja jest w nich mniejsza niż u nas. My podążamy ścieżką amerykańską – coraz bardziej zabetonowanego podziału dwupartyjnego. Jeśli z niej nie zawrócimy – co wymaga zmiany ordynacji – czekają nas śledztwa jednych w sprawie śledztw tych drugich. ●

Maciej Jarkowiec

1

Z ogromnym żalem patrzę na to, co się dzieje w policji – zaczyna posłanka koła parlamentarnego Porozumienie Jarosława Gowina i była policjantka w stopniu nadkomisarza Magdalena Sroka. – Służbę dotknęła czarna seria zdarzeń absolutnie niedopuszczalnych. Zastanawiam się, dlaczego do tego dochodzi...

My też się zastanówmy. Zacznijmy od Ciechocinka w Kujawsko-Pomorskiem. Nadwiślański skraj miasteczka, środek lata 2019. Policjanci odkrywają uprawę konopi. Liczą krzaki ręcznie – wychodzi 15 tys. sztuk. Komunikat komendy miejskiej w Aleksandrowie Kujawskim głosi, że „zabezpieczono rośliny od 30 cm do 1,5 m wysokości”, a z ich pędów „można uzyskać około 330 kg marihuany o wartości 5,5 mln zł”. W mediach padają słowa o „największej uprawie wykrytej kiedykolwiek w Europie”. Płyną gratulacje z Komendy Wojewódzkiej w Bydgoszczy i z Warszawy. Są nagrody finansowe. Szeregowy policjant, który odkrył pole, wkrótce awansuje.

Wcześniej wszyscy funkcjonariusze z Aleksandrowa – ściągnięci w trybie alarmowym – pielą zagon z krzaków. Asystuje im komendant powiatowy Andrzej Klos. Radiowozy kursują między Ciechocinkiem i Aleksandrowem, wywożąc zielsko. Próbkę wędrują do laboratorium kryminalistycznego w Bydgoszczy. Tymczasem nad Wisłą zjawia się właściciel gruntu. Zostaje zaproszony do komendy, rozmowa zmienia się w przesłuchanie. Rolnik tłumaczy, że to, co wyrosło na jego czterech hektarach, to nie konopie indyjskie, ale siewne – uprawiane w tej okolicy jeszcze w PRL, wówczas do produkcji sznurów. Wszyscy okoliczni mieszkańcy o tym wiedzą. Mimo to policja zawiadamia prokuraturę.

W Bydgoszczy ustalają, że zawartość narkotyzującego tetrahydrokannabinolu w liściach z Ciechocinka nie przekracza ustawowych dwóch promili. Zwykle chwasty. Policjanci z Aleksandrowa proszą jednak, by pracownia wstrzymała się z ogłoszeniem wyników – dowiozą nowe próbki. Na pole rusza osobiście szef powiatowego wydziału kryminalnego i... bingo! W nowych próbkach zawartość THC trzykrotnie przekracza 0,2 proc. Coś tu jednak nie gra: liście i pąki z drugiej partii są szare i suche, a powinny być zielone tak samo jak te badane dzień wcześniej. Mimo to prokuratura stawia rolnikowi zarzut uprawy *Cannabis indica* oraz wytwarzania narkotyków. Kujawska prasa pisze o nim „polski Pablo Escobar”. Grozi mu co najmniej 15 lat. Przerażony najmuje adwokata, który doprowadza do kolejnego badania – teraz aż 35 próbek. Wybiera je z kupy zielska komisja – delegat policji, prokuratury i obrońca rolnika. Trzecie badanie nie pozostawia wątpliwości – wszystkie zawierają poniżej 0,2 proc. THC.

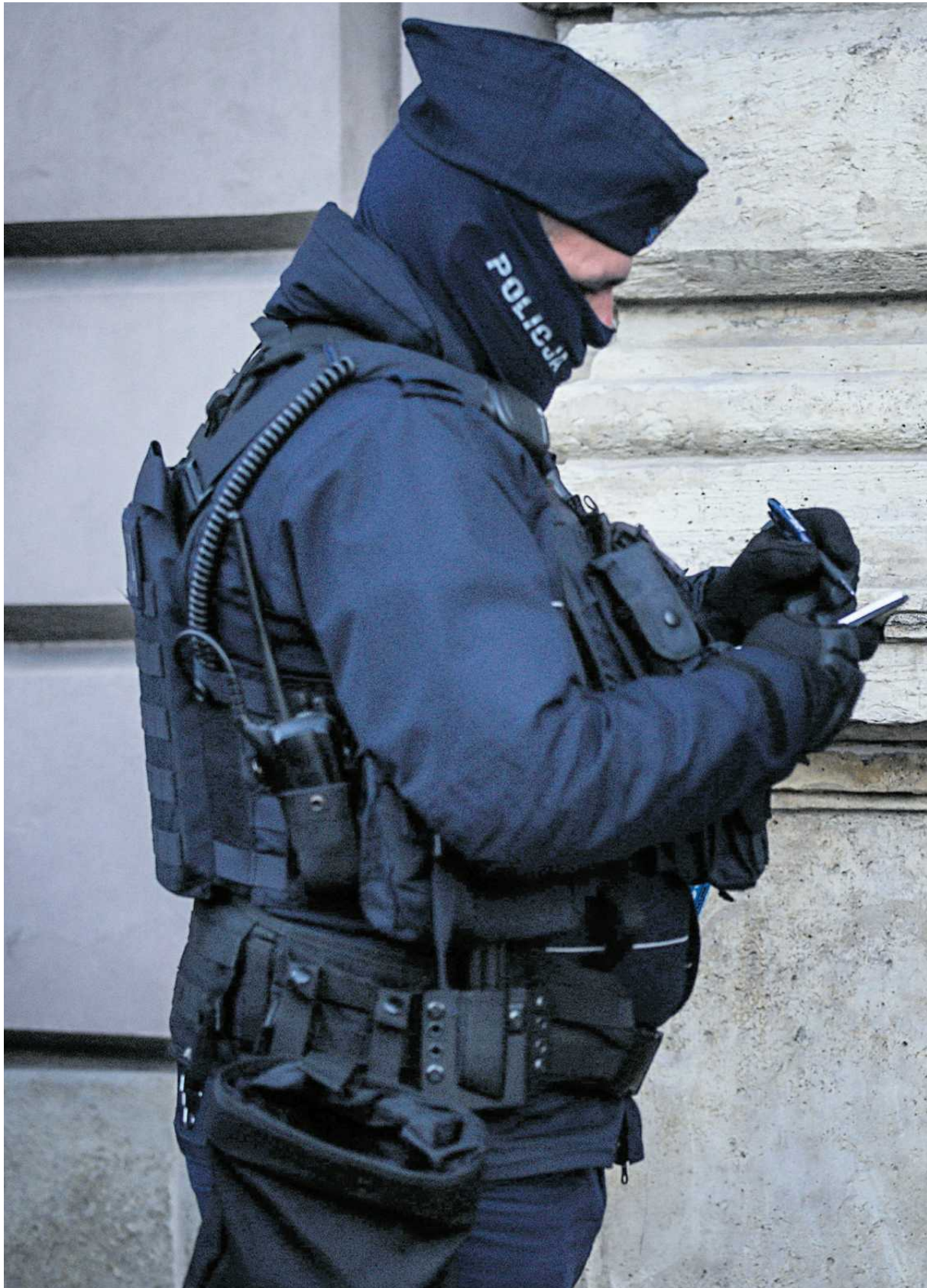
W aleksandrowskiej komendzie gorąco. Komendant Klos prosi prokuratora o zgodę na „bezwzględne zniszczenie” krzewów ściętych nad Wisłą. Szef wydziału kryminalnego odchodzi. Śledztwo zostaje umorzone. Jeden z kujawskich policjantów tłumaczy reporterowi TVN, że cała akcja miała być „strzałem w statystykę”. Chodziło o to, by wykryć i zniszczyć w blasku kamer ogromne ilości marychy.

– Słyszałem, jak komendant Klos mówił „będziemy sławni”, po czym przywiózł kebaby policjantom pielącym pole. Schwywanie tego, kto posiał zielsko, nie byłoby już potrzebne, odfajkowałoby się temat jako N.N. sprawca. Niestety, właściciel ziemi sam się zjawił i wszystko skomplikował.

Okolice budynku Telewizji Polskiej na stolicznym placu Powstańców, styczeń 2020 r. Po chodniku krąży grupka demonstrantów sprzeciwiających się PiS-owskiej propagandzie w mediach publicznych. Na czele pikiety idzie organizator wielu podobnych zgromadzeń – Karol Grabski. Policja obserwuje. Nadjeżdża motocyklista w kasku, jak się później okaże – pracownik telewizji. Wjeżdża z impetem na deptak.

– Zatrzymałem się i czekałem, aż przejedzie, ale ruszył wprost na nas – wspomni później Grabski. – Jechał zrywami, gazując, jakby chciał nam napędzić stracha.

Motor uderza głównego demonstranta kołem, ten przewraca się na plecy, w ostatniej chwili podtrzymuje go mundurowy. Policjanci spisują i motocyklistę, i Grabskiego. Po miesiącu ten drugi dostaje wezwanie do komisariatu, gdzie stawiają mu zarzut tamowania i utrudniania ruchu kołowego (art. 90 kodeksu wykroczeń – grzywna do 500 zł). Co do motocyklisty – Komenda Stołeczna informuje, że „przeprowadzone czynności wyjaśniające nie dostarczyły podstaw skierowania wniosku do sądu”,



SŁUŻBA SPECJALNEJ TROSKI

Rząd rządzi, partia kieruje, a policja to jej bijące serce

PIOTR
GLUCHOWSKI

.....





ponieważ czyn pracownika TVP „nie zawierał znamion wykroczenia”.

– Oczywiście, że policja ustawia się pod władzę, i nie trzeba do tego żadnych, nawet ustnych dyrektyw – mówi mi nadinspektor A., były komendant wojewódzki z północy Polski. – Im dłużej dana ekipa rządzi, tym bardziej się z policją zrasta. Politycy i komendanci piją razem musujące wina na różnych oficjalnych uroczystościach, zapraszają się na rodzinne imprezy, znają żony i dzieci. Za Platformy policja była platformiana, teraz jest PiS-owska. Służę się demokratycznie wybranej władzy, jak przyjdzie nowa władza – będzie się służyć nowej.

– W tej platformianej policji, w roku 2009, szef policyjnych związków Antoni Duda zaapelował do wszystkich służb mundurowych, więc także straży pożarnej, pograniczników, więziennictwa... o niegłosowanie w wyborach na Platformę – zauważam.

– Za co go wtedy skarcił komendant główny, generał Andrzej Matejuk. Wydał okólnik w sprawie apolityczności jako rękojmi zaufania społecznego do funkcjonariuszy. To nadal obowiązuje. Przynajmniej oficjalnie.

– W praktyce policjanci mają poglądy...
– Równie dobrze może mnie pan zapytać, jakie poglądy mają dziennikarze. Policjantów jest ponad 100 tys. Wedle mojego rozeznania większość sympatyzuje z PiS, co może wynikać z maskulinizacji. Kobiety – raptem 15 proc. służby, a to głównie one są dziś przeciw władzy. Poza tym trudno, żeby policja nie sympatyzowała z partią, która kojarzy się z zaostrzaniem kar, rozbijaniem mafii gospodarczych, zwiększaniem liczby posterunków. Nie wnioskam, ile się faktycznie udało zrobić, mówię o deklaracjach. To się w policji podoba. Poza tym na najniż-

szych szczeblach, w powiatach i gminach, politycy partii rządzącej dbają o kontakt z policją, z ochotniczą strażą, z leśnikami. Można powiedzieć: za mundurem posłowie PiS sznurem.

Resort Mariusza Błaszczaka i Mariusza Kamińskiego – w ramach programu „Policja plus” – odtworzył 150 z 400 zamkniętych w latach 2007-15 małych posterunków. Przywrócone punkty w większości są otwarte przez cztery-sześć godzin dziennie, dyżuruje najczęściej jedna osoba. Efekty nie porażają. Z ubiegłorocznego komunikatu Komendy Głównej wynika, że w 2021 r. w porównaniu z rokiem poprzednim liczba przestępstw wzrosła z 760 do 820 tys., a spadła wykrywalność: z 73 na 71 proc. Ogólnopolskich danych za 2022 r. jeszcze nie ma, lecz z raportów cząstkowych (np. dla Łodzi) wynika, że przestępczość dalej rośnie – przybywa zwłaszcza kradzieży i przestępstw gospodarczych. A wykrywalność wciąż spada – w Łódzkiem wyniosła za rok ubiegły poniżej 70 proc.

W policję biją też ceny. Wzrost kosztów stałych – przede wszystkim paliwa i prądu – wyrwał w ogólnym budżecie kilkusetmilionową dziurę. Gdyby nie zgoda Orlenu na odroczenie płatności za paliwo, radiowozy od początku roku nie miałyby na czym jeździć.

Ponownie Warszawa, 2022 r., późny letni wieczór. Ukraiński dostawca pizzy staje przed restauracją, z której rozwozi jedzenie. Na parkingu brak miejsca, zatrzymuje wóz na poboczu, włączając awaryjne. Gdy wraca, przy aucie stoją dwaj mundurowi. Informują kuriera, że dostanie wysoki mandat, ponieważ jego samochód tkwi w niedozwolonym miejscu już przeszło godzinę.

• **Listopad 2020, Strajk Kobiet w Krakowie**
FOT. JAKUB WŁÓDEK/
AGENCJA
WYBORCZA.PL

Ukraińiec odpowiada, że był w restauracji nie dłużej niż 20 minut i może to potwierdzić przez aplikację, zgodnie ze wskazaniami której rozwozi zamówienia. Wyciąga telefon. To denerwuje policjantów. Nie wiedzą, że dostawca włączył już nagrywanie.

– Masz do zapłacenia 600 zł. Zadzwoń do swojego szefa, niech ci organizuje pieniądze. I zejdź zaraz z ulicy, bo ci w ryj dowalę.

Ukraińiec: – Za co?

Policjant: – Za jajco! Jak ci się nie podoba, wypierdalaj na Ukrainę!

Mundurowi prawdopodobnie wzywają lawetę, kurier przy nich: – Ja sobie postoję – tłumaczy – żebyście mi coś nie podrzucili.

– Myślisz, że ja ci co podrzucę, parowo jedna?!

Robi się skandal. Obaj policjanci stają przed komisją dyscyplinarną. Mandat płacą solidarnie pracownicy restauracji.

– Ten przypadek pokazuje, że nie ma interwencji łatwych – mówi mi były komendant główny, inspektor generalny B. – Na ulicy są głównie funkcjonariusze zaraz po szkole. Przełożeni za mało im pomagają. Najczęściej siedzą za biurkiem, a ty, młody, radź sobie na dzielnicy sam. I potem ci niedoświadczeni zostają bohaterami memów albo filmów.

– Może zabrać ludziom komórki i nie będą złośliwie filmować...

– Tego nie powiedziałem. Kontrola społeczna policji podnosi poziom czynności. Media nam dają materiał do omówienia w trakcie szkoleń czy codziennych odpraw. Niestety, najczęściej są to informacje, że funkcjonariusz jakoś się skompromitował, a o późniejszym postępowaniu dyscyplinarnym, zawieszeniu czy wydaleniu ze służby nikt już nie napisze. Bo sprawa się zestarzała.

– Lub policja dostarczyła nowych powodów do kpin.

– Wykiwanie policji to nasza polska specjalność – uważa nadinspektor A. – Był taki jeden youtuber, który się wzbogacił na tym, że na ulicy zaczepiał po-

**Były komendant:
Większość sympatyzuje z PiS,
co może wynikać z maskulinizacji.
Kobiety to raptem 15 procent
służby. No i trudno, żeby policja nie
sympatyzowała z partią,
która kojarzy się z zaostrzaniem kar,
rozbijaniem mafii, zwiększaniem
liczby posterunków**

licjantów z butelką wyglądającą jak otwarte piwo i potem przed nimi uciekał.

– Nazywa się Sylwester Wardęga i jeśli wierzyć filmom, policja w Polsce nie biega. Nawet nie próbowali go gonić.

– Receptą winno być szkolenie i jeszcze raz szkolenie, bo tego brakuje – mówi generał B. – W tej chwili pensje w policji są już przyzwoite. Cztery tysiące z groszami na rękę dla nowego i gwarancja wzrostu wynagrodzenia wraz ze stażem w służbie.

Prócz tego jest dodatek za stopień (około 1500 zł po awansie), 500-złotowy dodatek za zatrudnienie w prewencji (pracę na ulicy), pięcioprocentowy dodatek za osiągnięcie 15 lat wysługi, 1500-złotowy „dodatek dziadkowy” po 25 latach, wreszcie różne premie.

– Na prowincji nie ma problemu z naborem kandydatów, ludzie się nawet garną – dopowiada generał. – W dużych miastach, niestety, jest gorzej.

W garnizonie śląskim leży aktualnie 900 tzw. raportów o odejściu. W Komendzie Stołecznej – 800. Liczba wakatów w Warszawie i bez tego przekroczyła tysiąc. Zdaniem generała ma to też dobrą stronę.

– Ale słowo „dobrą” niech pan weźmie w cudzysłów. Chodzi o to, że ze środków z wakatów finansowane są wydatki bieżące i tylko dzięki temu wszystko się jeszcze kręci.

– Problem jest również w naborze – mówi Magdalena Sroka w rozmowie z portalem naTemat.pl. – Testy psychologiczne, które przechodzą kandydaci, są mocno okrojone. Kiedyś określony był bardzo konkretnie poziom inteligencji, były badania wykluczające osobowości psychopatyczne. Dziś do służby trafiają ludzie, którzy nie powinni.

General B.: – Z powodu pandemii przed trzema laty skrócono okres szkolenia do dwóch i pół miesiąca, w przypadku absolwentów różnych kierunków z bezpieczeństwa w nazwie nawet do dwóch miesięcy. A kiedyś były szkolenia półroczne, zdarzało się, że trwały i dziewięć miesięcy. Z tym że stażyscie też trzeba zapłacić minimalną... Te treningi należy na powrót wydłużyć. Bo narasta problem: jedni nie stosują adekwatnych środków, inni ich nadużywają, z braku wytrenowania błędnie oceniają sytuację. Albo jadą do zdarzenia na bombie, bulaje w pełnym blasku i potem konsternacja, że sprawcy pouciekali. Zdarza się też odwracanie wzroku. Rozbita szyba wystawy, skradziony garnitur... po co się za to brać? Zabezpieczenie terenu, słuchanie okolicznych mieszkańców, ściąganie psa tropiącego, papierkowa robota bez gwarancji sukcesu. Statystyka w dół. Dużo lepiej zatrzymać pijanego kierowcę: od razu jest sprawca i mamy dowód. Statystyka w górę.

Niekiedy za wszelką cenę. Mieszkaniec Świdnika, który po wypiciu zgrzewki piw zasnął przed telewizorem, zdziwił się, gdy przed północą do drzwi zadzwonił policjant. Na szczęście chodziło o drobniaczek: przestawienie samochodu, który zatakł osiedlową uliczkę. Gdy świdniczanin wszedł do opła i przejechał trzy metry, od blokując przejazd, funkcjonariusz wyciągnął alkotest. Wyszło 1,2 promila. Obywatel dostał zakaz prowadzenia pojazdów przez rok.

Zdarzają się też sytuacje odwrotne: sprawca na talerzu, mundurowych nie ma. Spośród licznych filmików z nagłówkiem „kompromitacja policji” wybrałem na YouTubie nagranie z Wielkopolski. Półtora miliona wyświetleń. Grudzień 2018 r., pochmurne przedpołudnie. W kierowcę jadącego prawidłowo z włączoną kamerą uderza inne auto – stary mercedes kombi na poznańskich blachach. Sprawca ucieka, poszkodowany jedzie za nim i nagrywa. Jednocześnie wybiera – przez zestaw głośnomówiący – numer 112.

– Proszę czekać na zgłoszenie operatora, proszę czekać na zgłoszenie operatora... Uciekający mercedes pędzi dwupasmówką, wyprzedzając kolejne wozy raz

– Czy była kolizja?
– Tak! Jadę za nim. Jestem na ulicy Wandy Modlibowskiej! Jadę za nim!
– I to jest jaki samochód, co pan ściga?
– Mercedes PZ 7950L!
– Pe-zet... a dalej?
– Siedemdziesiąt dziewięć... – Pirat gwałtownie hamuje i znów o mało nie dochodzi do stłuczki.
Operator: – Na końcu el, jak Lucyna?
– Taaak!!! Jak Lucyna!!!
– To jest jakiś osobowy mercedes?
– Osobowy!!!
– A kolor jaki ma?
– Srebrny! Znowu przyspieszył i ucieka mi dalej poboczem!
Operator: – Dobra... pana imię i nazwisko?
– Stanisław Zasada!
– Proszę poczekać na linii i się nie rozłączać.

Dalej mówi już automatyczna sekretarka: „Proszę czekać, będzie rozmowa; proszę czekać, będzie rozmowa...”. Samochody pędzą przez kolejną wieś. Umykający o mało nie rozjeżdża rowerzystki. Zatrzymuje go dopiero korek na wiadukcie. Stanisław podbiega do mercedesa, zaczyna się szarpanina, wygląda na to, że Zasada próbuje wyrwać kluczyki. Stanisław wraca do auta. Z głośnika cały czas płynie komunikat „proszę czekać...”. Mercedes znowu ucieka. Przejeżdżając skrzyżowanie na czerwonym. Słychać klaksony innych aut oraz „...proszę czekać, będzie rozmowa”. Pościg jeszcze przyspiesza. Zasada o mało nie zderza się z wyjeżdżającym z bocznej uliczki peugeotem. Wraca operator: – Proszę pana, w tej chwili mam problem z połączeniem z policją...

– Wie pan co? Go jeszcze zatrzymałem, on jest chyba pijany!
– A w jakim miejscu stoicie teraz?
– Dalej za nim jadę! Ulicą Poniatowskiego!
– Poniatowskiego w Komornikach, tak?
– Nie, to już Żabikowo!
– Dobrze, proszę się nie rozłączać...
Koniec filmu. Pierwszy komentarz pod spodem: „Podobno nagrywający wciąż ściga mercedesa, a dyspozytor wciąż próbuje połączyć się z policją”.

– Tego typu nagrania pokazujące służbę w krzywym zwierciadle często rozpo-

odpala w pakamerze przy swoim gabinecie ukraiński granatnik przeciwpancerny – prezent od tamtejszych funkcjonariuszy. Eksplozja niszczy dwa sąsiednie pomieszczenia i uszkadza strop, ale wszyscy uchodzą z życiem, tylko pracownikowi ochrony na niższej kondygnacji spada na głowę lampa (ma rozciętą skórę). Szef policji z bandażowanym lewym uchem tłumaczy się w „Wiadomościach” TVP, że nie próbował strzelać.

– Prezent miał być bezpieczny, rozbrojony. Gdy przyjechałem do pracy i chciałem jedynie przestawić tę tubę, jeden z elementów uderzył w sufit, powodując dziurę, a drugi w podłogę, powodując też dziurę. To pokazuje jednoznacznie, że nie strzelałem, bo z tego urzędnika strzela się przecież tak, że kładziemy tubę na ramieniu pionowo.

Komendant chciał chyba powiedzieć „poziomo”. Prowadząca wywiad pomyłki nie zauważa. Dopytuje o zdrowie oficera. Ten mówi, że po wypadku lekarze wyjęli mu z oka „przedmioty obce”, ma też ubytek słuchu i będzie wymagał leczenia.

– Mogło się to skończyć naprawdę tragicznie. Dlatego całość zdarzenia traktuję w kategoriach cudu.

W innych mediach jadą po generale bez litości. W obronę bierze go wiceminister MSWiA Błażej Poboży.

– Powinno się okazywać empatię wobec tej sytuacji, a nie pójście w śmiech – mówi w TVN. – Zawieszenie na Ukrainie odpowiedzialnego za przekazanie granatnika zastępcy szefa do spraw nadzwyczajnych potwierdza naszą narrację, że pomyłkę popełniła strona ukraińska.

Jak to jednak się stało, że granatnik przekroczył granicę?

Poboży: – Komendant przejechał bez kontroli, jak każdy funkcjonariusz z paszportem dyplomatycznym.

Jak przeszedł przez bramki w Komendzie Głównej?

Wiceminister: – Pan komendant w swoim miejscu pracy nie przechodzi przez żadną bramkę.

Sęk w tym, że granatnik wniósł do pakamery nie on, tylko jego kierowca.

– Co by było, gdyby to nasz dziennikarz jeżdżący na Ukrainę przywiózł stamtąd granatnik i detonował w redakcji? – za-

szają dobrze zbudowani tajniacy z Centralnego Pododdziału Kontrterrorystycznego BOA. Nie mają przepisowych opasek POLICJA. Mają za to pałki teleskopowe i gaz. Jeden z funkcjonariuszy pryska pieprzem posłankę Lewicy Magdalenę Bieją. Inny bije pałą po głowie robiącego zdjęcia fotoreportera Wojciecha Wójtowicza. Lekarz na obdukcji stwierdza „pięciocentymetrową ranę głowy, zasiniwienie i obrzęk w lewej okolicy ciemieniowo-potylicznej oraz bolesność opukową”. Grupa poszkodowanych składa doniesienie do prokuratury. Wezwany przed poselską komisję spraw wewnętrznych Szymczyk deklaruje: – Nie będziemy uciekać przed żadną prawnie określoną odpowiedzialnością, ale nie godzę się na publiczny lincz na moich ludziach. Powtarzam jeszcze raz: każdą wątpliwość wyjaśnimy, każdy przypadek udowodnionej winy rozliczymy.

I rozliczają: skarcony już wcześniej dyscyplinarnie za inne pobicie funkcjonariusz BOA, który uderzał pałą Wójtowicza, zostaje ukarany rozmową dyscyplinującą.

A Szymczyk znowu staje przed komisją. Teraz obaj z wiceministrem MSWiA Maciejem Wąsikiem bronią decyzji o zatrzymaniu pół setki aktywistów ruchu LGBT protestujących przeciw aresztowaniu koleżanki z opozycyjnego kolektywu Stop Bzdurom. Posłanka Koalicji Obywatelskiej Urszula Zielińska cytuje złożone w śledztwie zeznania jednego z zatrzymanych: „(...) zostałem brutalnie złapany za szyję i barki. Zdołałem zapytać policjanta o powód zatrzymania i wtedy powiedział: »Nie ze mną takie numery, pedale«, po czym zaczął mnie dusić”.

– Na czyje polityczne zlecenie policja nie podjęła próby dialogu z pokojowo protestującymi młodymi ludźmi, lecz od razu przeszła do eskalacji? – pyta gości posłanka.

General Szymczyk zapewnia, że nie dostał zlecenia od PiS. Wąsik przytakuje. Ich zdaniem to demonstranci byli agresywni: pluli na mundury, brzydko się odzywali, porysowali radiowóz.

– Jest bardzo dużo dowodowego materiału wideo – niestety, nie mogę pokazać – mówi posłom Szymczyk. A Wąsik dopowiada: – Każdy, kto podnosi rękę na policjanta, podnosi rękę na państwo.

– W Warszawie takie hasło może ludzi dziwić, ale w terenie PiS, policja, straż gminna, straż leśna, komornik czy prokurator... to wszystko jedna władza – mówi komisarz C. – Pod tym względem wróciły czasy komuny.

W owych czasach pleniły się dowcipy o milicjantach. Na przykład: sierżant wraca do domu i mówi żonie: – Napadła mnie banda chuliganów, ale wiedziałem, co zrobić. Wybrałem przewodyrę i tak mu przypierdoliłem, że kredki z tornistra wypadły.

Teraz historia prawdziwa: październik 2021 r., Kraków. Pod miejską siedzibę PiS przy ul. Retoryka przychodzą dwie mamy z trójką dzieci. Pocięchy z pomocą kolorowej kredy rysują pociąg, drzewa, kwiaty, fruujące balony i ludzkie postacie. Matki dopisują hasła nawiązujące do rozgrywanego się właśnie dramatu „nielegalnych migrantów” (jak ich określa TVP) na polsko-białoruskiej granicy. Piszą m.in.: „Nikt nie jest nielegalny”. Interweniuje patrol. Kawalki kredy i wiaderko zostają zarekwirowane a mamy – wylegitymowane i wezwane na posterunek. Mundurowi są nieco zawstydzeni. Tłumaczą kobietom, że „ktoś zgłosił”, a oni mają „nacisk z góry”, by ukarać sprawców. W trakcie wypisywania kwitów zjawiają się technicy kryminalistyk. Sprawdzają, czy napisy mają „charakter trwałe” i czy nie doszło do uszkodzenia trotuaru. Fotografują, mierzą, robią notatki. Będzie kara za wykroczenie z artykułu 63a kodeksu wykroczeń – umieszczenie napisów bez zgody zarządcy obiektu, czyli miasta Krakowa.

Komisarz C.: – Coś jeszcze mi przypomina komunę. Rząd rządzi, partia kieruje, a siły porządkowe to jej bijące serce.

General policji: „Nagrania pokazujące służbę w krzywym zwierciadle często rozpowszechniają w sieci sami policjanci. Dlatego że się nie godzą na dane sytuacje. Dlatego że im zależy”

z prawej, raz z lewej. Na rozwidleniach skręca w ostatniej chwili, aby zgubić po-goń. Poszkodowany za nim.

– Proszę czekać na zgłoszenie operatora...

Wreszcie jest ktoś na linii: – Operator osiemdziesiąt trzy, w czym mogę pomóc? – Wyjeżdżam z Komornik w stronę Kościana! Kierowca numer PZ 7950L ucieka, jadę za nim! – zgłaszający jest rozemocjonowany. Opony piszczą na zakrętach.

Operator: – W jakiej miejscowości pan jest?

– Komorniki, proszę pana! Komorniki! Uciekający znowu dodaje gazu, ścigający musi tak samo. Silnik huczy, lecz rozmowę słychać.

Operator: – Komorniki, ale jaka gmina? – Poznań!

– Czy chodzi panu może o Komorniki, gmina Komorniki, powiat poznański?

– Tak! Fabianowo, Kotowo, jedziemy.

– Jaka ulica?

– Fabianowo, Kotowo teraz jest.

wszechniają w sieci sami policjanci – mówi general B. – Dlatego że się nie godzą na dane sytuacje. Dlatego że im zależy... jest w Polsce naprawdę wielu świetnych funkcjonariuszy. Tylko że w mediach trudno propagować udaną interwencję. Natomiast klikają się wszelkie kompromitacje.

– Czego zatem policji potrzeba, żeby było lepiej?

– Lepszych przełożonych. Mających doświadczenie i taką osobowość, żeby nie było tego uproszczonego traktowania: słuchać, wykonać, drzwil! Potrzebujemy oficerów z predyspozycjami do służenia pomocą podwładnym. Bo na razie tak zwana kultura organizacyjna w policji szwankuje.

Półowa grudnia 2022 r. Komendant główny general Jarosław Szymczyk (ten sam, który w 2016 miał się z prawdą w sprawie śmierci zamęczonego we wrocławskim komisariacie Igora Stachowiaka i którego brat Łukasz S. ma zarzuty w związku z karuzelą vatowską)

stanawia się Piotr Pacewicz, naczelny OKO.press. – Czy prokuratura jego również uznałaby za pokrzywdzonego?

– Władza chroni „Granatnika”, jak mówi się już o Szymczyku, ponieważ wcześniej „Granatnik” lojalnie chronił władzę – mówi mi były komisarz C. z Kujaw, mój stary informator, który zaczynał służbę jeszcze w szeregach MO.

Faktycznie: od czasu, gdy w 2016 r. główny komendant objął obecne stanowisko, policjanci co najmniej kilkadziesiąt razy pacyfikowali demonstracje opozycji w największych miastach.

18 listopada 2020 r. Na tym samym placu Powstańców, na którym motocykl potracił Karola Grabskiego, kilka tysięcy mundurowych obstawia wiec Strajku Kobiet. O dziewiętej wieczorem, kiedy protestujący zaczynają się rozchodzić, funkcjonariusze otaczają ich i nie wypuszczają, dopóki wszyscy nie zostaną wylegitymowani. Gdy ludzie protestują, krzycząc: „Wypierdalać!”, w tłum ru-

Jak często policja leje antyrządowych demonstrantów – to próbowali ustalić w ramach interpelacji sejmowej m.in. posłowie Lewicy Marek Rutka i Maciej Kopiec. Odpowiedzi udzielił Wąsik: „Realizując nałożone zadania w określonych ustawą przypadkach funkcjonariusze mogą używać lub wykorzystywać środki przymusu bezpośredniego oraz broń palną (...) w obowiązującym stanie prawnym środków przymusu mogą użyć także prewencyjnie (...) należy podkreślić, że policjanci, dokonując wyboru środka, kierują się jego dopuszczalnością, skutecznością i możliwie najmniejszą dolegliwością dla osoby, wobec której jest on stosowany...” i tak dalej. Żadnych informacji o ilości pałowań. Jedynie cyfry dotyczą osób zatrzymanych na różnych demonstracjach pomiędzy 23 października 2020 (czyli początkiem protestów „aborcyjnych”) a 2 marca 2021 (datą interpelacji). W Warszawie przez te pół roku zawinięto na dolki i do aresztów 406 osób, w Gdańsku – 14, we Wrocławiu – 10, w Katowicach – osiem, w Krakowie i Poznaniu – pięć, w Rzeszowie i Kielcach – cztery, w Lublinie i Szczecinie – po dwie.

Świeższe dane przynosi raport opozycyjnej organizacji Obywatele RP z września 2022 r. Począwszy od 2017 r. do grupy pomocy prawnej działającej przy ORP zgłosiło się 916 osób w różny sposób szykanowanych przez policję za udział w manifestacjach w obronie sądów, przeciwko restrykcjom covidowym, w kontrmiesięcznicach smoleńskich itp. Ile z nich poskarżyło się na bicie – raport nie informuje. Ale przypadki zarejestrowanego kamerą pałowania – także kobiet – łatwo znaleźć w sieci. W kwietniu 2021 r. funkcjonariusz w kaszu i ochraniaczach brutalnie pobił pałką i podduśił dziewczynę protestującą przeciw obostrzeniom sanitarnym w Głogowie. Potem wyjaśnił, że poszarpała mu mundur, a w ogóle to była już notowana.

Pięć miesięcy wcześniej na ulicy Wilczej w Warszawie inny policjant tak mocno wykręcił rękę 19-letniej uczestniczki pikiety proekologicznej, że złamał ją w kilku miejscach. Młoda kobieta prawdopodobnie nigdy nie odzyska pełnej sprawności. Mimo to prokuratura umorzyła śledztwo z powodu „braku znamion czynu zabronionego”. Jeszcze miesiąc wcześniej, w trakcie stołecznego Marszu Niepodległości 2020, inny mundurowy spalał przy stacji Warszawa Stadion robiącą zdjęcia studentkę. Tego samego dnia pałą po nerkach dostała również dziennikarka „Newsweeka” Renata Kim.

– Może do policji idą niewłaściwi ludzie? – pytam generała.
– Idą bardzo różni. Większości podobą się stała, pewna praca na państwowej posadzie. Są też tacy, co nie mają pomysłu na życie, pójdą na szkolenie, bo kolega poszedł, spodoba im się – zostają.
– W ostatnich latach przybywa też chłopaków, co lubią męskie życie – dodaje komisarz z Kujaw. – Mówię o tych, co biegną w rajdach śladami „wykłętych” albo w Runmageddonie. Naoglądali się amerykańskich filmów, w których policjant wszystko może. Wydaje im się, że są asami, aż przyjdzie sytuacja, która upokorzy... blaha interwencja może się skończyć piekłem.

Podwarszawski Pruszków, 2 stycznia br., po zmroku. Miejscowi policjanci dostają informację o pożarze w przysiółku Dawidy Bankowe, kilometr od zjazdu z S2 na Okęcie. Para funkcjonariuszy jedzie na miejsce. Starszy z dwójki (za kierownicą) ma 18 lat stażu, młodszy – dwa miesiące. To jego pierwszy patrol. W Dawidach widzą tylko niewielkie ognisko: płonie kupa śmieci, obok stoi grupka kolegów i koleżanek. Jedna z dziewcząt mówi coś na temat „koguta” w radiowozie. Policjant odpowiada, że „może innego koguta pokazać”. Wybuch śmiechu. Mundurowi żartują odważnie. Teraz tematem są „kontrola osobista” i „trójkąt”. Odblaskowy. Weseli gliniarze wybierają jedną z dziewcząt i każą

jej wsiadać do wozu. 19-latka coś przeczuwa, więc prosi o dwa lata młodszą przyjaciółkę, aby wsiadła z nią.

Gdy zatrząskują drzwi, radiowóz rusza żwawo w kierunku Raszyna. Ta droga nie prowadzi ani do macierzystej komendy, ani do miejsca zamieszkania obu pasażerek. Auto rozpędza się coraz bardziej, za oknami czarno, dziewczyny zaczynają się bać. Jedna woła, że na tylnej kanapie nie można zapiąć pasów. W odpowiedzi słyszy, że „w takim wypadku będzie mandat”. Gdy kierujący oplem dostrzega wiodącą w krzaki polną drogę, gwałtownie hamuje i jednocześnie skręca. Manewr kończy się uderzeniem w drzewo. Wyskakują poduszki powietrzne, sypie się szkło. Jedna z dziewczyn uderza głową tak fatalnie, że rozbija nos. Później przejdzie operację nastawiania przegrody. Wystraszeni sytuacją mundurowi, zamiast wezwać karetkę, krzycząc do zakrławionej nastolatki i jej koleżanki: – Spierdalajcie!

Nazajutrz stawiają się w pracy, jakby nic nie zaszło. A trzy dni po kraskie – gdy trąbią już o niej media – tłumaczą, że dziewczyny „same prosiły o przejazdżkę”. Po czym idą na zwolnienia lekarskie. Ale rana będzie się domagać odszkodowania, a jej reprezentacji podejmują się dwie adwokackie sławy: Roman Giertych i Jacek Dubois. W tej sytuacji sprawę przejmują od Pruszkowa Komenda Stołeczna, której szef zawiesza dowódcę patrolu.

– Analiza przedstawionego komendantowi zgromadzonego materiału spowodowała decyzję o podjęciu postępowania dyscyplinarnego wobec obu funkcjonariuszy – informuje rzecznik KSP. Starszy z dwójki dostaje sześć zarzutów, młodszy – cztery. To nie wszystko: opozycyjne posłanki Aleksandra i Kinga Gajewskie wchodzi do pruszkowskiej komendy z kontrolą parlamentarną.

– Zamierzamy wyjaśnić, dlaczego stróż prawa uprowadzają kobiety policyjnym autem, powodują wypadek, nie udzielają pomocy, a jakiegokolwiek konsekwencje dyscyplinarne mają miejsce dopiero, kiedy jest tak ogromna presja opinii publicznej – mówi Aleksandra przed budynkiem policji.

Tymczasem Piotr Żytnicki, nasz dziennikarz śledczy z Poznania, zauważa, że to nie pierwsza spektakularna wpadka pruszkowskich funkcjonariuszy. Jest 30 października 2020 r., w całym kraju trwają protesty okołaborcyjne. Kulminacyjna manifestacja ma się odbyć wieczorem w Warszawie. Jedzie na nią grupa aktywistów z Poznania. Późnym popołudniem, 20 kilometrów przed stolicą, zatrzymują ich na autostradzie policjanci z Pruszkowa. Szukają usterek auta i zabronionych przedmiotów w bagażniku. Niczego nie znajdują, mimo to wyciągają poznaniaków z wozu, zakuwają w kajdanki, kładą na asfalcie, potem biorą do komendy.

Marta Rozmysłowicz, jedna z zatrzymanych: – Przeszukali nam rzeczy, zabrali telefony, kazali zdejmować buty, zrobili alko-testy, a kierowcy dodatkowo narkotest ze śliny. Byliśmy trzeźwi i czysti. Po trzech godzinach nas wypuścili. Bez żadnego wyjaśnienia, bez kwitka, jakby to się nie wydarzyło.

Akcja – jak ustala Żytnicki – odbyła się na polecenie i pod nadzorem sztabu operacji Jesień 5, którym kierował komendant stołeczny (wkrótce awansowany na zastępcę głównego) Paweł Dobrodziej. To on zasłynął w 2020 r. dyscyplinarnym zawieszeniem policjantów, którzy nie przewalili protestu przed willą Jarosława Kaczyńskiego. Według kierowanego przezeń sztabu „powzięto informacje operacyjne, z których wynikało, że samochodem miały przemieszczać się osoby związane ze środowiskiem antyfaszystowskim, które uczestniczą w manifestacjach na terenie Warszawy, mogą dopuścić się czynów o charakterze chuligańskim”.

Poznaniacy składają zawiadomienie o przekroczeniu uprawnień przez funkcjonariuszy z Pruszkowa w stołecznej prokuraturze. Ta odmawia wszczęcia śledztwa.

Skarżą się więc do sądu. Sąd orzeka, że „zatrzymanie odbyło się bez podstawy prawnej i było nielegalne, bezzasadne i nieprawidłowe”. Pięcioro poznaniaków dostaje zadośćuczynienia po 2 tys. na głowę.

W tym samym dniu, gdy posłanki kontrolują pruszkowską komendę, pod pomnikiem Ofiar Tragedii Smoleńskiej w Warszawie ma się odbyć kolejna miesięcznica. Stowarzyszenie Lotna Brygada Opozycji już kilkakrotnie zakłócało te imprezy okrzykami. Arkadiusz Szczurek z LBO wdrapywał się w tym celu na drzewo przy gmachu Zachęty, skąd został ściągnięty, zakuty w kajdanki i przetrzymany przez dobę na dolku. Teraz ma

Z powodu pandemii przed trzema laty skrócono okres szkolenia do dwóch i pół miesiąca. A kiedyś były szkolenia półroczne, zdarzało się, że trwały i dziewięć miesięcy

sądowy zakaz zbliżania się do monumentu. Antyrządowi aktywiści wpadli więc na inny pomysł: wynajęli w okolicy mieszkania z oknami wychodzącymi na plac – co nie uszło uwadze śledzących ich tajniaków, którzy już o ósmej rano zaczęli stukać w drzwi. Członkowie LBO nie otworzyli, rozmawiali szeptem, cicho się poruszali. Policja ściągnęła więc podnośnik, by zająć przez szyby. Teraz dwaj mundurowi zakładają czarne kaski rowerowe, zasłaniają bandanami twarze i w górę! Skryci w mieszkaniu aktywiści otwierają okna. Tadeusz Kaczmarek z Lotnej proponuje kawę. Jego koleżanka – rogali ki z dżemem. Gliniarze odmawiają. Na pytanie „co robią”, jeden wyjaśnia: – Jesteśmy tutaj tylko dla państwa bezpieczeństwa.

Nagranie już nazajutrz zalicza pół miliona widzów. Syąpi się memy – policja pyta z wysięgnika: „przyjmują państwo kolede?”, „zamawialiście mycie okien?”, „dzień dobry, zastałem Jolkę?”, „czy macie państwo chwilę, by porozmawiać o Jezusie?”.

– Wiele rzeczy w życiu widziałem, ale tak kretyńskiej i kompromitującej akcji jeszcze nie – mówi „Rzeczpospolitej” były szef antyterrorystów i poseł Jerzy Dziewulski. – Policja postanowiła zastosować metodę prewencyjną wobec osób, które kompletnie nie stanowiły zagrożenia. Ktoś prawdopodobnie chciał mocno podliznąć się władzy.

Warszawski funkcjonariusz dla tej samej gazety: – Ostatnio to nagminne. Jesteśmy angażowani do zadań politycznych, przez co z policji odeszło wielu doświadczonych.

Byli komendant A.: – Musieli odejść ci, co się wcześniej za bardzo lubili z Platfor-

mą, na ich miejsce awansowano nowych, którzy często dalej wymieniają kadry, zwykle po uważaniu. Efekty widać w badaniach zaufania.

Ufność wobec policji (badaną przez CBOS) w 2007 r. deklarowało 74 proc. ankietowanych. W 2022 już tylko 63 proc. W tym roku – jak przewidują moi rozmówcy – będzie jeszcze gorzej.

Inspektor generalny B.: – Strona opozycyjna będzie prowokować, by pokazać, że policja jest zbrojnym ramieniem PiS. A przecież imprezy masowe trzeba zabezpieczać – obojętnie: mecze czy miesięcznice. Po to mamy odprawy przed akcją, żeby dowódca nakreślił podkomendnym, jakie są zagrożenia. W tym zagrożenie śmiesz-

nością. Zamiast tego jest często zarządzanie strachem: „Idziecie i żeby mi nie było tam żadnej kaszany, bo jak nie, to po pre-mii”.

I i 12 stycznia w Wyższej Szkole Policji w Szczytnie odbyła się – jak głosi komunikat na stronie Policja.pl – narada służbowa kadry kierowniczej z całego kraju. Byli komendant główny, komendanci wojewódzcy, miejscy i powiatowi, przedstawiciele związków zawodowych.

Szef wszystkich szefów „podziękował za profesjonalizm i zaangażowanie formacji”, a także „za koordynację i ogromne wsparcie Straży Granicznej” przy płocie odgradzającym nas od Białorusi.

Z komunikatu: „Podczas narady do zebranych funkcjonariuszy za pośrednictwem połączenia online dołączyło kierownictwo MSWiA”. Minister Mariusz Kamiński podziękował podwładnym „za zdanie po raz kolejny egzaminu w tych trudnych czasach wielkich wyzwań dla Polski”.

– Polska policja w ostatnim czasie wywiązuje się z tych wyzwań bardzo dobrze i my w ministerstwie także bardzo wysoko oceniamy jej działania. ●

Tuzin czołgów nie wystarczy

Rosjanie to papierowy tygrys dowodzony przez skorumpowanych i zapijaczonych niedorajdów?
Nie jestem pewien

LUBOWSKI

Mieli paść w tydzień. Walczą już blisko rok. Podziwiamy ich męstwo. Zazdrościmy mądrości ich prezydenta. Cieszymy każdym sukcesem. Widzimy to, co chcemy widzieć. Odsuwamy to, czego widzieć nie chcemy. Tego, że Rosja zamienia Ukrainę w replikę Aleppo. Tego, że czas nie działa na korzyść Kijowa.

Kalkulacje Kremla na blitzkrieg, boleśnie niespełnione obietnice parad zwycięstwa ulicami ukraińskich miast plus kolosalne błędy operacyjne – wszystko to budowało wizerunek armii rosyjskiej jako papierowego tygrysa dowodzonego przez bandę skorumpowanych i zapijaczonych niedorajdów. To obraz ponętny, ale tylko częściowo odpowiadający prawdzie.

Gdy wiosną w „New Yorkerze” Stephen Kotkin, czołowy spec od Rosji, powiedział, że Ukraina wygrywa tę wojnę tylko na Twitterze, a przegrywa na polu boju, pierwszą reakcją było oburzenie. Ale Kotkin powiedział także coś innego, o czym warto pamiętać, bo to gorzka prawda: Rosja do tej pory użyła jedynie skromnej części swego arsenału.

Nasi emerytowani generałowie i ich zachodni koledzy regularnie wytykają Rosji błędy strategiczne, taktyczne i operacyjne. To miód na nasze serca. Wpycha nas jednak w pułapkę chciejstwa i pobożnych życzeń. Rodzi nadzieję, że Ukraina może wygrać wojnę jeszcze w tym roku. Tymczasem to scenariusz praktycznie nierealny, jeśli pomoc militarna Zachodu nadal będzie przypominać kroplówkę. Generał Philip Breedlove, były dowódca NATO w Europie, jest wśród tych, którzy jeszcze przed inwazją sugerowali zakaz lotów. „Może gdybyśmy go wprowadzili, Putin zmieniłby swą decyzję ataku. Wybraliśmy bardzo pasywną formę odstraszenia, i to odstraszenie nie działa”.

Demoralizacja rosyjskiego żołnierza, kiepskie wyszkolenie i brak elementar-

nej troski o jego sytuację to nie wymysł naszej propagandy. Jednak nie zmienia to gigantycznej dysproporcji w potencjale militarnym Rosji i Ukrainy. W tabelce, za portalem Globalfirepower.com, kilka liczb. Z oczywistych powodów te dane stale się zmieniają, ale ukazują skalę rozpiętości w potencjale.

W tej sytuacji na groteskę zakrawają trwające tygodniami negocjacje w sprawie dostaw tuzina czołgów, co stanowi z grubsza wyposażenie jednej kompanii – gdy Ukraina potrzebuje natychmiastowego wsparcia dwudziesto- lub trzydziestokrotnie większego. I to już.

W dramatycznie odmienny sposób wojna odbija się na kondycji gospodarek obu walczących stron. W zeszłym roku gospodarka Rosji skurczyła się o 4 proc. Gospodarka Ukrainy o 30. Miliony opuściły kraj, znacząca część zasobów mineralnych kraju, zdolności przemysłowych i ziemi rolnej znalazła się pod kontrolą Rosji.

Gdy bandyci z Kremla zapewniali, że wszystko idzie po ich myśli, to kłamstwo. Ale gdy mówią, że wynik jest przesądzony, to nie są czcze przechwanki typu zapewnień Chruszczowa, że ZSRR pogrzebie Zachód. Opierają się w dużym stopniu na wierze, że Zachód jak dotychczas będzie dawkował kroplówkę i zwlekał z dostawami ciężkiego sprzętu.

Teza, że Zachód – a wciąż jesteśmy jego częścią – walczy z Rosją do ostatniego Ukraińca, brzmi cynicznie, ale odpowiada rzeczywistości. Armia Ukrainy kąsa Rosjan na własnym terytorium, które każdego dnia jest bombardowane. Życie Rosjan toczy się w miarę normalnie, jeśli nie liczyć mobilizacji, gorszego zaopatrzenia sklepów, trudniejszego podróżowania po świecie – co dotyka niewielu – i potoku pseudopatriotycznych kłamstw sączonych w rosyjskie głowy. A do tego dawno przywykli, to żadne wielkie novum.

Podobnie jak w marcu 2022 r. zdumiała metamorfoza kanclerza Scholza

i jego deklaracje o podniesieniu wydatków na zbrojenia do poziomu 2 proc. PKB, tak dziś rozzaczarowują nieoczekiwane przesunięcie tego celu o trzy lata, do 2025 r., i niekończące się wahania, co dostarczyć Ukrainie, a z czym się wstrzymać. Jednocześnie szacunek budzi tempo transformacji energetycznej zachodniej Europy i odchodzenia od rosyjskich surowców. Na przykład terminal do transportu skroplonego gazu w Wilhelmshaven, inwestycję zwykle wymagającą pięciu lat, Niemcy zbudowali w niespełna rok.

Dwa tygodnie temu w „Washington Post” dwójka ludzi, którzy dobrze znają Rosję i Putina, była sekretarz stanu Condoleezza Rice i Robert M. Gates, były szef Pentagonu i CIA, przypomniała, że Putin postrzega pełną kontrolę Rosji nad Ukrainą jako swą misję. Odwołują się do słów Zbigniewa Brzezińskiego, że w oczach Putina nie ma Imperium Rosyjskiego bez Ukrainy. A odbudowa imperium to jego misja życiowa. Dlatego szef kremłowskiej mafii nie zrezygnuje z podporządkowania sobie całego sąsiada lub – gdyby się nie dało – jego zniszczenia. Putin wierzy, że czas działa na jego korzyść, że zdoła zadrzeć Ukrainę, a jednocześnie Ameryki i Europy i ich wsparcie dla Kijowa z czasem ulegną erozji i pęknięciom. Będzie dążył do tego cierpliwie, nie oglądając się na ludzki i materialny koszt. Rosjanie przetrwali dużo większe wyrzeczenia.

Zdaniem Rice i Gatesa – a nie jest to opinia odosobniona – jeśli Ukraina rychno nie odnotuje nowych spektakularnych sukcesów na polu walki, zachodnia presja na Kijów, aby usiąść do stołu negocjacji, będzie rosła.

Jedyny sposób, aby uniknąć tego scenariusza – niepożądanego, bo w najlepszym wypadku tylko odsuwającego w czasie kolejną agresję Moskwy – to pilne i dramatyczne wzmocnienie militarne Ukrainy, takie, które powstrzyma rosyjską ofensywę. W obliczu poważnych wyzwań logistycznych w dostawie amerykańskich czołgów Abrams to Niemcy i inni sojusznicy powinni wypełnić tę lukę w uzbrojeniu. NATO powinno także dostarczyć Ukrainie rakiety dalekiego zasięgu, nowoczesne drony, znaczne ilości amunicji, więcej sprzętu zwiadowczego i rekonesansu. To wszystko jest niezbędne w nadchodzących tygodniach, a nie miesiącach.

Rice i Gates odnoszą się także do pojawiających się wśród członków Kongresu, i w dyskursie publicznym pytań o zasadność amerykańskiej pomocy dla Ukrainy i jej skali, zadawanych w myśl zasady „nasza chata z kraju” oraz „to nie nasza wojna”. W tym kontekście przypominają lekcje ciężko odrobione przez USA w 1914, 1941 i 2001 r. – że nie można ignorować niczym niesprawowanej agresji, ataku na rządy prawa i porządek międzynarodowy. Przypominają także, że gospodarka światowa, amerykańskiej nie wyłączając, już odczuwa inflacyjny skutek wywołany putinowską agresją.

„Zgadząmy się z determinacją administracji Bidena, aby uniknąć bezpośredniej konfrontacji z Rosją – piszą Rice i Gates. – Ale rozzuchwalony Putin może nie dać nam takiej szansy. Spokój na uniknięcie konfrontacji z Rosją w przyszłości to pomoc Ukrainie w ode-

pchnięciu agresora teraz. To lekcja historii, która powinna nami kierować”.

Przewrotu pałacowego na Kremlu wykluczyć z góry nie można, choć jego prawdopodobieństwo jest znikome, a jeszcze mniej prawdopodobne, że do władzy doszłaby frakcja pokoju, bo takiej nie widać. Putin przekonał Rosjan, że tocząca się wojna – choć tego słowa starannie unika – to zmagania z agresywnym Zachodem, który chce Rosję upokorzyć. Ta narracja sprzedaje się na tyle dobrze, że na opór nie ma co liczyć.

Putin kalkuluje, że z czasem Zachód złagodzi sankcje albo będzie je stosować selektywnie, że chciwość weźmie górę nad solidarnością, podziwem dla męstwa Ukraińców i gloszonymi wartościami. Zachowuje na Zachodzie sojuszników i nie przestaje ich pielęgnować. Liczy, że w którymś momencie jakiś koncern niemiecki, francuski, włoski czy austriacki powie swoim politykom, że przecież Rosja to wielki rynek, trzeba tam wrócić, ale oczywiście nie będziemy sprzedawać niczego, co ma militarne zastosowanie. I powoli sankcje zaczną się rozchodzić w szwach. Dmitrij Muratow, laureat pokojowego Nobla za 2021 rok, zauważył: „Jeden dzień prowadzenia wojny kosztuje władze Rosji ok. 500 mln euro, a dokładnie taką samą kwotę każdego dnia Zachód płaci za dostęp do źródeł energii. W tej sytuacji budżet wychodzi na zero”.

Nie oznacza to, że Rosja nie odczuwa bólu sankcji. Ale oczekiwanie, że Moskwa skapituluje z powodów ekonomicznych, jest złudną nadzieją. Skuteczność sankcji, co jest oczywiste, zależy od tego, na ile konsekwentnie są stosowane i czy nie są dziurawe. I jednego, i drugiego warunku wciąż nie spełniają. I tak na przykład Belgowie uchronili od sankcji handel diamentami. Greckie tankowce nadal wożą rosyjską ropę. Francja i inne kraje nadal importują rosyjski uran dla swych elektrowni atomowych. Prezydent Zelenski w parlamencie belgijskim powiedział: „Są ludzie, dla których diamenty sprzedawane w Antwerpii są ważniejsze niż nasza walka”.

Generał Breedlove określił wojnę w Ukrainie jako „proxy war”, wojnę zastępczą: „Ukraińcy walczą zamiast nas”. Przypomniawszy przy okazji, że „sankcje nigdy nie zmieniły zachowania Putina. Sankcje dotknęły Rosję. Dotknęły Rosjan. Dotknęły gospodarkę Rosji, ale nigdy nie zmieniły działań Putina. A to jest miarką ich przydatności. Najskuteczniejszą sankcją jest metal. Stal. Tritonal [kruszący materiał wybuchowy, mieszanka trotylu i sproszkowanego aluminium]. Siła. Jeśli wystarczy postraszyć nas III wojną światową i użyć broni masowego rażenia, to co go powstrzyma następnym razem przed inwazją na Mołdowę lub Gruzję?”. Nie mają granic ani imperialne ambicje Putina, ani bestialstwo jego żołnierzy. Lepiej zatrzymać go dziś, bo w przyszłości będzie to wymagać większego wysiłku. Jeśli wsparcie dla Ukrainy nie nadejdzie szybko, cały cywilizowany świat zapłaci za to wysoką cenę. Nie budujemy Zelenskiemu pomników. Dajmy mu broń i szansę. Dziś, a nie jutro. ●

Andrzej Lubowski

Zgraja

Zbigniew Ziobro mógłby być Małym Rycerzem, Przemysław Czarnek – Zagłobą, a Janusz Kowalski – oczywiście Rochem Kowalskim. Ale...

Michał Rusinek*



O d początku „dobrej zmiany” nazwa „Niemcy” funkcjonuje jako rodzaj straszaka. Nie po raz pierwszy zresztą, bo przecież podobnie posługiwała się nią propaganda peerelowska. Opisując język władzy końca lat 60., Michał Głowiński pisał: „Stosuje się [...] ogólną nazwę »niemiecki«, czyli zły, złowrogi, antypolski”. Czytając od kilku lat same tylko paski w „Wiadomościach” TVP, możemy się dowiedzieć, że Niemcy wymordowali polską inteligencję, brną w kłamstwa, muszą przeprosić, nie chcą silnej Polski, chcą za to zburzyć polski kościół, blokują polskie porty, finansują antyrządowe protesty, atakują Polskę, zazdroszczą Polsce, a niemiecka polityka znów jest groźna dla Europy.

Isotnie jest tu słowo „znow”, bo argument dotyczący niebezpieczeństw płynących z Niemiec oparty jest na rozumowaniu indukcyjnym: skoro Niemcy już nieraz dopuścili się zbrodni, i to nie tylko na Polakach, to wiele wskazuje na to, że mogą się ich jeszcze dopuścić, więc należy mieć się na baczności. Nieraz, bo przecież oprócz drugiej wojny światowej można zawsze im wspomnieć pierwszą, a także zabory czy nawet wojny z krzyżakami, czyli – jak przypominał ostatnio poseł Solidarnej Polski Piotr Sak – Zakonem Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego.

Ważne też, by doszukiwać się niemieckości w każdym występku, by odbiorcom dobro zmianowej narracji Niemiec kojarzył się wyłącznie negatywnie. Katarzyna Kłosiń-

ska nazywa ten mechanizm rytualizacją. Polega ona na tym, że „istnieje (niepisany zapewne) obowiązek użycia [nazwy »Niemcy«], choćby nawet sytuacja tego nie wymagała”. Dobrym przykładem jest wspomniany pasek: „Niemcy chcą zburzyć polski kościół”, którym sygnowany był materiał telewizyjny poświęcony deweloperowi w Essen (a więc niemieckiemu), który w miejscu kościoła (uczęszczanego przez Polaków, ale jednak niemieckiego) planował wybudowanie domu mieszkalnego. Ponieważ materiał ów pojawił się w TVP w 2017 roku, kiedy słowo „uchodźca” miało w języku „dobrej zmiany” wyłącznie negatywne konotacje, dziennikarz TVP skomentował, że będą to „prawdopodobnie mieszkania dla uchodźców”. Dziś już byśmy tego komentarza nie usłyszeli.

Rytualizacja i występowanie wyrazu „Niemcy” wyłącznie w negatywnych kontekstach spowodowały, że przestał on być neutralną nazwą własną, jak „Hiszpanie” czy „Słoweńcy”. Powstał nowy stereotyp, a właściwie odgrzany został stary: złego Niemca, który tylko udaje nowoczesnego i otwartego, ale w gruncie rzeczy wciąż nam zagraża: Polakom i chrześcijańskiej Europie. Rysuje się nam oto prosta wizja świata: to, co niemieckie, jest złe i niebezpieczne, sprzeciwianie się Niemcom jest więc dobre. Tylko partie rządzące mają odwagę, by nazwać rzeczy po imieniu (a więc umiejętnie zarządzać strachem), i siłę, by sprzeciwić się niemieckiemu złu, podtrzymując przy okazji romantyczny mit o Polakach jako narodzie ofiar poświęcających się w wielkiej bitwie dobra ze złem.

Można by więc polityków Zjednoczonej Prawicy wpisać w role literackich bohaterów: Zbigniew Ziobro mógłby być Małym Rycerzem, Przemysław Czarnek – Zagłobą, a Janusz Kowalski – oczywiście Rąchem, Kowalskim. Im dłużej im się jednak przysłuchujemy, tym bardziej dochodzimy do wniosku, że coraz mniej zasługują na te literackie pierwowzory. Uprawiany przez nich dyskurs polityczny nie przypomina już żadnej literatury, nawet tej popularnej. Kojarzy się natomiast z opartymi wyłącznie na stereotypach, nieśmiesznymi, szkolnymi dowcipami o Polaku, Niemcu i Rusku. Niemiec usiłuje w nich być przebiegły, Rusek jest silny, ale głupi, Polak natomiast sprytny, nieugięty i swojskie dowcipy.

Taką figurą swoiście dowcipnego Polaka z nieśmiesznego dowcipu jest minister Przemysław Czarnek, który wymieniając

niedawno europosłów rzekomo atakujących Polskę na forum Unii Europejskiej, powiedział: „Biedroń, nie-Biedroń, Róża von Hun... von Thun... coś tam po niemiecku, codziennie namiętnie kłamali na temat Polski i Polaków”. Skoro „coś tam”, to nieważne co. Ważne, że po niemiecku, więc nie ma się co dziwić, że osoba o takim nazwisku kłamała. Ciekawe, że oboje, zdaniem pana ministra, kłamali „namiętnie”, a więc z gwałtownym uczuciem, do którego stereotypowo zdolne są wyłącznie kobiety i osoby homoseksualne. Po fali krytyki minister przeprosił, ale jego przeprosiny były kpina z przeprosin: „Dobra, dobra... Entschuldigung. Róża Maria Barbara Gräfin von Thun und Hohenstein geboren Woźniakowska – przepraszam. Reszta zostaje. Tą ustawą naprawiamy lata zdradzieckich pomówień i donosów opozycji na Polskę”. „Przeprosiny” Czarnka nie dorównują, niestety, finezją „przeprosinom” z żydowskich dowcipów. Sąd nakazał Katzowski przeprosić Rosenkranza, więc ten przyszedł do niego i spytał: „Czy tutaj mieszka krawiec Goldberg?”. „Nie. Piętro wyżej”. „Aaa, to ja pana w takim razie bardzo przepraszam!”. To jednak inny poziom dowcipów i inny stereotyp.

O Niemcach i Ruskach wprost mówił w sejmie poseł Janusz Kowalski: „Jesteście skundloną opozycją! Kiedyś była ruska targowica, dzisiaj mamy berlińską opozycję, która robi wszystko, żeby Donald Tusk wrócił do władzy. Wy odpowiadacie za ten kryzys, wy odpowiadacie za to, że nas eurokraci szantażują, i jest mi wstyd, że zasiadacie tak licznie jeszcze w tym Sejmie. Ale wygramy wybory i przywrócimy praworządność, bo wy nie zasługujecie na to, żeby być polskimi posłami”. Czyli nie dosyć, że poseł Kowalski brawurowo zredefiniował praworządność (jako, jak rozumiem, pozbycie się opozycji z Sejmu), to jeszcze oskarżył opozycję o to, że działa w interesie Niemca, tak jak kiedyś targowiczanie, a więc zdrajcy, działali w interesie Ruska. Kynologiczny przymiotnik („skundlony”) sugeruje nierasowość opozycji, a więc że część posłów opozycji może mieć niemieckie, czyli złe, geny. Opozycja, o której marzył poseł Kowalski, byłaby więc opozycja czysta rasowo. Gdyby pamiętał z lekcji historii, kto przed nim miał takie marzenia, pewnie by zrezygnował z przymiotnika „skundlony”. Może po prostu poniosł go emocje – nie po raz pierwszy zreszta.

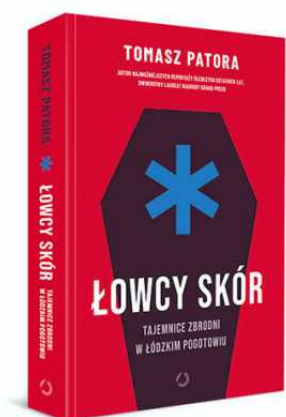
Figurą Polaka nieugiętego (przeciwieństwo „miększona”) ze wspomnianych dowcipów jest minister Zbigniew Ziobro, któ-

ry wprost deklaruje, że się emocjom nie poddaje: „My nie jesteśmy od emocjonalnych ocen, ale od podejmowania racjonalnych decyzji w polityce. Znamy arytmetykę sejmową, mamy 20 posłów, nasze wyjście z rządu oznaczałoby oddanie władzy w ręce Donalda Tuska i całej szajki proniemieckiej”. Wygląda więc na to, że nazwanie Platformy Obywatelskiej „szajką proniemiecką” nie jest efektem gorących emocji, ale chłodnych kalkulacji. Słowniki podają, że „szajka” to zorganizowana grupa przestępcza, w tym przypadku działająca, co gorsza, w interesie złego Niemca. Z prawnego punktu widzenia jest to, moim zdaniem, wypowiedź ryzykowna, bo może grozić pozwem. Ale widocznie ryzyko znacznie spada, jeśli wygłasza ją prokurator, w dodatku generalny.

Ziobro poszedł nawet krok dalej i powiedział: „Nie zamierzamy oddawać władzy Tusкови i tej zgrai kolaborantów niemieckich, którzy chcieliby wprowadzać jej porządek, pod dyktando już pewnie nie z Brukseli, ale bezpośrednio z Berlina”. Pomijając słowo „kolaborant”, do którego politycy „dobrej zmiany” już nas przyzwyczaili, przyjrzyjmy się „zgrai”. W przeciwieństwie do „szajki” jest to grupa nieorganizowana, za to zachowująca się niekulturalnie lub agresywnie. Zgraja wydaje się mniej niebezpieczna niż szajka. Tyle że częściej mówimy o zgrai w kontekście zwierząt, w dodatku zachowujących się nieprzyjaźnie. Skoro wcześniej Ziobro wspomniiał Tuska, a wszyscy pamiętamy lupologiczne fiksacje Jarosława Kaczyńskiego, który zwracał uwagę na „wilcze oczy” i „wilcze zęby” przewodniczącego PO, więc „kolaboranci niemieccy” przyjmują dla nas postać zgrai wilków.

I tu wychodzimy ze sfery dowcipów. Bo dowcipy się kończą tam, gdzie zaczyna się dehumanizacja („skundlenie” także jest jej wyrazem); obecna choćby w retoryce nazizmu i retoryce Hutu w Rwandzie. W obu przypadkach poprowadziła ona poza język – na zasadzie przyzwolenia na usunięcie kogoś poza wspólnotę ludzi. Usunięcie symboliczne, ale i dosłowne. Na dehumanizację zgadzać się nam nie wolno. Zrozumiała to nawet polska policja, uznając zagrożenie życia Donalda Tuska za niesymboliczne i przyznając mu dosłowną ochronę. ●

***Michał Rusinek** – wykłada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, prowadzi fundację jej imienia. Feminista



NAJWIĘKSZA ZBRODNI WOLNEJ POLSKI

23 stycznia 2002 r. dziennikarze śledczy „Wyborczej” **Tomasz Patora** (dziś w „Uwazdel!” i „Superwizjerze” TVN) i **Marcin Stelmasiak** (dziś redaktor „Wyborczej”) we współpracy z **Przemysławem Witkowskim** z Radia Łódź pokazali, jak w Łodzi funkcjonuje system handlu informacjami o zgonach. Zakłady pogrzebowe korumpowały pracowników pogotowia, by jak najszybciej się dowiedzieć, kto i gdzie zmarł, by zarobić na nieboszczyku (czyli „skórze”). W pogoni za niebotycznymi pieniędzmi pracownicy pogotowia zaczęli zabijać pacjentów.

W 21. rocznicę ujawnienia afery Patora wraca do sprawy w książce **„Łowcy skór. Tajemnice zbrodni w łódzkim pogotowiu”**. Zastanawia się w niej, jak to możliwe, że za śmierć, jak dowodzi, ponad tysiąca, a może kilku tysięcy ludzi, odpowiedzialna garstka osób, a mordercy chodzą dziś na wolności.

Mogli zabić nawet kilka tysięcy osób. Dlaczego zamieniono pod dywan największą aferę wolnej Polski?

Z **TOMASZEM PATORĄ**
ROZMAWIA **JĘDRZEJ ŚLÓDKOWSKI**

Ilu ludzi zabili pracownicy łódzkiego pogotowia?

– Ponad tysiąc. Nie wiemy tylko, ile jest to „ponad”.

To kompletnie zmienia postrzeganie afery „łowców skór”. Dlaczego w powszechnej świadomości zachowało się, że od pavuloniu zginęło kilka osób? Sam to tak zapamiętałem.

– Bo zapamiętano wyroki sądu. Za zabójstwo skazano tylko dwóch sanitariuszy; jednemu udowodniono cztery, drugiemu jedno. Ale to promił wszystkich ofiar. Ich liczbę możemy oszacować na podstawie zużycia leków.

Wyliczasz: tylko między 1 grudnia 1997 r. a 1 stycznia 2002 r. w łódzkim pogotowiu zużyto: 843 fiołki pavuloniu, ok. 200 fiołek skolinu, co najmniej 200 fiołek chlorku potasu. To daje ok. 1250 fiołek.

– To, że te leki nie mogły w łódzkim pogotowiu służyć praktycznie do niczego innego niż do zabijania, zostało udowodnione w sądzie. Pavuloniu, skolinu i chlorku potasu w karetkach używa się incydentalnie. Są też tanie, więc nie były kradzione na potrzeby czarnego rynku. I są w zasadzie niemożliwe do wykrycia w sekcji zwłok.

Twierdzisz, że 1250 fiołek nie oznacza wcale 1250 zabitych pacjentów. Bo niektóre fiołki dzielono.

– Pracownicy pogotowia się zorientowali, że jeśli mają do czynienia z pacjentem w stanie terminalnym, nie muszą tracić całej dawki. Wystarczy pół albo jedna trzecia ampulki.

Te dane zebrał tajny zespół doktora Janusza Morawskiego. Trafił on do pogotowia w połowie 2001 r., został wicedyrektorem i nie mógł uwierzyć w to, co widzi: całe pogotowie ogarnięte było „szaleństwem” – to słowo przewijało się potem w zeznaniach – handlu „skórami”. Szybko zrozumiał, że system ma drugi poziom – zabijania dla zysku. I zaczął zbierać dowody. W konspiracyjnych warunkach zdołał zgromadzić dane za okres czterech lat i jednego miesiąca.

A pracownicy łódzkiego pogotowia handlowali „skórami” przez jakieś 11 lat. Ile trwał zabijanie?

– Co najmniej sześć lat.

Zabijano też innymi lekami, np. do obniżania ciśnienia – ebrantilem, stąd ksywa jednego z sanitariuszy „Doktor Ebrantil”. Albo isoptinem.

– „Isoptinek”, jak mówił o tym leku pieszczotliwie jeden z zabójców.

Tak naprawdę prawie każdym lekiem, który jest w wyposażeniu karetki, można zabić. Kolejny przykład – euphyllin, lek służący rozszerzaniu oskrzeli, który akurat załogi karetki, w przeciwieństwie do pavuloniu, wykorzystują w codziennej pracy. Ignacy Baumberg, wybitny specjalista ds. medycyny ratunkowej, wówczas pracujący w łódzkim pogotowiu, wspomina, że już w połowie lat 90. miał podejrzenie graniczące z pewnością, że zespoły ratunkowe zabijały dla pieniędzy ze „skór” właśnie za pomocą nierozcieńzonego euphyllinu.

Natomiast pod koniec dekady pracownicy pogotowia czuli się tak bezkarni, że przestali się przejmować pozorami. Stąd pseudonimy, które znali wszyscy w pogotowiu – „Doktor Ebrantil”, „Mengele”, „Doktor Potasik”, „Skorołapka”, „Anioł Śmierci”. Byli tak pazerni, że potrafili się pobić na pogotowiu o ampulkę pavuloniu, którą jeden pożyczył od drugiego, bo nie zdążył jej ukraść z wewnętrznej apteki przed własnym dyżurem.

Do tego dochodzi trudna do oszacowania liczba zabitych przez celowe zaniechanie. Bo do kogoś z atakiem serca wysłano umyślnie karetkę z drugiego końca miasta, choć inna stała 100 m od chorego. Bo po drodze do umierającego załoga jechała do McDonalda. Bo po przyjeździe do mieszkania lekarz kazał podać sobie kawę i zamiast reanimować, żądał jakichś nieistotnych dokumentów.

– Nazywali to „klarowaniem”: „pacjent musi się wyklarować”.

No to jeszcze raz: ilu ludzi zabili pracownicy łódzkiego pogotowia?

– Myślę, że kilka tysięcy.

Zespół Morawskiego zebrał też inne dane: w siedem pierwszych miesięcy 2001 r. trzy załogi karetek „straciły” niemal tyle samo pacjentów co 105 pozostałych.

– Miały ponadstukrotnie niższą skuteczność reanimacji od kolegów! Przypadek?

Dlaczego dane dotyczą akurat trzech zespołów? Bo akurat one, jak zauważył Morawski, używają pavuloniu w ilościach kosmicznych. Ale to nie były jedyne zespoły, które używały pavuloniu. Pavulon był używany prawie we wszystkich karetkach, tylko niekoniecznie w takich ilościach. Z czego wniosek, że zabijało nie kilka, ale wiele osób. Tyle że niektórzy – na potęgę.

Do czego służy pavulon?

– Do podtrzymania życia przy długich przejazdach. Przykład: mamy nieprzytomnego pacjenta, którego chcemy

przewieźć z Łodzi do Kutna. Intubujemy go. Oddycha za niego maszyna, a my podajemy pavulon, który zwiotcza mięśnie płuc, i wygodnie dowozimy go do Kutna. Ogromna większość lekarzy z wieloletnim stażem, z którymi rozmawialiśmy, nigdy nie miała potrzeby użycia pavuloniu – to nie jest lek, który musi być na wyposażeniu karetki. Od ujawnienia afery zresztą nie jest.

Śmierć od pavuloniu jest chyba jedną z najstraszniejszych, jakie można sobie wyobrazić.

– Tak, bo umierasz na trzeźwo. Twój mózg jest w pełni sprawny, ale nie jesteś w stanie oddychać. I to trwa długo.

Nawet 10-15 minut.

– Wszystko zależy od tego, jak silne masz serce. Serce bije, dopóki starczy mu tlen. W końcu pęka. Dlatego sekcyjny obraz śmierci po pavuloniu to obraz zawału serca. To kolejny powód, dla którego tak trudno udowodnić komuś zabicie pavulonem.

Umierasz z pełną świadomością, że umierasz. Nie widzisz oprawcy, bo opadają ci powieki, których mięśnie też wiotczą. Ale go słyszysz. I nie możesz nic zrobić.

Skąd to wiemy? Z relacji pacjentów z różnych stron świata, którym przez przypadek podano pavulon. A na naszym podwórku – z opowieści prominentnego łódzkiego lekarza, który po takiej pomyłce zdołał odratować pacjenta, a ten zrehabilitował mu, co czuł.

Dopiero z książki dowiedziałem się o ponad 1,2 tys. ofiar. Skoro te dane były znane, to dlaczego właściwie do dziś pozostawały nieznane?

– Dane zebrane przez wicedyrektora Morawskiego znalazł jego przełożony Bogusław Tyka, który został dyrektorem niedługo przed ujawnieniem afery. Znały je władze województwa, któ-



re nadzorowały pogotowie. Znało je środowisko lekarskie. Znała je prokuratura – zostały przekazane do CBS i trafiły do akt sprawy.

My poznaliśmy te liczby już po publikacji pierwszego reportażu. Po długich debatach w redakcji zrezygnowaliśmy z podania w gazecie konkretnej liczby. Baliśmy się, że to może doprowadzić do ataków na karetki. No i byliśmy już wtedy w głębokiej defensywie; po ujawnieniu działalności „łowców skór” atakowali nas politycy, środowisko lekarskie, inne media. Zostaliśmy potępieni jako ci, którzy rozwalają zaufanie do służb, od których zależy życie Polaków.

Atmosfera w Łodzi była na granicy paranoi. Pamiętam, że bałem się nawet jechać do mojego liceum, które stoi przy tej samej ulicy co pogotowie. Że za karetkami krzyczano: „mordercy!” i rzucano w nie kamieniami.

– Akurat bajeczkę o kamieniach wymyślił dyspozytor Tomasz S., którego sędzia nazwał później „zawiadowcą” całego systemu handlu „skórami”. Był rzecznikiem pogotowia, więc dziennikarze z całej Polski podstawiali mu mikrofony pod nos i puszczało to dalej.

Ale z powodu waszej decyzji dopiero dziś dowiadujemy się o skali tej zbrodni!

– Rozumiem, że możesz mieć do nas pretensje, ale – do cholery – tę liczbę znali ci, którzy powinni byli zrobić z niej użytek: politycy, prokuratorzy, lekarze. Organy państwa. Nie zrobili z tym nic! I pamiętaj, że ostatnie ze śledztw zakończyło się – zresztą niczym – w grudniu 2012 r. Ciągłe słyszeliśmy z prokuratury: śledztwo trwa, badane są m.in. wątki zabójstwa chlorkiem potasu. Liczyliśmy, że może nastąpić jakiś przełom.

Zajmowałeś się tą sprawą dekadę, teraz wróciłeś do niej w książce, ale – jak piszesz – wciąż nie znasz odpowiedzi na cztery kluczowe pytania. Zacznijmy od pierwszego: „Skąd się wzięli »łowcy skór«?”.

– Masowy handel informacjami o zgonach narodził się wraz z transformacją: na rynek usług pogrzebowych pełną parą wkroczył kapitalizm. Za komuny w każdym mieście mieliśmy taki zakład jak łódzkie Miejskie Przedsiębiorstwo Usług Komunalnych, któ-

re m.in. organizowało pogrzeby. W 1990 r. na rynek weszło mnóstwo prywatnych firm.

Szybko się okazało, że potrzebny jest jeden element, żeby wszyscy zaczęli zarabiać – informacja o zgonie. W interesie szefów zakładów pogrzebów było to, by jak najszybciej się dowiedzieć, kto i gdzie umarł, dotrzeć do rodziny i przekonać ją, żeby skorzystała z usług jego zakładu.

Zaczęło się od szpitali, które jak wszystkie państwowe firmy po 1990 r. wyrzucały na zewnątrz wszystkie usługi niezwiązane z ich podstawową działalnością; dziś znamy to jako outsourcing. Jedną z takich usług było prowadzenie sekcji. Firmy pogrzebowe zaczęły je wynajmować od szpitali, najczęściej za łapówkę. Chodziło nawet nie o to, by z nich korzystać, ale o to, by być na miejscu, kiedy przyjdzie rodzina zmarłego, i od razu zawrzeć z nią umowę.

Firmy pogrzebowe zawierały też deale z salowymi, pielęgniarkami, lekarzami – tymi wszystkimi, którzy jako pierwsi mieli informację o tym, kto i gdzie zmarł. A więc także policjantami z drogówki, strażakami. No i pracownikami pogotowia.

Opowiedz o typowym schemacie sprzedaży „skóry”.

– Umiera ci babcia. Wzywasz pogotowie. Lekarz stwierdza zgon. Teraz powinien cię poinstruować: „Ciało nie może leżeć długo w domu. Proszę wybrać jakiś zakład pogrzebowy z gazety lub książki telefonicznej. Przyjadą, podpisze pan umowę i zabiorą ciało do chłodni. Potem pójdzie pan z aktem zgonu do ZUS-u, odbierze zasiłek pogrzebowy, dzięki któremu pokryje pan koszty pogrzebu”.

Ale pracownik pogotowia mówił: „Wie pan, jest taki dobry zakład, nie oszukają pana, a z innymi to różnie bywa, proszę skorzystać z ich usług. Oto wizytówka, proszę zadzwonić od razu”. Przyjeżdżali i często od razu dawali kasę załozde karetki.

To schemat wyjściowy zakładający, że rodzina jest w szoku, nie wie, jak się do tego wszystkiego zabrać. Ale ludzie bywają czujni, więc medycy wypracowali cały wachlarz trików. Na przykład dawali cynk zakładowi, by przyjechał po ciało, i oświadczały rodzinie: „To my już jedziemy, za chwilę przyjedzie zespół przewoźowy i zabierze zwłoki do chłodni”, jakby to była dalsza część procedury. Specjalnie unikali sformułowania „zakład pogrzebowy”, by rodzina myślała, że

trzech smutnych panów ubranych na czarno to nadal ludzie z pogotowia. Bliscy zmarłego dowiadywali się o tym, kiedy przyjeżdżali do chłodni, która okazywała się chłodnią zakładu pogrzebowego, a nie pogotowia. Zazwyczaj ludzie machali ręką, ale jeśli fikał, pracownik zakładu ostrzegał, że przewóz zwłok do innego zakładu będzie kosztował kilkaset złotych.

A jeśli powiedziałbym sanitariuszowi: „Dziękuję za polecenie zakładu, ale dziadek umarł w zeszłym roku i firma X świetnie go pochowała”?

– Wtedy lekarz mógł cię delikatnie zaszantażować: „Oj, wie pan, zaczynam mieć wątpliwości, czy babcia umarła naturalnie, chyba wpiszę w karcie, że nie wykluczam udziału osób trzecich i niestety potrzebna będzie sekcja” – i tu lekarz robił cięcie ręką wzdłuż ciała, pokazując na babcię. I już widzisz krojoną babcię i wiesz, że wszystko będzie się ciągnęło, a jeszcze nie daj Bóg prokuratura się w to włączy!

We wszystkich dużych miastach handlowano „skórami”. Pytanie brzmi: czy także zabijano?

Bo skoro grunt był wszędzie taki sam, to dlaczego tylko w Łodzi miałoby dochodzić do zbrodni?

Szef jednego z zakładów powiedział w sądzie: „Przyjeżdżałem, kiedy jeszcze trwała reanimacja”.

– Zdarzyło się nawet, że lekarz przywiózł do zakładu pogrzebowego jeszcze żywego pacjenta i tam pozwolił mu się „wyklarować”.

Szef jednego z zakładów pogrzebowych ujawnił, że z jednego „czystego” pogrzebu miał zysk jak z 36 opłaconych pogotowiu! Więc płacenie medykom mu się nie opłacało. Tylko że jeszcze bardziej nie opłacało mu się niepłacenie.

– Proceder trwał, bo zależało na tym największym firmom. Je było stać na płaceniu coraz wyższych stawek. Mało tego, kilka dużych firm zakładało firmy słupy, które robiły kilka pogrzebów miesięcznie, ale za to podbijały stawkę, na którą musiały odpowiedzieć małe firmy.

A co, jeśli zakład nie chciał płacić za informacje?

– To nie miał ko-go grzebać. Zebrałiśmy pełno opowieści od właścicieli małych zakładów, którzy próbowali przestać płacić, bo nie dawali już rady w konkurencji z dużymi firmami. Po dwóch dniach mogli zamknąć firmę – mieli zero pogrzebów.

Kluczową rolę w machinie handlu „skórami” odgrywali dyspozytorzy pogotowia.

– To od nich zależało, kto zarobi. Dyspozytor decydował, czy dany zespół pojedzie

do pacjenta z kaszlem czy do twojej umierającej albo zmarłej już babci, czyli do pewnych pieniędzy.

Zespoły na jednym 12-godzinny dyżurze potrafiły dobić nawet do 10-15 „skór”. Policzmy: 10 „skór” po 1,5 tys. zł do podziału na cztery osoby: dyspozytora, kierowcę, sanitariusza i lekarza. Wychodzi po 3750 zł na głowę, czyli na dzisiejsze mniej więcej – 7,5 tys. W jeden dzień mogłeś zarobić znacznie więcej niż twoja miesięczna pensja!

Jak powiedzieliśmy, „zawiadowcą” całego procederu handlu „skórami” był Tomasz S. Pełnił funkcję starszego dyspozytora, ale odpowiadał też w pogotowiu za nadzór – czyli kontrolował pracę innych. Do tego był rzecznikiem pogotowia oraz szefem najważniejszego ogólnopolskiego branżowego związku zawodowego.

Wziąwszy pod uwagę to, ile lejcy dzierżył w dłoniach, Tomasz S. był po prostu najważniejszym człowiekiem w pogotowiu. Wchodził do gabinetu dyrektora Ryszarda Lewandowskiego, a tamten zrywał się na baczność, podbiegał do dyspozytora i ścisnął jego dłoń.

Skąd ta unizoność dyrektora?

– Można tylko przypuszczać: bał się go. Mając za sobą ogólnopolski związek oraz pracowników pogotowia, S. z łatwością mógłby naciskać na lokalnych polityków, by odwołali Lewandowskiego.

Ale system był wygodny i dla dyrektora: pracownicy nie domagali się podwyżek. Wyliczyliśmy, że od firm pogrzebowych do pogotowia płynęło między 3,6 a 4,5 mln zł rocznie.

Na ilu ludzi się to rozkładało?

– Policzmy: około 100 zespołów karetek po trzy lub cztery osoby. Plus dyspozytorzy. Wychodzi mniej więcej 400 ludzi.

A ilu nie handlowało?

– Kilka osób. Ci, którzy nie handlowali, byli traktowani jak głupki, idioci, którzy nie podnoszą pieniędzy z ulicy.

Byli głupkami czy mieli moralność?

– Dobre pytanie. Nie wiem, czy byli tak mądrzy, że wiedzieli, że prędzej czy później to się wywróci, i bali się konsekwencji, czy mieli faktycznie motywację moralną.

Część lekarzy, którzy pomagali nam w odkryciu afery, też wcześniej handlowała „skórami”. Z różnych powodów. Raz, finansowego. Dwa, żeby być traktowanym jak swojak. Na zasadzie „kto nie pije, ten kabluje” – uważaj, on nie bierze, czyli donosi. A zespół ma sporo możliwości, zwłaszcza sanitariusze, żeby wsadzić, jak to się mówi, lekarza na lewe sanki. Na przykład podać choremu nieprawidłowy lek, z czego lekarz będzie się musiał potem tłumaczyć.

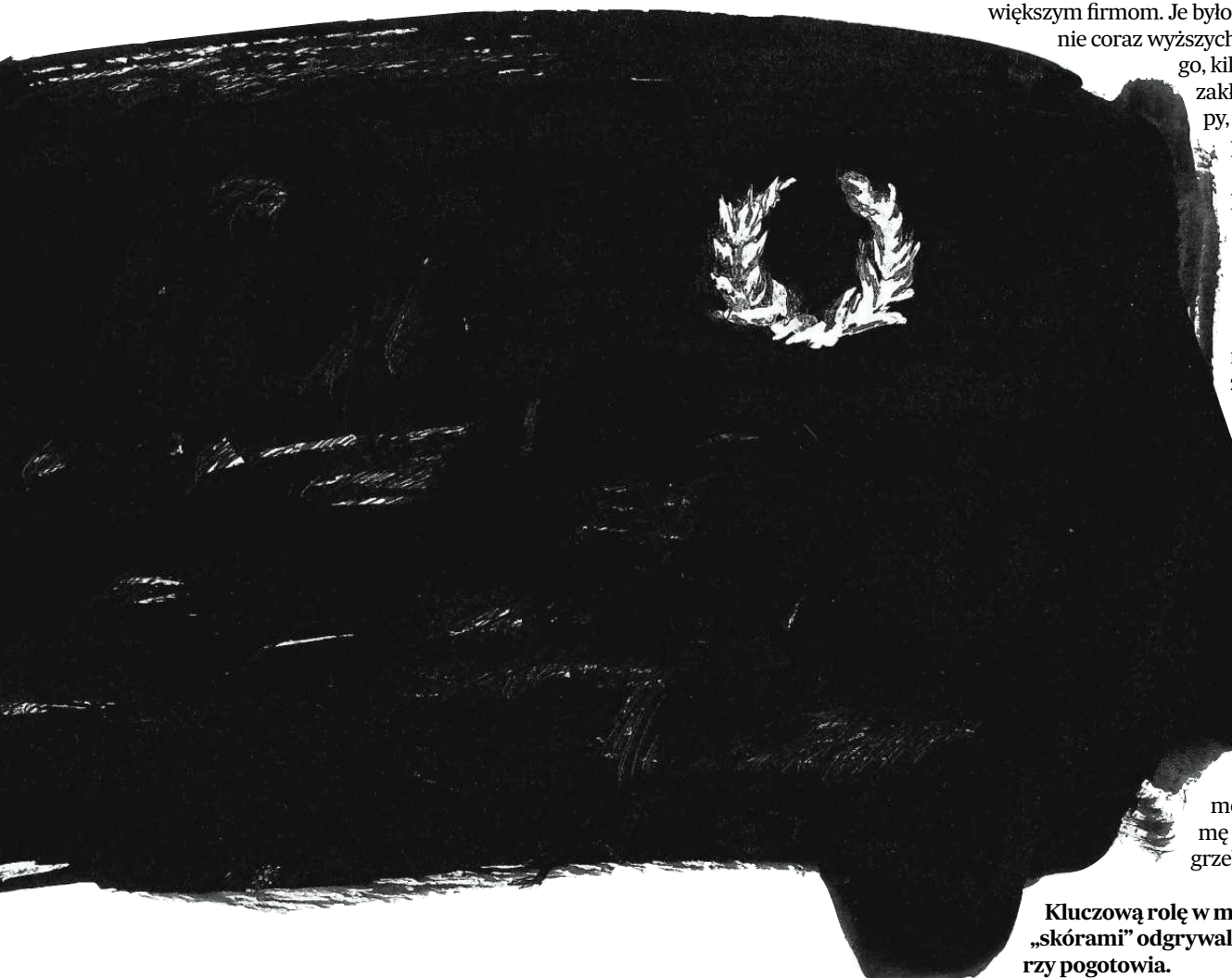
Kolejny schemat. Dzwonię na pogotowie i mówię: „Coś się dzieje z moją babcią; może atak serca, zawał, wylew, nie znam się, przyjeďte!”.

– To sytuacja „babcia chyba nie żyje”. „Chyba nie żyje” to słowa klucze, które sprawiały, że dyspozytorowi od razu zapalała się lampka: może być z tego „skóra”! Więc karetka jechała czasem godzinę, nawet dwie, by babcia zdążyła się „wyklarować”.

A co, jeśli po dwóch godzinach przyjechałi, a babcia wciąż żyła?

– Weźmy realną sytuację. Ulica Tramwajowa w centrum Łodzi. Zespół przyjeżdża do starszej kobiety, którą wezwał zrozpaczony mąż. Wynoszą ją do karetki, ale nie jadą do szpitala, który jest kilkaset metrów dalej. Karetka stoi pod blokiem i czeka, aż pacjentka umrze. Wiemy o tym, bo mąż zadzwonił po syna, a syn przyjechał pół godziny później i zobaczył karetkę pod domem.

Albo inna sytuacja. 90-letnia pani Anastazja, domek jednorodzinny na obrzeżach Łodzi. Wielopokoleniowa rodzina, wszyscy w domu. Stan ciężki, ale stabilny. Karetka wzywana jest po raz kolejny w ciągu ostatnich kilku tygodni. Wcześniej wizyty wyglądały tak samo: karetka przyjeżdżała, wstrzy-



kiwano jej jakieś leki i stan kobiety się poprawiał. Tym razem w kilka minut od wstrzyknięcia jakiegoś preparatu – domyślamy się, że to pavulon – kobieta nagle umiera na oczach rodziny.

Jeszcze jeden schemat: pogotowie przyjeżdża do zmarłego. Lekarz chce sprzedać informację o „skórze”, więc wpisuje w kartę zgonu, że zgon nastąpił bez udziału osób trzecich. Bo jeśli podejrzewa morderstwo, ciało musi trafić na sekcję i zespół pogotowia informacji o zgonie nie sprzeda. Ile zabójstw pozostało niewykritych?

Myślę, że gdyby przeprowadzić ankietę wśród zabójców do wynajęcia, czy zamordowaliby za 300-500 zł, to raczej by odmówili. A pracownicy pogotowia to robili. I tu dochodzimy do pytania numer dwa: „Jak to się stało, że wraz z dynamicznym rozwojem wolnej, demokratycznej Polski w pogotowiu przez wiele lat cenniejsza od życia była śmierć, a jego pracownicy, zamiast ratować – zabijali?”

– Podstawowa sprawa to utrwalone poczucie bezkarności. Pracownicy pogotowia łatami przyzwyczajali się do tej nowej normy, w której śmierć jest cenniejsza od życia. Nastąpiło stępienie tego, o co w pogotowiu chodzi: czyli żeby zawsze ratować, bez względu na to, jakie ktoś ma szanse na przeżycie.

Dla mnie symbolem jest samo słowo „skóra”. Myśliwi też nie mówią „krew”, tylko „farba”.

– Łatwiej jest zabijać i handlować, kiedy nie myśli się, że robi się to z żywą istotą. W Łodzi przynajmniej to się nazywało tak, jak powinno, bo „skóra” to nie jest sympatyczne słowo. W Warszawie też mówiono „skóra”. Ale już w Krakowie – „spioszki”. „Sprzedaliśmy śpiocha”.

Dopiero dzięki twojej książce zrozumiałem, że handel „skórami” to nie był problem tej strasznej, upadłej – jak wtedy na nią patrzono – Łodzi. Za to tylko w Łodzi byli dziennikarze, którzy potrafili się zająć tą sprawą. Przecież już w 1994 r. „Życie Warszawy” opublikowało list szefów niektórych zakładów pogrzebowych ze stolicy, wkurzonych tym, że konkurencja płaci za informacje o zgonach i psuje rynek.

– We wszystkich dużych miastach handlowano „skórami”. Pytanie brzmi: czy także zabijano? Bo skoro grunt był wszędzie taki sam, to dlaczego tylko w Łodzi miałyby dochodzić do zbrodni?

A w takiej Warszawie handel „skórami” był jeszcze bardziej patologiczny. Tam lekarze cedowali na zakłady pogrzebowe wpisanie informacji o wykluczeniu osób trzecich. Innymi słowy – grabarze wypisywali karty zgonu! Nikt jednak nie zbadał, czy dochodziło tu do zabijania. Mało tego, w Warszawie nikogo nawet nie skazano za handel „skórami”! Sami zanieśliśmy do prokuratury stu-procentowe dowody i złożyliśmy zawiadomienie. Po paru latach paru osobom przedstawiono parę zarzutów, po czym sąd sprawę umorzył.

Kiedy poczuliście, jak gruba to sprawa? – Wracaliśmy z Marcinem z rozmowy z kierowcą karetki. I nagle pojęliśmy, jak on rozumuje.

Kierowca karetki teoretycznie jest, jak to mówili, trzecim garniturem. Jego zadaniem jest dojechać do pacjenta, ewentualnie taszczyć walizki za lekarzem. Tylko że w handlu informacjami o zgonach jest zawodnikiem kluczowym. To przecież on w godzinach szczytu powinien pędzić na granicy ryzyka przez zakorkowane centrum. Ale powiedzmy, że usłyszał przy zgłoszeniu, że jadą do pacjenta w stanie terminalnym, np. z nowotworem po trzech zawałach. Przecież on wie, że jedzie do pewnej „skóry”. Jeśli będzie zapieprzał i zdąży do żywego pacjenta, a potem jeszcze żywego dowiozą na izbę przyjęć i pacjent umrze tam, to nie oni, ale ci z izby przyjęć dostaną kasę od zakładu pogrzebowego. Ale jeśli powoli dojedzie do „skóry”, to będzie miał z niej więcej niż za cały dyżur. A takich spraw ma na dyżurze kilka albo kil-

kanaście. Przez 12 miesięcy w roku. Przez kilka lat. Czy to nie ma wpływu na jego motywację?

Zrozumieliśmy, że z każdym takim wyjazdem u pracowników – nie tylko kierowców – stępia się wrażliwość. I nie trzeba być żadnym zwyrolem. Wystarczy, że znajdziesz się w odpowiednim czasie, odpowiednim miejscu i odpowiednim otoczeniu, w którym wszyscy wokół robią to samo. Ze wszystkimi dookoła będziesz walczył? Przecież wezmą cię za idiotę. I jeszcze będą ci szkodzić. Banalność zła.

Ale to was szybko uznano za szwarccharaktery.

– Żadna z państwowych służb nie potwierdzała oficjalnie tego, co napisaliśmy w pierwszym reportażu: że zabijano pavulonem. Wszyscy się bali. Zatrzymania nastąpiły dopiero po kilku dniach, gdy chaos informacyjny trwał już w najlepsze. A po paru tygodniach okazało się, że śledczy nie mają nic twardego. Czyli „Wyborcza” rozpętała piekielną aferę, oskarżyła ludzi o morderstwa, a ludzie wychodzą z aresztów. Czyli nic się nie stało!

Politykom nie zależało, by pokazać, że handel „skórami” i zabijanie miały systemowy charakter. Łatwiej powiedzieć: „mieliśmy tu czterech zwyroli” niż „musimy zreformować cały system służby zdrowia”

Kilka tygodni po ujawnieniu afery byliśmy już prosiaczkami opiekanymi na grillu. Sam premier Leszek Miller, poseł z Łodzi, jak się nieoficjalnie dowiedzieliśmy, miał pretensje do „Wyborczej”, że tą publikacją chcieliśmy zepsuć 100 dni jego rządu. A izby lekarskie i pisma branżowe przedstawiały nas jako żądných sensacji pismaków, którzy wyszali z palca ciężkie oszczerstwa, żeby zwiększyć sprzedaż gazety.

Zdumiała mnie postawa lokalnej konkurencji, która szybko stanęła po stronie morderców.

– Przez pierwszy tydzień po ujawnieniu przez nas sprawy lokalni dziennikarze rozrabiali aferę na własną rękę. Wiedzieli, co jest grane. Dopiero po paru dniach, kiedy okazało się, że nie doszło do spektakularnych działań służb, trend się zmienił. Zaczęto ferować wyroki, że nic się nie stało, dając trybunę choćby Tomaszowi S., który jak gdyby nigdy nic dalej pełnił funkcję rzecznika. Świetna okazja do podgryzienia konkurencji.

To była lekcja, której nie nauczą cię w żadnej szkole dziennikarstwa: nie musisz popełnić zawodowego błędu, żeby przegrać. Wystarczy, że w interesie wszystkich jest to, żeby sprawę zamieść pod dywan.

Ale mieliśmy nieprawdopodobne szczęście; zdarzyło się coś, z czym w postępowaniu karnym mamy do czynienia raz na milion! Oto człowiek, na którego nie ma cienia dowodu, z własnej woli przyznaje się do najgorszych zbrodni. To była niedziela, zadzwonił do nas prokurator Kazimierz Olejnik: „Bingo, panowie. Nie uwierzycie, ale są zarzuty zabójstwa”. Ten telefon uratował nam zawodowe życie.

Chodzi o sanitariusza Andrzeja N., ksywa „Doktor Ebrantil” albo „Koń”.

– Albo „Mengele”, miał kilka pseudonimów. Został zatrzymany i miał być przesłuchiwany pod zarzutem fałszowania recept, czyli wyprowadzania z wewnętrznej apteki pogotowia pavulonu.

Tymczasem ni stąd, ni zowąd przyznał się do zabijania pavulonem. Nie bez znaczenia było pewnie to, że miał potwornego kaca. „Jestem trzeźwy pierwszy raz od Wigilii” – powiedział. A to był czerwiec. Ale ważniejszy niż kac był niewinny fortel prowadzących śledztwo. Zasugerowano „Doktorowi Ebrantilowi”, że jeśli przyzna się do wi-

ny i obciąży innych, będzie mógł się starać o status małego świadka koronnego. A on uwierzył, że po tym, jak przyzna się do 30 morderstw, dostanie łagodną karę, a może nawet wyjdzie na wolność! Tymczasem gdyby wziął adwokata i odmówił składania wyjaśnień, jak wielu z jego kolegów i koleżanek, nic by mu nie groziło.

„Doktor Ebrantil” odsiaduje dożywocie za cztery udowodnione zabójstwa i pomoc sanitariuszowi Karolowi B. w piątym. Karol B. dostał 25 lat za jedno zabójstwo i czterokrotną pomoc w zabójstwach Andrzejowi N. Jeżdżący z nimi lekarze też zostali skazani, ale nie za zabójstwa, bo nie udowodniono im podawania pavulonu, ale za „narażenie życia pacjentów”, bo ich nie ratowali. Janusz K. dostał sześć lat więzienia za dziesięciu pacjentów, Paweł W. – pięć lat za czterech.

I tu przechodzimy do trzeciego pytania: „Dlaczego zabijali niemal wszyscy, w tym lekarze, ludzie wykształceni, którzy pod przysięgą zobowiązali się służyć zdrowiu i życiu?”

– Ramą dla tej historii jest bolesne zderzenie charakterystyczne dla lat 90.: tych, któ-

rzy wygrali w nowym systemie, z tymi, którzy przegrali. Wygranymi byli biznesmeni z dynamicznie rozwijającej się branży zakładów pogrzebowych. Przegranymi – pracownicy pogotowia. Sanitariusze, pielęgniarce czy kierowcy zarabiali skandalicznie mało, wiedząc zarazem, że pełnią doniosłą społeczną funkcję: ratują ludzkie życie. Ale przegranymi byli także lekarze, bo wówczas do pogotowia trafiali tacy, którzy nigdzie indziej nie znaleźli sobie pracy. To ciężka robota, słabo jak na ten zawód opłacana i raczej trudno po godzinach prowadzić jeszcze prywatną praktykę.

Dla pracowników pogotowia współpraca z branżą pogrzebową była więc przepustką do lepszego świata.

Zazwyczaj w historii kryminalnej nie wiadomo, kto jest winny. Tu wiadomo: w handel „skórami” umoczeni byli wszyscy przedsiębiorcy pogrzebowi oraz kilkuset pracowników pogotowia. Tymczasem oprócz wspomnianych sanitariuszy i lekarzy skazanych za śmierć i nieratowanie pacjentów udało się skazać za handel informacjami o zgonach ledwie trzech lekarzy, jednego sanitariusza i jedną dyspozytorkę. W zawieszeniu.

– Co gorsza, to byli kompletnie przypadkowi ludzie. Także tacy, którzy tylko kilka razy wzięli udział w procederze i byli na tyle uczciwi, by się przyznać.

Ogromna większość uniknęła jakiegokolwiek kary. Wielu wciąż pracuje w zawodzie. Pewien lekarz, który zabijał w pogotowiu, robi ostatnio piękną karierę akademicką. Dyrektor pogotowia Lewandowski awansował potem na naczelnika w łódzkim oddziale Narodowego Funduszu Zdrowia, gdzie odpowiadał za gospodarkę lekami, choć bałagan, który panował w magazynie leków i aptece pogotowia za jego rządów, umożliwił masowe zabijanie. Tomasz S. po umorzeniu sprawy pozwał skarb państwa za „niesłuszny” areszt. Dostał 21 tys. zł odszkodowania i 10 tys. od pogotowia za „niesłuszne” zwolnienie z pracy. No i żadnego wyroku nie dostał żaden przedstawiciel zakładu pogrzebowego.

Dlaczego?

– Były dwie płaszczyzny, na których ta sprawa wyhamowała: prawna i polityczna. Najpierw o tej pierwszej. W prokuraturze zapanowało poczucie triumfu: doprowa-

dziliśmy do skazania sanitariuszy, choć nie mieliśmy dowodów! Wykonaliśmy mission impossible! Prokuratorzy zrobili naprawdę fantastyczną robotę, ale z upływem lat zapal zastępowało moim zdaniem myślenie: ile mogą mieć takich fuksów jak ten z „Doktorem Ebrantilem”? Będę się ładować w kolejne sprawy, z których nic nie wyniknie, skoro leków i tak nie da się wykryć w sekcji?

Czy naprawdę nie można było inaczej poprowadzić tych spraw?

– Niezwykle trudno byłoby udowodnić zabójstwo większej liczbie osób. Pokażę to na przykładzie „Doktora Ebrantila”, który w pierwszej chwili przyznał się do zabójstwa około 30 osób, ale skazany został za cztery. Dlaczego? Bo był olbrzymi problem ze zidentyfikowaniem ofiar. Jak bowiem wygląda świat z perspektywy sanitariusza karetki, w tym wypadku jeszcze do tego wiecznie pijanego? Zeznawał mniej więcej tak: „To był dom gdzieś pod Łodzią, jak się wchodziło, po lewej był taki śmieszny telefon, po prawej kuchenka na węgiel. A kiedy to było? Zimą”. No i weź to dopasuj do konkretnego trupa. A potem trzeba znaleźć dokumentację medyczną tego przypadku, przesłuchiwać cały zespół, zderzyć ich zeznania z zeznaniami sanitariusza i jeszcze wykazać bezspornie, że pacjent zmarł z powodu pavulonu.

Ale można było zrobić o wiele więcej, żeby ukarać przynajmniej lwią część zaangażowanych w handel informacjami o zgonach. Można było pokazać, jak ogromną skalę miał ten proceder. Tylko to wymagało ogromnego nakładu pracy.

Tu dochodzimy do drugiej, politycznej płaszczyzny: także politykom nie zależało, by pokazać, że handel „skórami” i zabijanie miały systemowy charakter. Łatwiej powiedzieć: „mieliśmy tu czterech zwyroli” niż „zginęło tysiąc, a może kilka tysięcy ludzi, musimy zreformować cały system służby zdrowia, od finansowania poczynając”.

Sędzia Sądu Najwyższego, oddalając kasację wniesioną przez obrońców skazanych sanitariuszy i lekarzy, powiedział: „Ta sprawa nie jest obrazem całej służby zdrowia, nawet tego fragmentu, jakim jest pogotowie ratunkowe. To był tylko mroczny, wynaturzony margines”.

– Uśmiełem się wtedy. To było clou, a nie margines! O tym, prócz kaszyskich tekstów, świadczyło 20 tys. stron akt. Ale dzięki takiemu myśleniu można było uciec od zastanowienia się, skąd się to wzięło.

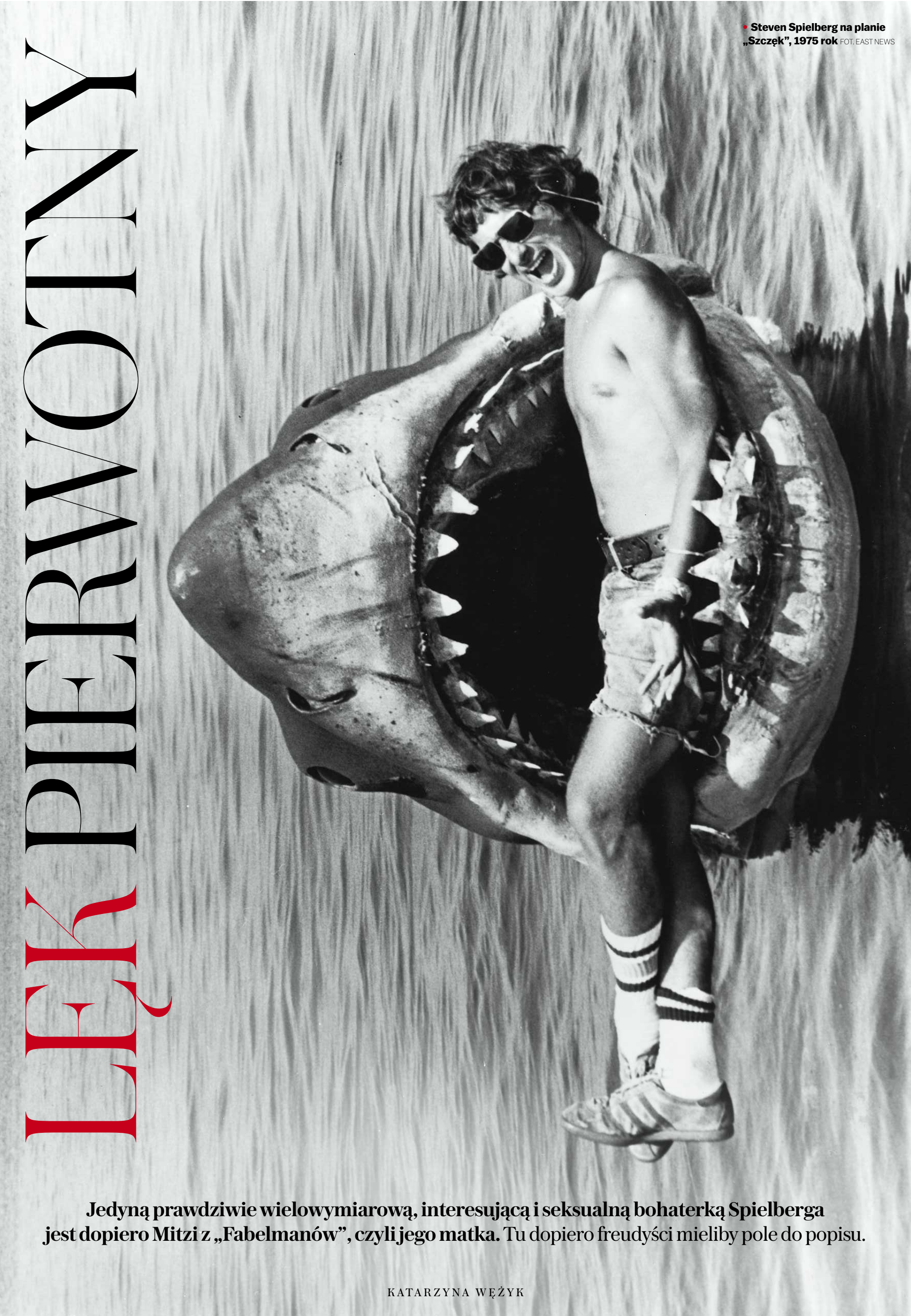
Na szczęście mogę zapewnić, że proceder handlu „skórami” – przynajmniej w masowej skali – dziś nie istnieje. To chyba nasz – autorów „Łowców skór” – największy sukces: ludzie są o wiele bardziej czujni, wielu z nich gdzieś z tyłu głowy ma tę historię. W niektórych miastach wprowadzono też zabezpieczenia systemowe, np. zatrudniono pseudokoronerów, czyli lekarzy, których jedynym zadaniem jest stwierdzanie zgonów pacjentów. Poza tym w karetkach pracują już w znacznej części inni, lepiej wykształceni ludzie.

Ale doktor Morawski ostrzega: „Hydra w takiej czy innej postaci odrośnie”. Bo ratownicy codziennie babrzą się w mózgach, obcuja ze zmasakrowanymi zwłokami dzieci, a nikt nie sprawdza, czy w ogóle nadają się do tej pracy. Nie ma testów psychologicznych. A potem nie ma psychologicznego wsparcia. Trzeba mieć żelazną wolę, żeby nie popaść w znieczulicę.

– Ba, przygotowania nie mają też zwykli lekarze. Na studiach etyka jest w szczałkowej postaci.

W zasadzie próbowaliśmy tu odpowiedzieć na czwarte z pytań: „Czy wyciągnęliśmy jakiekolwiek wnioski ze sprawy łódzkiego pogotowia?”. Jaki wniosek ty wyciągnąłeś?

– Że zło wygrywa, ale trzeba z nim walczyć. I jeśli wygra się choć 1 proc. przypadków, to już jest sukces. ●



• Steven Spielberg na planie „Szczek”, 1975 rok FOT. EAST NEWS

Jedyną prawdziwie wielowymiarową, interesującą i seksualną bohaterką Spielberga jest dopiero Mitzi z „Fabelmanów”, czyli jego matka. Tu dopiero freudyści mieliby pole do popisu.

KATARZYNA WĘŻYK

Rower z chłopcem i jego kosmitą na tle gigantycznego księżycza w pełni. Ta scena, kiedy rekin wreszcie pokazuje się w całej zębatej krasie, ty mało nie spadasz z fotela, a blady Roy Scheider cedzi: „Chyba będziemy potrzebować większej łodzi”. Wyraz twarzy Laury Dern, gdy Sam Neill obraca jej głowę, by zobaczyła brachiozaury, żywe i objadające liście z drzew, z obiecującą Wielką Przygodę muzyką Johna Williamsa dudniącą w tle. Młodziutki Christian Bale, który wybuch bomby atomowej nad Hiroszimą bierze za duszę zmarłej kobiety. Pierwsze 23 minuty „Szeregowca Ryana”. Wirująca w rytm „América” żółta suknia Ariany DeBose. Dla mnie – ten moment, kiedy światło przechodzące przez kamień na głowicy laski Ra pokazuje miejsce ukrycia Arki Przymierza, wywołując ekstatyczny wręcz zachwyt na twarzy Harrisona Forda.

Czysta magia kina. Destylat najprostszych emocji – strachu, radości, nadziei, rozpacz, grozy, ekscytacji, ale przede wszystkim zachwytu – trafiający prosto do trzewi (czy też, dla romantyków, serca), raczej z pominięciem głowy. Autor tych obrazów bywa nazywany populistą i nieznosnym sentymentalistą, świetnym rzemieślnikiem, ale miernym artystą, reżyserem bez stylu, promotorem pustego eskapizmu – ale oglądając jego najlepsze filmy, mam opinie krytyków głęboko w poważaniu. Nikt tak jak Steven Spielberg nie umie wprawiać w zachwyt i dziecięce zadziwienie światem: tym, jak potrafi być piękny, a także straszny, jakie kryją się w nim cuda, ale i potwory. Zazwyczaj, dodajmy, są to jego własne fascynacje i strachy, które reżyserski geniusz Spielberga sprzedaje jako zachwyty i lęki uniwersalne. „Steven nie chce robić małych osobistych filmów, on chce robić wielkie osobiste filmy”, podsumował go w dokumencie „Spielberg” z 2017 roku aktor Bob Balaban.

W najbardziej osobistym z nich wszystkich, „Fabelmanach”, Spielberg mierzy się ze swoim lękiem pierwotnym, tym przed rozpadem rodziny. Dla równowagi dostajemy też równie fundamentalną fascynację: kinem i możliwościami kreowania rzeczywistości przez opowieści.

Sammy’ego, filmowe alter ego Stevena, poznajemy, gdzieżby indziej, w kolejce po bilety. Ma sześć lat i jego rodzice, Burt i Mitzi (w rzeczywistości Arnold i Leah), po raz pierwszy zabrali go do kina. Ale co to jest ten cały film, pyta niecierpliwy chłopiec. Ojciec, praktyczny inżynier, wyjaśnia, że to poruszające się w szybkim tempie fotografie, które nasz mózg składa w całość, efekt światła i właściwości ludzkiego oka; widać, że Sammy ni w ząb nie rozumie. Matka, pianistka, ma mniej techniczną odpowiedź: „Filmy to sny, których nigdy nie zapomnisz”. Sny są straszne, odpowiada Sammy. Seans, „Największe widowisko świata”, też okaże się straszny. Zwłaszcza w scenie katastrofy kolejowej z wylatującymi w powietrze wagonami, snopami iskier i trzaskiem łamanej stali.

rzenia pociągów na jego małych dłoniach, wreszcie odzyskuje spokój. Lęk, nad którym masz kontrolę, zostaje zneutralizowany. No i można się nim podzielić z innymi.

Z czasem kamery stawały się coraz lepsze, a ekrany coraz większe. Spielberg fachu nauczył się nie w szkole filmowej – nie przyjęli go, miał za słabe oceny – ale w praktyce, kręcąc własne produkcje, z kolegami i siostrami w obsadzie i z samodzielnymi wymyślonymi efektami specjalnymi.

Jeszcze w liceum wcisnął się do studiów wytwórni Universal. Według legendy przyjeżdżał busem wycieczkowym, zniknął w toalecie, a gdy tour odjeżdżał, nastoletni Steven starał się wejść na plan dowolnego filmu, który akurat kręcili, i nauczyć się jak najwięcej. Tak naprawdę praktyki załatwił mu ojciec, ale, jak miał powiedzieć (ale też nie powiedział) John Ford, kiedy legenda jest lepsza od faktów, drukuj legendę.

System wielkich hollywoodzkich studiów – filmowych behemotów, których szefowie dzierżyli niemal absolutną władzę, kodeks Haysa dyktował to, co można pokazywać na ekranie, a dział marketingu kreował życie osobiste gwiazd – w późnych latach 60. drżał w posadach. W blokach startowych niecierpliwiło się nowe pokolenie reżyserów: ambitnych, niegrzecznych, zafascynowanych europejskim kinem i pragnących robić filmy dla odmiany o prawdziwym życiu. To oni, brodaci intelektualści nadużywający umiarkowanie legalnych substancji, mieli być przyszłością Hollywood: Martin Scorsese, Francis Ford Coppola, Brian de Palma, George Lucas. Na obrzeżach tej grupy umieścił się Steven Spielberg, największy nerd z nich wszystkich, do tego totalnie nie cool: gładko ogolony, w bejsbolówce, odmawiający nawet marihuany i mający nikle pojęcie o Nowej Fali. Chłopak z prowincji, dziecko przedmiść – będzie potem piewcą ich złudnego konformistycznego raj (Moją religią były suburbie. Trwale rodziny, nikt się nie rozwodzi, nikt nie jest nieszczęśliwy. Oczywiście, to kłamstwo) – ten, który nie chciał robić rewolucji, tylko karierę. Nie interesowały go radykalizm ani polityka, ale filmy takie jak „Lawrence z Arabii”: epickie freski pełne charzmatycznych bohaterów, oszalałymi widoków i przykuwających widza do fotela przygód. Jak napisała krytyczka filmowa Molly Haskell w „Steven Spielberg. A Life in Films”, od początku miał świadomość, że w podziale na sztukę i towar stoi po stronie komercji. I widza, który tak jak on w kinie szuka emocji. „Nie chcę robić filmów jak Antonioni czy Fellini. Nie chcę być tylko dla elity. Chcę, żeby na moich filmach każdy dobrze się bawił”, powiedział reporterowi studenckiej gazety.

Miał 21 lat, gdy pokazał szychom Uniwersalu swój pierwszy, nakręcony za 15 tysięcy dolarów film „Amblin”, i z miejsca, jako najmłodszy reżyser w historii, dostał kontrakt na siedem lat. Chrzest ognia miał na wejście: reżyserował odcinek serialu „Night Gallery”

pochodzenie, użył swoich traum i lęków, by przstraszyć widzów. „To ja zawsze byłem tym dzieckiem, który miał większego od siebie prześladowcę. W »Pojedynku« uciekałem ja”, powie. Połączenie osobistych, a jednocześnie dość uniwersalnych doświadczeń z bezbłędną reżyserią – w 1971 roku Spielberg może i miał 25 lat, ale robił filmy od ponad dekady – zachwyciło i widzów, i krytyków. Legendarna Pauline Kael nazywała go „urodzonym zabawiaczem”. „W kategorii przyjemności, jaką daje widzom techniczna biegłość, ten film jest jednym z najbardziej fenomenalnych debiutów w historii. Jeśli jest coś takiego jak wycucie kina, Spielberg naprawdę to ma. Ale może go mieć tak dużo, że nie zostaje miejsca na wiele więcej”, dodała.

Zaden znany reżyser nie chciał dotknąć „Szczęk” długim kijem – bestseller o rekinie terroryzującym nadmorską miejscowość w Nowej Anglii uznawany był za niefilmowalny – ale 29-letni Spielberg uznał, że to jego szansa, i z pewnością siebie człowieka, który nie ma pojęcia, na co się porywa, uparł się, żeby kręcić na otwartym morzu.

Gdy zaczęli produkować, film nie miał scenariusza, połowy obsady ani rekina. Spielberg za trudnił znajomych, scenariusz poprawiał na bieżąco, a z brakiem potwora – tresowany (!) rekin okazał się złym pomysłem, a ten mechaniczny ciągle się psuł – poradził sobie tak, że przez większość filmu go po prostu nie pokazał, tylko sugerował jego obecność. Co w połączeniu z niepokojącą muzyką Williamsa okazało się posunięciem genialnym: nic, co ówczesna technologia potrafiła pokazać na ekranie, nie mogło się równać z horrorami, które podsuwała wyobraźnia widzów. Zwłaszcza tych z zacięciem freudowskim: rekin miał symbolizować a to penis, a to vagina dentata, czyli majaczące na horyzoncie zagrożenie ze strony ruchu kobiecego, które neutralizować musiało aż trzech przedstawicieli silniejszej płci: tradycyjnie męski kapitan Quint (Haskell: „butny penis konkurujący z Superfiutem-rekinem”), nerd – naukowiec Hooper, i ojciec rodziny – szeryf Brody.

„Szczęki” okazały się megahitem – widzowie stali w kilometrowych kolejkach po bilety, a potem wracali, by dać się przstraszyć ponownie – który zainaugurował erę letnich blockbustów, zmienił sposób dystrybucji filmów i zrewolucjonizował ich marketing. Dzięki „Szczękom” wytwórnie odkryły swoją kluczową widownię: tzw. młodzież, ale nie tę jeszcze kilka lat wcześniej kontestującą stary porządek, ale nastolatki, które po prostu chciały się dobrze bawić. W domyśle męską, czyli zainteresowaną „męskimi” gatunkami – science fiction i fantasy, horrorem, kinem akcji i przygody – i „męskimi” tematami: doraśnieniem, wychodzeniem z cienia ojca, samochodami, samolotami, statkami kosmicznymi i ładnymi dziewczynami, które nie miały za wiele do powiedzenia i nie wtrącały się do rzeczy naprawdę ważnych, czyli relacji między mężczyznami. A Spielberg, którego, tak się składa, interesowały dokładnie te same rzeczy, z wunderkinda stał się najgorętszym nazwiskiem Hollywood. I mógł zająć się tematem, który siedział w nim od czasów, gdy Arnold Spielberg pokazał mu gwiazdziste niebo nad arizońską pustynią: kosmosem. I relacją z ojcem.

Spielberg dorastał w domu pełnym kobiet – matka, trzy siostry, „nawet pies był suką”, narzekał – i z nieobecny ojcem, który pracował po sześć dni w tygodniu, by zarobić na American Dream. Arnold był inżynierem, cenil wiedzę, naukę i konkret, a Steven, kiepski uczeń zainteresowany wyłącznie robieniem filmów, był dla niego rozczołowaniem. Z kolei Leah, pianistka, zawsze, jak będzie potem mówił, była bardziej współniczką w zabawie niż rodzicem („miała mentalność Piotrusia Pana i nie chciała dorosnąć”); matki w jego filmach będą potem raczej nudne i konwencjonalne.

Małżeństwo Spielbergów szybko zaczęło się sypać, ale były to czasy, gdy się zostawało ze sobą ze względu na dzieci, więc rozstali się dopiero, gdy Steven kończył liceum. To Leah odeszła, bo zakochała się w najlepszym przyjacielu Arnolda, ale ten wziął winę na siebie i jego syn przez lata będzie obwiniać właśnie ojca za rozpad rodziny. A traumę z tym związaną, podobnie jak wszystkie inne traumy, będzie przerabiać w filmach.

Roy z „Bliskich spotkań trzeciego stopnia” dla swojej obsesji na punkcie UFO zostawia rodzinę, i to najbardziej, jak się da: wsiada na pokład statku obcych. W „E.T.” ojciec jest w ogóle nieobecny – jest z Sally w Meksyku – a 10-letniemu Elliottowi z jego brakiem pomocy poradzić sobie magiczny przybysz z kosmosu. Chłopiec też zostaje zaproszony

Jako nastolatek desperacko pragnął się od swojego pochodzenia odciąć, być taki jak wszyscy: obchodzić Boże Narodzenie i być wysokim kalifornijskim blondynem.

Dopiero gdy sam został ojcem, wrócił do korzeni

Te obrazy będą dręczyć chłopca we śnie i na jawie, ale Sammy, w przeciwieństwie do zwykłych śmiertelników, którzy zagrzebaliby je głęboko w podświadomości i ewentualnie wydobywali po latach na kozetce, postanowił się ze swoim lękiem zmierzyć z byka – po raz pierwszy, ale bynajmniej nie ostatni. Zażyty sobie na Chanukę zabawkową kolejkę, za pomocą której zaczął odtwarzać filmowe zderzenie pociągów. Rodzice nie byli zachwyceni – kolejka była droga – ale Mitzi, która lepiej rozumiała syna („próbuję uzyskać jakąś kontrolę nad swoim strachem”), wpadła na pomysł: pozwoli chłopcu odegrać katastrofę jeszcze tylko raz, ale nagra ją sobie kamerą 8 mm ojca. Sammy to właśnie robi, a kiedy projektor odtwarza wielkie BUM zde-

z Joan Crawford w roli głównej. Crawford, w latach 40. gwiazda, wtedy już przebrzmiała sława, była dla wra o kruchym ego i krótkim luncie, i łatwo mogła uznać, że postawienie za kamerą gościa wyglądającego na nastolatka to obraza majestatu. Spielbergowi udało się zdobyć jej szacunek – powie, że od razu wiedziała, że ma do czynienia z geniuszem – ale więcej diw nie zatrudniał.

Telewizję traktował jak szkołę rzemiosła. Nauczył się pracować szybko i na małym budżecie, ale zawsze z jednym celem: przebić się na duży ekran. Przepustką stał się „Pojedynek”, film o jadącym przez bezdroża Kalifornii sprzedawcy, którego goni upiorna ciężarówka. Tu po raz pierwszy Spielberg, wątły chłopak gnębiony w szkole za żydowskie

na pokład, ale zostaje z rodziną na Ziemi, bo rodzina, nawet z problemami, jest najważniejsza. Zakończenie, w zależności od indywidualnej tolerancji na spielbergowski sentymentalizm, tu w dawce 11/10, jest albo wzruszające, albo zdecydowanie za długie. Niemniej scena, w której chłopiec uczy się, że czasem trzeba dać wolność temu, co się kocha, naciska wszystkie właściwe guziki. Jak to ujął Martin Amis, Spielberg „posiada tak bezpośrednie połączenie z sercem widza, że rozbraja cię kruchością swoich własnych szaniców i transparentnością swoich najbardziej intymnych lęków i nadziei”.

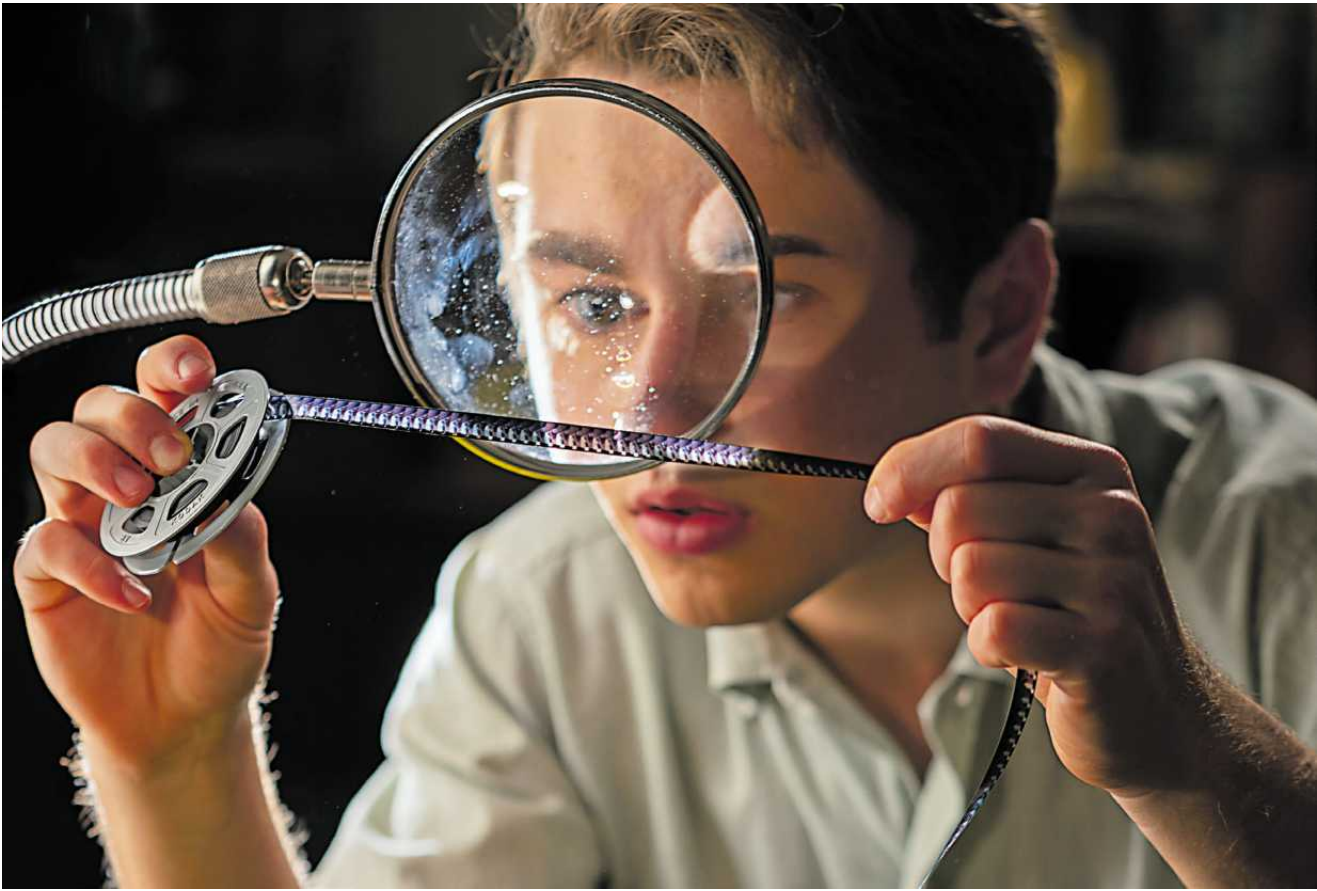
Kate Capshaw musiała się naprawdę zakochać, skoro zniosła wszystkie tortury, którym na planie „Indiany Jonesa i świątyni zagłady” poddał ją przyszły mąż. Jej bohaterka, Willie Scott, zaczyna co prawda jako piosenkarka w nocnym klubie w Szanghaju, ale zaraz potem zostaje zrzucona z samolotu, musi zdjąć z ramienia węża i włożyć rękę w dziurę pełną pełzających owadów, zostaje jej zaserwowana zupa z galek ocznych i o mało nie wylądowuje w gorącej lawie. Najtrudniejsze dla feministki Capshaw musiało być jednak to, że Willie jest pustogłową kretynką, która większość ekranowego czasu spędza, wydzierając się wniebogłosy; w kategorii najbardziej irytująca postać kobieca w historii kina” ma pewne miejsce na podium. Cierpliwość aktorki się opłacała – kilka lat później została drugą panią Spielberg – ale jej bohaterka najlepiej obrazuje problemy, jakie jej mąż miał z kobietami w swoich filmach.

Jak zauważa wspomniana już Haskell, lęki, które Spielberg na ekranie tak błyskotliwie rozgrywał, były obawami typowo męskimi: „przed kobietami, przed dojrzałością, przed seksem”. W większości jego filmów próżno szukać interesujących, skomplikowanych bohatererek. Są matki, zazwyczaj zabiegane i psujące zabawę, i są obowiązkowe dziewczyny Bonda – to jest Indy’ego – piękne, ale sztampowe, i mniej ważne niż kolejny artefakt, którego miejsce jest w muzeum. W 2017 roku brak pierwszoplanowych bohatererek wytknęła reżyserowi aktorka i reżyserka Elizabeth Banks. „Nigdy nie zrobił filmu z kobietą w roli głównej. Sorry, Steven, nie chcę cię tu wywoływać, ale to prawda”. Myliła się, ale niewiele – na 31 wówczas wyreżyserowanych przez Spielberga filmów całe trzy, za to te mniej znane, miały pierwszoplanowe postaci kobiece: „Sugarland Express”, „Kolor purpury” i „BFG”; dziś do tej listy można dopisać „Czwartą władzę”, w której to Spielberg nawet zauważa, że nie jest łatwo być kobietą w męskim świecie mediów i polityki. Nie licząc Celii z „Koloru purpury”, jedyną prawdziwie wielowymiarową, interesującą i seksualną bohaterką jest jednak dopiero Mitzi z „Fabelmanów”, czyli... jego matka. Tu dopiero freudyści mieliby pole do popisu.

Nie ma też w filmach Spielberga za wiele romantycznych relacji damsko-męskich: chemia między kochankami – ba, dorosła rozmowa – niespecjalnie go interesuje. Nawet Indiana Jones podczas awansów Marion... zasypia. Bohaterowie są zbyt zmęczeni na seks albo po prostu za młodzi: dzieci najdalej na progu okresu dojrzewania, niewinne, a przez to bezpieczne. Równie asekualni są ojcowie – niechętny przyszywany ojciec w „Parku Jurajskim”, ojciec w żałobie po zaginionym synu w „Raporcie mniejszości”, ojciec ratujący rodzinę podczas inwazji obcych w „Wojnie światów”, ojciec narodu w „Lincolnie” – którzy będą dominować w drugim okresie jego twórczości, tym, podczas którego marka Spielberg wreszcie połączyła komercyjny sukces z prestiżem.

W ciągu dnia kręcił ewakuację krakowskiego getta – odtwarzając sceny metodycznego, dehumanizującego bestialstwa – a wieczorami montował „Park Jurajski”, zasadniczo film o tym, że pycha i nadmierna wiara w naukę kroczą przed upadkiem, ale kto by się tym przejmował, skoro na ekranie jest T-Rex. Pracoholizm pomógł Spielbergowi przetrwać produkcję filmu o Holocaustie – tego, który miał go wreszcie umieścić w gronie poważnych reżyserów i dać wymarzonego Oscara, ale też pogodzić z własnym żydowskim dziedzictwem.

Spielberg wychował się w rodzinie, jak sam mówił, koszernej od święta: gdy dziadkowie wyjeżdżali, owoce morza wracały na stół. Jego babcia uczyła ocalonych z Holocaustu angielskiego, a mały Steven poznawał cyfry na ich numerach obozowych. Jako nastolatek desperacko pragnął się od swojego pochodzenia odciąć, być taki jak wszyscy: obchodzić Boże Narodzenie i być wysokim kalifornijskim blondynem. Dopiero gdy sam został ojcem, wrócił do korzeni.



Mówią o nim: niezdolnie sentymentalny, świetny rzemieślnik, ale mierny artysta, pusty eskapizm. Oglądając filmy Spielberga, mam to w głębokim poważaniu

• **Gabriel LaBelle jako Sammy Fabelman w filmie „Fabelmanowie”**

FOT. MONOLITH

Do „Listy Schindlera”, historii niemieckiego przemyślowca, playboya i bon vivanta, który uratował ponad tysiąc Żydów, przygotowywał się dekadę. Tylko Spielberg, reżyser o midasowym dotyku, mógł zrobić ponadtrzygodzinny, czarno-biały, brutalnie realistyczny film o Shoah i dostać na niego pieniądze. I tylko Spielberg, którego filmowy temperament, jak zauważa Haskell, jest bardziej mormoński niż żydowski czy chrześcijański – pełen nadziei i przekonania, że dobro ostatecznie zatrumfuje, preferujący inspirację, nie ironię, i moralną jasność, nie ambiwalencję – mógł nakręcić, jeśli nie optymistyczny film o Holocaustcie, to przynajmniej taki, który jednak zostawia widzkę z odrobiną wiary w ludzkość.

Szeregowiec Ryan” był z kolei prezentem dla ojca i okazją do pojednania. „Zorientowałem się, że [za rozstanie rodziców] za bardzo obwiniałem jedną osobę. Zacząłem się więc zastanawiać, jak mógłbym odzyskać miłość ojca”, powie w wywiadzie. Arnold walczył w II wojnie światowej i Steven, dorastając, słuchał historii jego kolegów weteranów, czasem przerywanych szlochem i znaczącą ciszą. Kiedy po latach zrozumiał, co stoi za tą ciszą – PTSD i wspomnienia zbyt straszne, by ubrać je w słowa – postanowił zrobić film, który pokaże, jak wojna wygląda naprawdę. Sekwencję lądowania sił alianckich na plaży Omaha kręcił chronologicznie, niemalże zdobywając ją razem z aktorami i statystami metr po metrze. Kamera Janusza Kamińskiego wręcz staje się jednym z żołnierzy: razem z nimi nurkuje, starając się uniknąć barwiących wodę na czerwono kul, czołga się po mokrym piasku, chowa za wydrami i ciałami. Widzi nie tylko krew, pot i łzy, ale wylewające się wnętrzności, urwane kończyny i zwierzęcy strach.

Ale Spielberg nie byłby sobą, gdyby po tych 23 minutach horroru nie zaserwował widzowi jednak krzepiącej opowieści o prawdziwej męskiej przyjaźni, odwadze i poświęceniu oddziału wysłanego z militarnie bezsensowną, ale PR-owo skuteczną misją uratowania Matta Damona. Łopocąca w finale spłowiła amerykańska flaga dopełnia dzieła.

Film przyniósł Spielbergowi drugiego Oscara za reżyserię i udowodnił ewentualnym niedowiarkom, że „Lista Schindlera” nie była przypadkiem, a on sam potrafi zarówno sprzedawać najwyższej kla-

sy rozrywkę, jak i kręcić poważne filmy. Przez kolejne dwie i pół dekady mieszał jedno i drugie: nawet ta mniej udana premiera Spielberga była wydarzeniem. Po 11 września zajął się tematami politycznymi: nieoczekiwanym atakiem („Wojna światów”), rosnącą inwigilacją („Raport mniejszości”), ambiwalencją tzw. wojny z terroryzmem („Monachium”). Pobawił się nowymi technologiami („Tintin”, „BFG”, „Ready Player One”) i podróżował w przeszłość swojego kraju („Lincoln”, „Most szpiegów”, „Czwarta władza”). Aż wreszcie, w ostatnim filmie, wziął na warsztat własne dorastanie.

Z dystansu sześciu dekad i własnego rozvodu Spielberg opowiada o rozpadzie małżeństwa rodziców już bez nastoletniej złości i buntu, ale z empatią i zrozumieniem. Dla niego była to, jak sam chętnie mówi, „terapia za 40 milionów dolarów”, ale dla mnie najciekawsza była rodząca się świadomość tego, jaką władzę dają twórcy kamera i stół do montażu. Dopiero nagranie z kempingu uświadamia Sammy’emu, że jego matka ma romans z najlepszym przyjacielem męża, ale jako reżyser to on decyduje, co pokaże i co rodzina z wycieczki zapamięta. Montuje więc dwa filmy: jeden, sielankowy, dla ojca i sióstr, i drugi, z wyciętych fragmentów, dla matki. Nie jest w stanie powiedzieć jej, że wie, ale może to jej pokazać.

Jeszcze dobitniej władzę, jaką ma sprawny opowiadacz historii, pokazuje film z klasowej wycieczki na plażę. Tym razem Sammy świadomie w trakcie kręcenia dobiera kadry, światło, a potem muzykę i klasowego prześladowcę zmienia w złotego aryjskiego półboga. Logan, który wie, że na to nie zasłużył, pyta Fabelmana, dlaczego to zrobił. Sammy mówi, że kamera zobaczyła to, co zobaczyła, ale to nieprawda: kamera zobaczyła to, co chciał, żeby zobaczyła. Nawet jeśli sam jeszcze nie wiedział, dlaczego ozłocił swojego wroga – bo chciał mu się przypodobać? bo potrzebował sojusznika? – to już wiedział, że potrafi.

Cała reszta to już tylko kwestia odpowiedniego ustawienia horyzontu. ●

MOJA BABCIA RYBA

Babcia powoli traciła słowa. Na początku z drobną pomocą dawała radę, ale im więcej mijało czasu, tym traciła ich więcej, aż w końcu straciła wszystkie

Maciej Marcisz*

Sprawdź Ryby. To najbardziej przejebrany znak zodiaku – mówi do mnie Ania na kilka minut przed rozdaniem nagród Nike. Po bankiecie wracam do domu i posłusznie otwieram książkę. Następnego dnia budzi mnie przekonanie graniczące z pewnością, że moja babcia musiała cierpieć na depresję.

Wchodzę pod prysznic, spływa na mnie gorąca woda. Zaczynam szlochać, jakbym próbował wykrztusić zbierające się we mnie od lat kilogramy rzeczno-mułu.

Jeszcze raz czytam podkreślone poprzedniej nocy fragmenty: „Osoby, które w poprzednich wcieleniach przeżyły tragiczne sytuacje, na świat przychodzą z okrucieństwem dawnego cierpienia. Wrażliwe, empatyczne na granicy autodestrukcji. Karmicznym wyzwaniem ryb jest odnalezienie własnego głosu. Jeśli tego nie zrobią, skazane są na ciche, często niezauważane przez nikogo cierpienie”. Od pewnego czasu interesuję się astrologią w kontekście nowej powieści, pytam ludzi, co o niej myślą. Często słyszę: „No wiesz, coś w tym jest”. Wiem, ale sam staram się zachować agnostycyzm.

– Może to głupie, ale czy babcia Wanda była spod znaku Ryb? – piszę wiadomość do mamy. Mama potwierdza. Dzielę się z nią swoim przypuszczeniem.

– Maćku, też się nad tym często zastanawiam. Pamiętam z dzieciństwa, jak siedziała w kuchni z gazetą albo książką i wyglądała przez okno. Ciągle musiała gotować te nieszczęsne obiady. Nigdzie nie wychodziła. To nie są głupoty wcale.

Od tamtego momentu za każdym razem, kiedy myślę o babci lub opowiadam o niej przyjaciółom, szlocham jak opętany. Sam nie wiem dlaczego. Jako osoba przywykła do wyrażania każdej swojej myśli i pragnienia próbuję sobie wyobrazić, jak to jest mieć w sobie wielki smutek i nikogo, komu można by o nim opowiedzieć. Odczuwać cierpienie i nie znajdować na nie odpowiednich słów. Żyć w czasach, gdy choroby psychiczne nie były palącym problemem społecznym, tylko tajemnicą. I zniknąć z tego świata bezgłośnie.

Przez kolejne jesienno-zimowe miesiące babcia, a raczej jej projekcja, towarzyszy mi jak wyobrażenie sumienia w kreskówkach, które przysiadła na czyimś ramieniu. Coś w rodzaju dobrego duszka smutku.

Smutek babci nie był agresywny czy obezwładniający. Był jak cichy szemrzący strumyk, daleki odgłos lichej fontanny z ogródka kwadratowego śląskiego domku. Słyszałem go, ale nie wiedziałem, co to za dźwięk. Będąc dzieckiem, nie mogłem jej uratować. Jako nastolatek byłem zbyt skupiony na przeżywaniu swojego bardzo ważnego życia. W końcu stałem się dorosły, ale nic się nie zmieniło. Musiałem poszukiwać kolejnych wielkich wrażeń. Dookoła mnie działały się rzeczy, których nie mogłem pominąć. Inne musiałem wprawić w ruch.

– Kiedy nas odwiedzisz? – pytał dziadek.

– A nie wiem. Chyba dopiero na święta.

– Masz rację. Co będziesz ze starymi siedział. Ale musisz kiedyś przyjechać. Usiądźmy na spokojnie. Ja ci wszystko opowiem, a ty to spiszesz.

Nigdy nie przyjechałem. Moja relacja z dziadkiem i dwiema babciami to historia zaniedbania.

– To, że tutaj w ogóle jesteś, pokazuje tylko, że nie mam zbyt wielu przyjaciół – mówi Kasia. Jej chłopak zorganizował dla niej urodzinową niespodziankę. Jestem jedną z siedmiu zaproszonych przez niego osób. Widzieliśmy się ostatnio może trzy lata temu, nie rozmawialiśmy od tego czasu. Siedzimy w pubie z piwem craftowym. Opo-

wiadam o podcaście na temat grubancypacji, który stworzyła moja koleżanka.

– A wiecie, kto ma naprawdę przerażające? – wtrąca się Kasia. – Starzy ludzie. Jak jesteś stara, to od razu wszyscy są na ciebie wkurwieni. A jeśli cię akceptują, to tylko dlatego, że zachowujesz się jak młoda. Taka stara, a tańczy na TikToku, patrzcie. Taka stara, a jak się fajnie ubiera. Te komplementy są takie upupiające!

– No tak – próbuję pociągnąć tę myśl – plus w sumie jak jesteś tak naprawdę stary, to już nie masz siły wychodzić na ulicę, nagrywać podcastów i walczyć o swoje prawa.

– Gadasz wolno, chodzisz wolno. Ludzie przewracają oczami i tracą do ciebie cierpliwość. Inny sposób to bycie uroczą staruszką. Ale jeśli z jakichś powodów nie jesteś uroczą, to już nic się nie uratuje. Jeszcze nie jestem stara, a już czuję się urażona. Czuję się urażona na zapas.

– Czytałam o takim projekcie – mówi inna koleżanka – że w centrach aktywności lokalnej łączono starsze, wyalienowane osoby z małymi dziećmi, takimi czteroletnimi. Ponoć to świetnie zadziałało.

– Genialne – zapala się Kasia – taki świeży koncept. W jednym miejscu umieszczamy i starych, i młodych, mieszkamy ich, pozwalamy ze sobą rozmawiać i patrzymy, co się wydarzy. Świetne. Myślałam, że coś takiego już istnieje i nazywa się r o d z i n a. Ale jasne. Miło, że ktoś z nimi rozmawia.

Kiedy moi dziadkowie zrobili się starszy? Myślę o nich, po starczemu wpatrując się w telewizor, robię krótkie obliczenia i uświadamiam sobie, że mieli wtedy trochę ponad pięćdziesiąt lat. Tyle, a nawet mniej niż moi rodzice teraz, ciągle aktywni, uczestniczący, sprawczy. Może dziadkowie byli po prostu ludźmi swoich czasów. Nigdy nie potrafiłem komunikować się z babcią i dziadkiem. Rozmowy z nimi wydawały się nierzeczywiste. Pytali o rzeczy dla mnie nieistotne. A ja nie potrafiłem opowiedzieć im na temat swojego życia niczego prawdziwego.

Co wiem o babci: po studiach zaczęła pracę w domu dziecka. Kiedy kładłem się na jej kolanach, głaskała mnie po głowie, a ja myślałem o tym, że wcześniej ta ręka głaskała głowy innych dzieci. Jej dotykowi nigdzie się nie spieszyło. W przeciwie-

stwie do nerwowego dotyku moich rodziców ten wydawał się nieskończony. Po przeprowadzce do Wodzisławia Śląskiego babcia zaczęła pracę jako księgowa i robiła to aż do emerytury. Pochodziła z Żarnowca, ale nie tego, w którym chciano wybudować elektrownię atomową. Miała brata, który tam został, a alkoholizm zniszczył jego życie. Na studiach miała czarnego przyjaciela, o którym nie chciała mówić, w albumie zachowało się ich wspólne zdjęcie. Mama była dla niej niedobra, dlatego wołała tatę. Miała lewicowe poglądy. Czytała książki i gazety. Ciasto robiła w prodiżu, nie w piekarniku. Nigdy nie wybaczyła dziadkowi jego alkoholizmu i patriarchalnej tyranii. W jej spojrzeniu zawsze czaił się smutek. Wiem o niej żenująco mało. Postanawiam to zmieni. Odrobić spóźnione zadanie domowe, przejść przyspieszony kurs po godzinach, może nawet dostać naciaganą piątkę. Dzwonię do brata i siostry.

– Wiedziała, że lubię kubusia i zawsze był u niej kubus do picia. Zawsze wracałem od dziadków z kubusiem w ręku – mówi brat.

– Pamiętam, że podawała nam kanapki bez skórek. Bo droczyliśmy się z nią i mówiliśmy, że jemy tylko bez skórek. Tak jakbyśmy testowali granice miłości – mówi siostra. Historie, które przychodzą nam do głowy, dotyczą spełnienia naszych dzieciennych potrzeb.

Wychodzę na spacer, włączam podcast. Jestem typowym przedstawicielem swojego pokolenia, który próbuje zapobiec przyszłym nieszczęściom za pomocą namietnego konsumowania podcastów o rozwoju osobistym. Samodoskonale się na śmierć. Teraz słucham głównie rozmów z Gaborem Mate, kanadyjskim lekarzem i myślicielem. Najprawdopodobniej jest kolejną z osób, których idee sprawdziły się w jednej dziedzinie życia, a teraz próbują przenieść je na mechanikę działania całego świata. A to przecież tak nie działa, świat nie rządzi się jedną zasadą. Nieważne. Coś w jego słowach bardzo do mnie przemawia. Mówi o traumie i blokowaniu emocji. O psycho-neuroimmunologii. To nauka o relacjach między psychiką a układem nerwowym i immunologicznym, która bada wpływ stresu oraz jego tłumienia na rozwój chorób takich jak rak, alzheimer, parkinson, stwardnienie rozsiane. Słucham i zastanawiam się, czy jestem już szurem.

– Ja już nic nie będę mówił.

Mówiła babcia, gdy dziadek jej przerywał lub kiedy się z nim nie zgadzała.

– To ja już nie będę się w ogóle odzywać.

Widzę jej usta zamykające się w ten szczególnie sposób. W pół słowa.

W święta – myślę – dowiem się więcej o babci.

– Nie mów mu proszę, że nic się nie stało – strofuje mnie siostra w pierwszy dzień świąt, kiedy próbuję pocieszyć siostrzeńca po upadku. Duma nie pozwala mi przyznać jej głośno racji. Jedynym, na co starcza mi woli, jest milczące potaknięcie. Moja siostra jest prawdziwą kapłanką rodzicielstwa bliskości i uznawania emocji dziecka. Za każdym razem uczę się od niej czegoś nowego. Ma rację. Z perspektywy jego życia to pewnie jeden z pierwszych upadków.

Dzieci zapadają w drzemki, a my siadamy na kanapie. Przynoszę rodzinne albumy. Raz na dwieście zdjęć napotykam fotografię dziadków. Babcia w garsonce, dziadek w garniturze. Zawsze byli bardzo eleganccy, niezależnie od okoliczności. Szukam czegoś, czego jeszcze nie wiem. Zdjęcia pozostają jednak doskonale zwyczajne. Elektroniczna niania zaczyna wydawać coraz głośniejsze dźwięki. To roczna córka mojego brata. Przynosi ją na dół. Ada nie może przestać płakać.

– Chyba jest niespokojna. Za dużo wrażeń, za dużo ludzi.



FOT. GETTY IMAGES

Ada płacze coraz głośniejsze, a Michał i Klaudia szukają wyjaśnienia jej niepokoju i próbują ukończyć ją na kolejne sposoby. Małą istotą coś uwiera. Może jest przebudźcona, może znudzona, boli ją brzusek, a może przyśnił jej się straszny niemowlęcy sen. Nie wiadomo. To chyba jedno z największych cierpień: nie móc wyjaśnić swojego bólu. Wkrótce budzi się przedwcześnie syn siostry Kosma. Trudno mi skupić się na zdjęciach, wyciągam z pudełka mój świąteczny prezent – głośnik bezprzewodowy. Paruję go z komórką.

– Ada, a może wujek ci zatańczy? Lubisz, jak wujek tańczy.

Puszczam „Say My Name” Destiny’s Child, wiem, że moje rodzeństwo to lubi, mieliśmy tę piosenkę na kasecie. Zrywam się i zaczynam występ. Dołączają brat, siostra, ich małżonkowie, mama. Ada zaczyna się rozweselać. Dalej gra „Na językach” Kayah, a później w poszukiwaniu wspólnego mianownika lecę już weselną playlistą. Jako kulminację puszczam Bratanki, „Gdzie ten, który powie mi”. Wpadamy w szal. Ada klaszcze.

Na stole nadal leżą rodzinne albumy. Muzyka gra, zdjęcia milczą. Może i jest tak, że jeśli sami nie wypowiemy siebie, nikt się nas nie domyśli. Ludzie przejdą do spraw innych i ich gło-

chać opowieści o nieznanym krewnym, pobyć trochę – na tyle długo, by wizyta nie wydała się za krótka, na tyle krótko, by móc jeszcze tego dnia zacząć się czymś innym.

Wchodzę do pokoju babci. Nadal unosi się tu ten ciepły zapach. Na półkach stoją tak samo ułożone książki, cicho gra to samo przenośne radio. Niesamowicie, jak przedmioty i ich ustawienie pozwalają udawać, że nic się nie zmieniło. Babcia leży na łóżku, śpi. Jest i jednocześnie jej nie ma. Mama wchodzi za mną do pokoju, opowiada jej, co u nas słychać. Zawsze to robi.

Kiedy babcia zaczynała chorować, powoli traciła słowa. Na początku z drobną pomocą dawała radę, ale im więcej mijało czasu, tym traciła ich więcej, aż w końcu straciła wszystkie. Chciała nam coś powiedzieć i płakała z niemocy. Moja mama głaśniała ją wtedy jak przestraszona córeczkę. To chyba jedno z największych cierpień: nie móc wyjaśnić swojego bólu.

Idę ukryć się do łazienki. Przeglądam kosmetyki, widzę wodę kolońską dziadka i perfumy babci, kolejne małe dowody, że to nadal to samo miejsce. Spryskuję nimi nadgarstki.

Wracam do salonu. Rozmawiamy o głupotach, kończymy herbatę, trze-

Dziadek spotkał ją w sanatorium kilka lat po tym, jak babcia zachorowała na alzheimerera. Zaczęli żyć we trójkę. Potem dziadek umarł, ona została z babcią

śnych głosów. Żywi i obecni zabiorą nam uwagę.

W drugi dzień świąt rodzeństwo wyjeżdża, dom pustoszeje, kończy się ciasto. Wsiadamy z mamą do samochodu.

– Myślę o napisaniu opowiadania o babci. O tym, jak pytałem cię, czy była Rybą.

– Nie była – mówi mama. Jest.

Po piętnastu minutach jesteśmy przed mieszkaniem dziadków.

– Wesółych świąt – mówi mama do kobiety, która otwiera nam drzwi.

To towarzysza dziadka. Spotkał ją w sanatorium kilka lat po tym, jak babcia zachorowała na alzheimerera. Zaczęli żyć we trójkę. Potem dziadek umarł, ona została z babcią. Podtrzymuje małe życie domu, otwiera drzwi pielęgniarce, włącza i wyłącza telewizor. Jest satelitką rodziny. Trzeba zadzwonić, kiedy ma urodziny, wysłu-

ba się zbierać, wieczorem mam pociąg. Wkrótce na pewno dowiem się więcej o babci, myślę. Tymczasem jednak wracam do Warszawy i biorę się do swoich spraw.

W pociągu wraca kilka wspomnień. Spisuję je pospiesznie na telefonie. Jednak to, co utracone, zostanie utracone. Praca archiwisty zostanie pracą archiwisty, czymś bardziej dla mnie niż dla niej. Robię jeszcze więcej notatek, szukam jej głosu, ale słyszę tylko swój. ●

***Maciej Marcisz** – ur. w 1988 r., autor „Taśm rodzinnych”, jednego z najczęściej komentowanych debiutów ostatnich lat, i „Książki o przyjaźni”. Opowiadania publikował w „Wakacie”, „Piśmie” i „Vogue”.

Nowy serwis



Czytaj na:
wysokieobcasy.pl/zyclepiej



Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1.

Serwisu [Wyborcza.pl](https://wyborcza.pl)
na sobotę i niedzielę*

2.

Fragmentu książki „Kamerdyner
świata” Olivera Bullough



*Analiza historii gospodarczej Wielkiej Brytanii
– państwa, które korzystając z pozostałości po systemie
kolonialnym, stało się rajem dla przestępców
finansowych, despotów i oligarchów, pozwalając
im swobodnie pracować pieniądze, prowadzić interesy
i ukrywać się przed sprawiedliwością.*

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki „Kamerdyner świata” Olivera Bullough
oraz treści [Wyborcza.pl](https://wyborcza.pl) na ten weekend:

OBKS22

Aby skorzystać z kodu:

- 1 Wejść na stronę [Wyborcza.pl/magazynkod](https://wyborcza.pl/magazynkod)
- 2 Wpisać kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podać adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywować dostęp w ten weekend
- 5 Fragment książki czytać na [Wyborcza.pl/czytelnia](https://wyborcza.pl/czytelnia)

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie [Wyborcza.pl](https://wyborcza.pl). Dostępna od 21.01.2023 r. do 22.01.2023 r.

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9–17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34225719

Wielka Sobota z małym Rudnickim

Trzmiel kieszonkowy

Janusz Rudnicki

Sikaszk, siadaj. Bo na stojąco krople odbijają się od muszli tak, że lądują nawet na wiszących obok ręcznikach. Więc wycierasz sobie, chłopie, na przykład twarz tym, co z siebie wydalasz.

Siadam w domu, w domach, w miejscach publicznych nigdy. Raz tylko, teraz niedawno, zapomniałem się i usiadłem, skutki brzemienne. Rzecz miała miejsce w warszawskiej kawiarni Amatorska na Foksal, drugi mój dom, może dlatego. Podnoszę się, spodnie wciągam i jeb, coś wpada do muszli. Jak ryba, tak wymusknął mi się z kieszeni telefon. Wyciągam natychmiast i, nie uwierzycie, zamiast wycierać go szybko, wsadzam go pod wodę z kranu. Żeby go, w ramach higieny osobistej, umyć. A potem dopiero wytrzeć. Wybudził się na krótko i zgasł.

Lecę do serwisu z nim, jak z dzieckiem umierającym, w ramiona bym go wziął, gdyby był większy, nie wiedziałem, że „skonął mi już, w tym głuchym lesie wśród olch i brzoź”. Pan w serwisie ręce rozłożył, nic już tu się z tym topielcem zrobić nie da. Wmówiłem sobie, że ludzie wyjątkowi muszą przeżyć jakiś dramat, i zrobiło mi się trochę lepiej.

Rano wyjazd, pociąg, trzeba wstać, jak? Budzik w telefonie. Bilet trzeba kupić, jak? Bez potwierdzenia przez SMS. No to na dworzec i do kolejki, nie pamiętam kiedy ostatnio. Dawno, jak to mówią, wtedy Morze Martwe było trochę tylko chore. Z tyłu ludzie, z przodu ludzie, a na końcu trzeba powiedzieć jakiejś obcej kobiecie za szybą, dokąd się jedzie. I jeśli ma się zniżkę, bo się ma, to trzeba powiedzieć jaką. Ja się mojej krępuję. „Działacz opozycji komunistycznej”, patriotyczny nadętyzm, brzmi jak uderzenie w gong, który wydaje dźwięk martyrologiczny, mówię więc po cichu. Kasjerka prosi, żeby głośniej, powtarzam głośniej, ale jeszcze za cicho, jeszcze głośniej. Kiedy odchodzę, patrzą jak na wybrk kombatanctwa.

Już pod domem prawie, już Trzech Krzyży plac. W przebudowie, idę na skróty przez nieczynny przystanek na samym jego środku, na lawce kobieta. Pyta, kiedy przyjedzie jakiś autobus, bo inaczej zamarnie tu na kość na tym wietrze. Ukrainka, tłumaczę, łapie się za głowę i prosi, żebym zadzwonił jej po taksówkę, żeby przyjechała gdzieś tu obok, bo spieszy się do dzieci, a pieniądze ma, zapłaci sobie, ale telefon w domu, zapomniała. Nie chce się skończyć ten dzień. Pretensje do siebie miałem, że za mało pomagam, mogłem pomóc dziś, to nie, to w Amatorskiej usiadłem zamiast na stojąco. Mówię, spokojnie, że nie mam telefonu, ale ona mi nie wierzy, pan nie ma telefonu? Po co tak mówić, jak się nie chce pomóc, to lepiej nic nie mówić. Nie, ten dzień nie ma końca, wziąłem i wyciągnąłem na zewnątrz wszystkie kieszenie, jedna za drugą, furkotać zaczęły na tym wietrze, powiedziałem: proszę bardzo, a ona zaczęła się śmiać, coraz głośniej, i w te do mnie słowa: pan wygląda, jakby miał skrzydła, no skrzydelka, takie jak z KFC, albo jak u tego, jak on się po polsku nazywa... Trzmiel! Trochę jak trzmiel pan wygląda. Pani wie, mówię, że według praw fizycznych on latać nie powinien, bo za małe skrzydła ma, ale on sam o tym nie wie? I machać zaczynam rękami, a ona?

Śmieje się jeszcze bardziej i mówi, niedługo już rok będzie, jak się ostatni raz tak śmiałam. Żeby ją jeszcze bardziej rozbawić, zdobyłem się na sztubacki żart, zapytałem, czy wie, ile krzyży ma plac Trzech Krzyży, no i proszę. Jakoś udało mi się ten dzień, który już topił, wywlec na brzeg. Można odlać ze mnie pomnik warszawskiego trzmiela. ●

PO PRAWDZIE

Ulubione seriale TVP

Taka manipulacja, tymi słowami w taką rocznicę! Ich chora wyobraźnia nie ma granic.

Agnieszka Kublik

„Halo, halo! Nazywam się Stefan W. Siedziałem niewinny w więzieniu. Platforma Obywatelska mnie torturowała. Dlatego właśnie zginął Adamowicz” – wykrzyczał do tłumu pod sceną.

Był 13 stycznia 2019 r., Targ Węglowy w Gdańsku, finał WOSP. Paweł Adamowicz wchodzi na scenę. „Gdańsk jest szkodry. Gdańsk dzieli się dobrem. Gdańsk chce być miastem solidarności”...

Na scenę wskakuje Stefan W., miesiąc wcześniej wyszedł z więzienia. Zadaje ciosy nożem, trzy.

Adamowicz umiera w szpitalu następnego dnia.

Te słowa o Platformie to nie przypadek.

Potem się okaże, że w 2018 r. na antenie TVP nazwisko Adamowicz padało średnio pięć razy dziennie. Zawsze w negatywnym kontekście, jako podejrzane go o korupcję, wroga narodu, zaprzańca zdrajcy. I że Adamowicz z Platformy.

Jeden z dziennikarzy z TVP Gdańsk wiele razy latał z kamerą za Adamowiczem i wykrzykiwał oskarżenia. Na przykład: „Dlaczego prosiłście przestępców o pieniądze? Chcemy wiedzieć, kim jest Paweł Adamowicz na liście klientów Amber Gold. Musimy wiedzieć, dlaczego pan wspiera przestępczość w Gdańsku. To byli pospoliccy przestępcy, pan dobrze o tym wiedział! Gdzie są pieniądze, to jest 800 mln zł?”.

Innym razem: „Spodziewa się pan zarzutów w związku z przyjęciem łapówek od deweloperów?”.

Dziennikarz Krzysztof Leński oszacował wtedy, że tylko w 2018 r. i tylko w głównym wy-

daniu „Wiadomości” było co najmniej 100 materiałów o Adamowiczu „przedstawianym jako kryminalista, oszust, łapówkarz”.

Piotr Owczarski, były dziennikarz TVP, opowiadał „Wyborczej”, jak dziennikarze dostawali polecenia, by „nap...lać” w konkretnego polityka. „Pada rozkaz, wysyłamy wozy, ludzi i mają za nim biegać, będziemy w niego walić. Takie akcje były uruchamiane m.in. wobec prezydenta Adamowicza”.

Czy w TVP choć przez chwilę ktoś miał wątpliwości, że to przez takie szczucie Stefan W. ział nienawiścią do Adamowicza, do PO?

Po tragedii Adrian Klarenbach w programie „Woronicza 17” w TVP Info komentował tragedię: „Co niektórzy powiedzieliby: jakie życie, taka śmierć”. Potem dziennikarz przeproszał tych, którzy „zrozumieli opacznie” jego słowa. Opacznie, czyli jak?

A na szczytach zapanowało wyparcie. Prezes Jacek Kurski szedł do sądu za każde słowo, że jest tu jakiś związek. I przegrywał.

W tym ten najważniejszy proces. W styczniu 2019 r., po zamordowaniu Adamowicza, prof. Wojciech Sadurski napisał na Twitterze: „Po tym, jak zaszczuty przez rządowe media polityk został zamordowany, żaden demokrat, żaden polityk opozycyjny, nie powinien przekroczyć progu goebbelsowskich mediów. Niech się ki-szą we własnym sosie: nieudaczników, arywistów i tow. Marka Króla, jak bojkot TV przez artystów po 1981”.

Spółka zarzuciła profesorowi przestępstwo z art. 212 kodeksu karnego – publiczne zniesławienie.

Sądy niższych instancji uznały, że tym wpisem Sadurski nie zniesławił TVP, że – jak relacjonował profesor – „media powinny mieć grubą skórę, że powinny się liczyć z ostrą krytyką, że w moim wpisie nie było nic przestępczego, więc można się zastanowić nad reakcją TVP, tym bardziej że na Twitterze nazwa TVP nie padła”.

Sąd uwzględnił orzecznictwo Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, które powiada, że w debacie publicznej sądy wartościujące są dopuszczalne, nawet

jeśli są ostre czy obraźliwe, gdy dotyczą kwestii będących w centrum zainteresowania społecznego. Sąd uznał, że zwłaszcza jeśli chodzi o materiały o Pawle Adamowiczu, TVP była jednostronna i całkowicie łamała zasady rzetelności dziennikarskiej.

W końcu Sąd Najwyższy oddalił kasację TVP jako „oczywiście bezzasadną”.

TVP niczego się nie nauczyła. „Goebbelsowskie media” nadal robią swoje, np. przekonują, że Donald Tusk jest najbardziej nienawidzonym politykiem. Taki serial, nadawany codziennie w porze największej oglądalności pod wspólnym tytułem: Wszyscy mówią do Tuska: „nienawidzę cię”.

I Tusk potrzebuje ochrony. Proces Stefana W. dopiero zbliża się do końca.

Tusk w czwartą rocznicę zabójstwa na spotkaniu z młodzieżą (był z ochroną) mówił o roli TVP: „Ci państwowi funkcjonariusze w TVP, oni nadal uprawiają ten sam proceder. Starają się poniżyć całe grupy społeczne, i to prędzej czy później może doprowadzić do tragedii. To jest zaprogramowana, bardzo profesjonalna nienawiść. W mojej ocenie – jestem w stanie udowodnić tę tezę – to jest najbardziej profesjonalna telewizja publiczna w historii. Nigdy telewizja publiczna nie była tak profesjonalna, jak jest dzisiaj. Tylko profesja, jaką się zajmuje, jest niszczeniem na zlecenie władzy przeciwników politycznych tej władzy. I robią to perfekcyjnie, są naprawdę tak profesjonalni, że tylko pozazdrościć”.

TVP Info wzięło tę wypowiedź, pocięło i wysłało reklamówka TVP w wykonaniu Tuska: „To jest najbardziej profesjonalna telewizja publiczna w historii. Nigdy telewizja publiczna nie była tak profesjonalna, jak jest dzisiaj”.

I jeszcze głos lektora: „Wiesz więcej”.

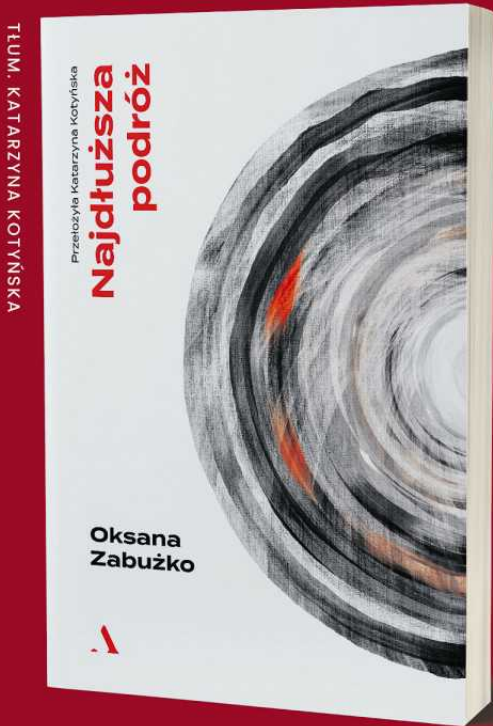
Taka manipulacja, tymi słowami, w taką rocznicę. Widać, że ich chora wyobraźnia nie ma granic. A na pewno granicy nie stawia jej zabójstwo. ●

W chwili najcięższej dla mojego narodu próby znalazłam się za granicą. Czy nie jest moim obowiązkiem dopowiedzieć wszystko do ostatniej kropki?

OKSANA ZABUŻKO

24 lutego 2022 roku ziemia zatrzęsa się od rosyjskich rakiet padających na Ukrainę. Czy świat zobaczył wreszcie w Rosji to, co od dawna widzą w niej Ukraińcy? W poruszającym i wnikliwym esej Oksana Zabużko pomaga nam zrozumieć sprawy, które dla naszych sąsiadów są oczywiste – że ta wojna nie zaczęła się ani w 2022, ani w 2014 roku, a także podsumowuje ostatnie miesiące, gdy stała się „pisarką w podróży”.

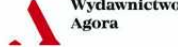
PREMIERA 25 STYCZNIA



CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA



BÓL LEPIEJ CZUJĘ BEZ SKARPETEK

FOT. BARTOSZ GÓRKA

W pewnych punktach świata celowo z bosych stóp zdejmuję buty. W Turynie – w hotelowym pokoju Cesarego Pavese. We Lwowie – tam, gdzie pomieszkiwała Ginczan-ka. I w Warszawie w mieszkaniu Kojiego Kamojiego

Jarosław Mikołajewski

Koji Kamoji, urodzony w 1935 roku w Tokio, należy do polskiej i światowej awangardy naszego czasu. Poznaliśmy się, kiedy zgodził się wziąć udział w nie-zrealizowanej wystawie DANTE w Muzeum Narodowym w Warszawie, do której miał przygotować ostatnią stację Raju. Każdy, kto zna czystość, skalę i rozległość jego bieli, nie będzie pytał o przyczyny zaproszenia przez kuratorów tego właśnie artysty. Okoliczności pierwszej wizyty w warszawskim mieszkaniu Kojiego opisałem w wierszu towarzyszącym obecnej wystawie w Galerii Monopol:

SZLAK HERBACIANY (fragment)

*/.../ mówię że ładnie tu pachnie a koji
że to kadzidelko
zapalone za zmarłych*

*wyjmuję notatnik otwarty
jak brama
zapisany nie wiem jakimi
hasłami*

*mówi
że imiona to zmarłych
sprzed śmierci
przypisanej dniom roku*

*a obok imiona
na czas gdzie są teraz
tłumaczy
że są to imiona kapłańskie
destylowane
z życia przedśmiertnego*

*jak ja na imię
będę miał po śmierci
pytam
lecz koji nie jest dziś kapłanem
więc nie wie
jak mi na imię na wieczność*

*w pracowni
(prosto i króciutko w prawo)
nowe prace pod ścianą*

*deski a na deskach
prosto
potem w lewo
i kamyki z cieniem*

*koji mówi
że kamyki są w miejscu
właściwym
dla jego spokoju*



ale i dla świata

*i mówi że deski
to nie jest wycinek
ale że to cała
rzeczywistość bytu*

*i że miejsce właściwe
dla pola przy ścianie
to miejsce właściwe dla całości
całej /.../*

Cały wiersz towarzyszy obecnej wystawie w Galerii Monopol na MDM-ie.

Któregoś dnia Koji wręczył mi kartkę. Na niej, odręcznie:
Drogi Jarku!
Czy możesz napisać krótki tekst o Jacku Sempolińskim i o mnie? Bardzo lubię i cenię jego pracę. Od paru lat myślałem o wspólnej wystawie. Miałem okazję go poznać krótko przed jego śmiercią.
Byłbym szczęśliwy, gdybyś mógł napisać. Koji

Kilka dni później umówiliśmy się w jego mieszkaniu w centrum Warszawy. Kiedy wszedłem do mieszkania, pachniało kadzidłem. Tak jak zaświadczam w wierszu. Nie – kościelnym z polskiej tradycji. Buddyjskim. Wschodnim. Zdjąłem buty. Byłem boso. Nie noszę skarpetek. Cisną mnie. Ale też często, w pewnych punktach świata, celowo z bosych stóp zdejmuję buty. W Turynie – w hotelowym pokoju samobójczej śmierci Cesarego Pavese, ukochanego poety. We Lwowie – w mieszkaniu, w którym pomieszkiwała Zuzanna Ginczan-ka. Potem – w miejscu jej rozstrzelania, w Płaszowie. (Pamiętam, jak stanąłem na wskazanym skrawku ziemi i zaczął padać śnieg. Kiedy odszedłem, na miejscu zostały moje stopy). W każdym razie dobrze się czułem w niewidocznym obłoku kadzidła, w domu Kojiego, boso, na podłodze zaplamionej farbami, jak małomówna wersja któregoś z dzieł Jacksona Pollocka. W pięty łaskotały mnie wspólne morze i wspólna łąka.

Kiedy spytałem, Koji wytłumaczył, że w rocznicę śmierci ludzi, kotów, psów i innych znajomych istnień otwiera notes z imionami zmarłej czy zmarłego – imieniem używanym za życia na ziemi, i tym, które kapłan nadał jej/jemu na teraz, kiedy jego/jej tutaj nie ma.

Częściowo znałem dzieło Jacka Sempolińskiego. Jego samego poznałem (raczej widziałem) w latach 80. w Muzeum Archidiecezjalnym na Powiślu. Myślę, że na wernisażu Jerzego Tchorzewskiego.

Kiedy Koji wspomniał o swoich zmarłych, od razu pomyślałem, że muszę pójść na Powązki. Pamiętałem, że artysta ma swoje czarne kolumbarium w ścianie zasłużonych, gdzieś na wysokości Herberta. Poszedłem z goździkiem, znalazłem. Nie pamiętałem, raczej nie wiedziałem, że tuż obok, w bliźniaczej czerni kamienia, leży Wiesław Juszczak, filozof i historyk sztuki, przyjaciel Sempolińskiego, który zmarł całkiem niedawno. Pomyślałem, a raczej poczułem, że bez tego drugiego punktu ściana z samym Sempolińskim byłaby niepełniona. Bezsensowna. Nawet drażniąca.

Czy był to efekt nerwicy, która każe mi myśleć o jednych miejscach jako dopełnionych, kojących, a o innych jako niedopełnionych („niedokończonych”, jak symfonia Schuberta)? Nie wiem. W każdym razie poszedłem na Powązki jak po klucz do powinowactwa obu artystów. Kojiego i pana Jacka.

Ale to nie jest tak, że klucz potrafi nazwać. Klucz otwiera rzeczywistość, ale zamyka imiona. Pozostawia bez słów. Na ścieżce odczuwania i dociekania. Wewnętrzne jątrzenie. I tak zostałem w tym moim cmentarnym spacerze – z pewnością, że wiem, i pewnością, że nie powinienem podejmować próby nazwania. Bo przecież jestem poetą. I kiedy Koji i Jacek Sempoliński zapraszali mnie do napisania tekstu towarzyszącego wystawie, nie mogli oczekiwać, że będę mniej uczciwy, mniej milczący wobec niemocy od nich, którzy pozostają poza definicją.

Czy mam powiedzieć, że dzieła tych artystów są niepodobne? Każdy, kto je wi-

dzi, wie doskonale, że mają różne twarze. Kojiego – skupione, dążące do jednobarwności albo zamilknięcia kontrastów. Pana Jacka – krzyczące krótkim kolorem, jak podeszła blizna po świeżej ranie, jeszcze podeszła karminową albo niebieską krwią.

Kiedy oglądałem prace Kojiego w jego mieszkaniu i potem, kiedy widziałem prace Sempolińskiego przygotowane na wystawę w Galerii Monopol, wiedziałem jedno: stanem człowieka, pewnie każdego, jest szczególny wybryk rozpacz. Akt twórczy artysty jest próbą ugłaskania desperacji i bólu. Jak wierzyli surrealiści: utopią odnalezienia takiego miejsca, w którym to, co cierpi, i to, co świętuje, znajdują jakieś pogodzenie. Oświetlają się wzajemnie i zacierają. Zakrzykują i kneblują zewnętrzny zgłęb, żeby wybrzmiały w głębi nas i w głębi morza, które obmywa nas pod stopami.

Kim jestem ja, skupiony gość Kojiego i pana Jacka, który chodzę po wielu punktach na ziemi – zbyt ciężki, nierozumny, wypukłoczoły, krzywoplecy, zdeptany? Kimś, kto tylko w jednym miejscu we wszechświecie widzialnym i niewidzialnym – jedynym możliwym dla mnie i dla wszystkich – zdejmuję buty, żeby stanąć w punkcie „właściwym”. W punkcie pogodzenia wszystkiego ze wszystkim. Skupionym i nasłuchującym poszukiwaczem harmonii. Prapoczątku i praprzyszłości. Paradoксу tego, że jestem.

Dziękuję, Bracia wędrowki do Punktu. Dziękuję, Koji i ledwie poznany panie Jacku. ●

Koji Kamoji – Jacek Sempoliński, Martwa natura

Wystawa w Galerii Monopol w Warszawie, przy Marszałkowskiej 34/50, otwarta do 4 lutego

Oiemno. Zima, śnieg za oknem, w pociągu gorąco. Ogrzewanie w wagonach na węgiel. Szyby zaklejone taśmą przezroczystą. Ojciec z córką wracają z Polski na Wołyń. Wyjechali w pierwszych dniach inwazji, ale wygląda na to, że w ich okolicach będzie spokojnie, nie ma co siedzieć na obczyźnie. Pogrążeni w telefonach śledzą wiadomości z frontu.

To na Telegramie, to na innych społecznościówkach, to jeszcze gdzie indziej. Czasem się kłócą.

Ojciec: – Złych komentatorów czytasz.

Córka: – Jasne, twoi najlepsi.

– W matkę się wdalaś – burczy ojciec i obdzwanianie rodzinę. – No, jak tam? Jak minął dzień? Nikt was nie ostrzelał? Rakieta nie

zrozumiało, dlaczego to czy owo jej nie bardzo wychodzi.

Tutaj, w Charkowie, przynajmniej wyłączyli te bramki. Masz, pyta policjant, człowieku, broń? Narkotyki? Coś nielegalnego? To idź, na zdrowie. Ale na przykład w takim Kijowie na dworcu – tam już bardziej zasadniczo. Wiadomo – stolica, dokładniej szukają. Trzeba wszystko wyjąć z kieszeni, dać bagaż do prześwietlenia. I siedzieć nie można na podłodze w głównym holu na plecach. Zapraszają do poczekalni. Ale nie że natrętnie. „Chwilę tu jeszcze sobie posiedzę, a potem pójde do poczekalni” – na przykład można im powiedzieć. „A to sobie jeszcze chwilkę posiedź”. W ogóle mundurowi są tu jak ludzie. Nie napinają się, nie rzucają, nie pouczają, nie wynoszą się nad cywili. W porządku są. „Kochany, ja rozumiem, że ty chcesz tędy przejść – mówią, na przykład, wartownicy, za-

POCIĄG DO ŻYCIA

Jak minął dzień? Rakieta nie przyleciała?
Nikt ze znajomych gdzieś nie zginął? No, to okej

Ziemowit Szczerek

przyleciała? Nikt ze znajomych gdzieś nie zginął? No, to okej.

I tak w kółko.

Na peronach ciemnawo i zimno, ale ludzi mnóstwo. Noc, dzień. W oświetlonych rzęsiście poczekalniach tłumy. Na dworzec nie wejdzie się bez kontroli bagażu i rzeczy osobistych. Jak na lotnisku. W Rosji już to mają od dawna, w Ukrainie od wojny. W Turcji, w Kazachstanie – to samo. Na jednych dworcach sprawdzają dokładnie, na innych mniej. Bramki są ustawione, ale wyłączono. Jakby włączyli, toby cały czas piszczalo. W Rosji inaczej. W Petersburgu, na przykład, pamiętam, ustawili w metrze piszczące bramki, żeby się ludzie czuli bezpiecznie. No i bramki cały czas piszczaly, bo tłum nieprzebrany się do metra pchał, a ochroniarze – co mieli robić? Każdego przeszukiwać z osobna? Zatrzymać metropolię? Bramki piszczaly, choć bez sensu, ale piszczcie musiały, bo rozkaz to rozkaz, i jakby ktoś przyszedł i sprawdził, dlaczego nie piszczą, toby się zaczęły pretensje, a komu to potrzebne. Mundurowi po prostu siedzieli z watą albo słuchawkami w uszach, żeby im nie krwawiły od tego pisku, i patrzyli tępo w przestrzeń. Rosja to – mimo wszystko – ciekawe miejsce, tylko dziwne, że do tej pory jeszcze nie

miast huknąć, jakby to zrobiono niechybnie w takiej Rosji, ale pewnie i w Polsce. – Ale ja mam poważniejsze sprawy na głowie, żeby mieć jeszcze problemy, które bym miał, gdybym cię przepuścił”. No bo mają. Na przykład inwazję Rosji na swój kraj. Patrzą na polskich mundurowych na Podlasiu, a potem na ukraińskich w ich wojną ogarniętym kraju – i trochę mi trudno w to, co widzę, uwierzyć.

No, ale w tych pociągach pełno. Podróżni, wolontariusze z całego świata, migranci, jak to się mówi, wewnętrzni albo tacy, którzy jadą w stronę którejś granicy z całym dobytkiem. Polskiej, słowackiej, węgierskiej, rumuńskiej, mołdawskiej. Na przykład rodzina z Odessy z małym chłopczykiem. Chłopczyk ma ze trzy-cztery lata, ale przerabia już drugi język ojczysty. Po rosyjskiej inwazji rodzice zakazali mu mówić po rosyjsku i sami przeszli na ukraiński. Nie wytrzymują już kolejnej godziny w swoim przedziale i kręcą się, jak połowa innych podróżnych, po korytarzu. I gadają. Każdy z każdym. Czasem jeszcze ktoś po rosyjsku zagada, ale brzmi to zazwyczaj jak niewłaściwie zagrana nuta. Społeczne ciśnienie do używania ukraińskiego jest wyraźne.

W dworcowej knajpie w Charkowie – wokół noc, pół miasta za ciemnione, wyziębione – siedzą dwie starszki. Czekają na pociąg i wpadły na herbatę. Bo knajpy działają. Te, które nie zbankrutowały albo których właściciele nie wyjechali z kraju, oczywiście. Ale te, które pozostały – wszystko normalnie. Jak dawniej. Tylko drożej. Często wykwintnie. Zamówisz kotlet po kijowsku, to ci go tak podadzą, że zamiast „elegancja – Francja” zaczniesz mówić „galanteria – Banderia”, gdybyś tylko miał ochotę wyrażać się pozytywnie o Stepanie Banderze, na co ja ochoty za bardzo, ogólnie rzecz biorąc, nie mam.

No, ale w tej dworcowej akurata elegancie nie było – choć i nieelegancie też nie, trudno dziś w Ukrainie znaleźć knajpę typu radzieckiego, z wódką, śledziem i piwem w brudnym kuflu, jakich szukali polscy plecakowcy, ze mną na czele, w czasach „mordorowych”. Tak z piętnaście, dziesięć lat temu. Teraz Ukraina to zupełnie inna historia, i dzieją się rzeczy, które trudno sobie wyobrazić. Na przykład to, że na dworcu w Charkowie siedzą dwie starsze panie, starają się wstawić do swojej ruszczyzny jak najwięcej ukraińskich słów i – w chwilach napięcia – wyzywają się od „kolaborantek”.



• Plakat ostrzegający w Kijowie przed minami pozostawionymi przez Rosjan FOT. ZIEMOWIT SZCZEREK (2)

Wociągu do Charkowa –eleganckim i nowoczesnym – na podwieszanych pod sufitem ekranach wyświetlane były ukraińskie stroje ludowe charakterystyczne dla każdego regionu kraju. Pociąg mknął przez ciemną i zimną noc, w komórkach pasażerów pikaly sygnały o alarmach bombowych dla tego czy innego obwodu albo miasta, a na pociągowych ekranach wyświetlała się inżynieria narodowa. I wszyscy w tym ukraińskim. No, nie wszyscy, ale większość przynajmniej próbowała. Myślałem o tych Ukraińcach ze wschodu, których widuję w polskich miastach – oni nadal często mówią po rosyjsku. Będą mieli małe zdziwienie, jak wrócą do domów. Ominie ich na tej emigracji najsilniejszy okres narodowego wzmożenia i utrwalania państwowości. I wielu będzie musiało nadrobić trochę kwestii językowych.

Pociągiem najwygodniej. Przy kasach nie trzeba stać, bo bilety wygodniutko, przez internet. I ukraińskie koleje są dumne z tego, że się nie spóźniają. Nawet podczas wojny. Na początku, w czasie chaosu, było różnie, ale szybko wszystko wróciło do normy. Ukrzaliznycia prawie na kolanach demonstracyjnie przeprasza na portalach społecznościowych za kilkuminutowe spóźnienie. Na dworzec też dostać się wygodnie, bo transport publiczny – poza miastami, w których toczą się akuraty walki – działa normalnie. Czasem, jak w Charkowie, jest nawet darmowy. W Kijowie, jeśli akuraty jest takie czy inne zagrożenie, czasem zamykają którąś linię metra, ale zawsze wypuszczają transport zastępczy w takiej ilości, że uberowcy i boltowcy narzekają, że się korki robią. I faktycznie: w Kijowie korki jak przed wojną. Taksówkarze też starają się po ukraińsku. Jak nie znają, to choć słowo wtrąca, choć się pożegnają czy przywitają. I na wszelki wypadek puszczaają kawałki, w których przewijają się teksty, jak: „Śława Ukraini, śława nacji, i pizdiec Rossijskoj Federacji”, „orkam bude ważkowato, Himarsiw u nas bohato” i tak dalej. Albo piosenka skierowana do prezydenta Zelenskigo: „Wowa, ja na ciebie nawet nie głosowałem, ale ty zjednoczyłeś ludzi! Wowa, napierdalał ich, kurwa mać! A my ci będziemy pomagać!”.

Samochodem lepiej się już jeździ niż dawniej. Przede wszystkim dlatego, że już za Poroszenki zaczęto wielki program budowy dróg, który – aż do wojny – rozwijał się i za Zelenckiego. Potem, oczywiście, część tego wszystkiego poszła w czorty rozwalona rosyjskimi bombami, ale co można – renowuje się. Pod Kijowem, w Iziumie, było najgorzej: Ukraińcy wysadzili most wiodący do stolicy, Rosjanie stanęli w wąskim gardle i zaczęli walić, czym się dało. Do tej pory wszystko tam pogorzeliłkiem, ale szosa już nowa.

Inaczej to wygląda na kierunku białoruskim, skąd – kto wie – może przyjąć kolejne natarcie. Na przykład w kierunku na Czernihów. Niby prowadzi tam porządna droga, idąca dalej na Białoruś i jeszcze dalej na Moskwę, wyremontowana już za Zelenckiego (wyznawcy teorii pisko-

wych, którzy nadal nie ufają ukraińskiemu prezydentowi, twierdzą, że ten remont był po to, żeby rosyjskie czołgi mogły się szybciej dostać do Kijowa), ale przed samym Czernihowem staje się nieprzejezdna. Most zawalony, niby jest przeprawa tymczasowa, ale rzeka Desna, wijąca się między poleskimi już bagniskami, lasami i jeziorami, jest na wpół zamrznięta. I przeprawa stała się nieprzejezdna, bo rzeką idzie kra. Na blokpoście, jak w Poradzieci nazywa się wojskowo-policyjne punkty kontrolne, oglądają uważnie paszporty i akredytacje, i mówią, że nie ma szans. Trzeba albo jechać naokoło, przez Oster, albo wąską, starą drogą do pieszego mostu do miasta. Ta wąska to kawałek starej Ukrainy. Pełno takich drózek na Polesiu i nic dziwnego, że kolumny Rosjan rozwalano na nich javelinami i piorunami, aż furczało. Nawet osobówcę ciężko się poruszać po tych monstualnych wykrotach, dziurskach i ogólnej beznadziei odwiecznego wykluczenia komunikacyjnego Europy Wschodniej ze szczególnym wskazaniem na Polesie, jeszcze do niedawna nazywane „europejską Afryką”. Poleszucy w zgodnym wyjątkowo stereotypie zarówno polskim, jak i ukraińskim, białoruskim i rosyjskim to odcięci od świata ludzie, którzy mieli na niemytych głowach hodować lokalną wersję dreadów – czyli gigantyczne koltuny sklejonych i sfilcowanych włosów. A w głowach – najdzikszy system zabobonów, oddzielający ich od świata firewallem nie mniejszym niż bagno i puszcze, pośród których żyli. Ten sam stereotyp opisuje, że I wojna światowa czy wojna bolszewicka przeszły przez niektóre poleskie wsie niezauważone. To stąd, według wielu teorii, notabene, mieli pochodzić Słowianie. I tym, według kolejnych teorii, powinno się tłumaczyć ich relatywne zacofanie cywilizacyjne po tym, jak już pojawili się na opisywanej przez historyków arenie dziejów.

No więc droga samochodem przez Polesie to koszmar. Szczególnie teraz, gdy jest na minusie, ściemnia się i wykroty pokryte są lodem. Samochody ślizgają się i cudem na siebie nie wpadają, jadącymi z naprzeciwka trzeba zjeżdżać na pobocze. Gdy jedzie jakiś większy kozak, nie daj Boże beemką, przez chwilę panuje szaleńczy chaos: trzeba mu zjechać, żeby wszystkich nie pozabił, po czym wszystko wraca do czegoś w rodzaju niezdarnej normy. Chyba że chce się, by kolumny wojska zatrzymywano jednym celnym strzałem z granatnika, bo objechać wrak tutaj nijak: z jednej strony rzeka, z drugiej – mokradła, które nawet zmarznęte są grząskie. I tak to – mniej więcej – aż po polską granicę. Same wąskie gardła, a główne szlaki mocno strzeżone. Te pozostałe zresztą też.

Zeszłej zimy Rosjanom udało się jednak jakoś przez fragment Polesia przedrzeć: sytuacja była inna, zresztą okupili atak wielkimi stratami i w końcu tak czy owak musieli się wycofać. Po wsiach jednak o nich pamiętają. Na przykład takie Jahidne pod Czernihowem. Kilkuset mieszkańców wojsko zamknęło w szkolnej piwnicy, a sami zaję-

li ich domy. Przy szkole natomiast zajęli pozycje obronne i zaczęli wznosić umocnienia. Wołodymyr, nastolatek, który razem z całą wsią przesiedział w ten wczesnowiosenny miesiąc w piwnicy, dziś na kurtce ma naszytego Tarasa Szewczenkę i – mimo że w tych stronach dawniej po rosyjsku się dużo mówiło – dziś tylko ridnoju mowoj. Po ukraińsku. Oprowadza po tej piwnicy: parę metrów na krzyż w każdym poikoiku, ale trzymano tam po kilkanaście osób, a do tego jeszcze małe dzieci. Do toalety można było za pozwoleniem wyjść, to tyle. I to nie zawsze, bo często trzeba defekować do wiadra. Przy wszystkich. Czasem puszczaali jednegoczy drugą na godzinę do wsi. Choć kobiety wołały się im na oczy nie pokazywać, więc częściej wychodzili mężczyźni. Zresztą – wychodzić było niebezpieczne, bo wokół non stop trwała kanonada obracającą domy mieszkańców Jahidnego w ruiny. Poza tym – cały czas przy sztucznym, słabym świetle, w smrodzie odchodów z wiadra, przy płaczu dzieci i nie tylko dzieci, żywiąc się rozdawanymi na kilka osób rosyjskimi racjami żywnościowymi z tych toreb papierowych, które i teraz wszędzie się po tej piwnicy walają. Jedna z kobiet wyry-

– bez okien. Z rzadka przejedzie auto. Często są to busiki ewakuujące mieszkańców Chersonia, który po dziewięciu miesiącach okupacji wrócił pod władzę Ukrainy. Niektórzy pozwolili się wywieźć Rosjanom, szczególnie ci, których dziś w mieście nazywa się kolaborantami. Bo miasto się podzieliło. Jedni cieszyli się z rosyjskich porządków: ci, najczęściej, wyjechali. Ci, którzy pozostali, opowiadają o życiu pod okupacją. Jedni koloryzują, inni nie. Jedni dorabiają sobie bohater-ski mit, inni są rzeczowi i rzetelni. Ale z relacji właściwie wszystkich wynika jedno: strach przed Rosjanami był. Przez długie miesiące, właściwie od początku lutego, ludzie żyli tu jak na brzytwie.

– Jedni i drudzy mówili, że za nas walczą, i jedni, i drudzy nas bombardowali – opowiedziała mi na targu jedna z handlarek, wywracając oczami. Nie wyglądała na specjalnie ideologicznie zaangażowaną. Mówiła, że żyć jakoś trzeba było i za okupacji. Raz płacą w rublach, raz w hrywnach, a chleb to chleb. Kilka dni później ten rejon targu popadł pod rosyjski ostrzał.

Ale i ci, którzy pozostali w mieście, mają już często dość życia jak na widelcu: Rosjanie wycofali się za Dniepr, ale zza rzeki ostrze-

Żółte billboardy „Kochani, jesteście wśród swoich” zawisły w miejscu „Rosja pozostanie tu już na wieki”

sowała na ścianie kalendarz. Od 5 do 22 marca. Inni skreślali dni przekreślonymi kreskami, jakimi w komiksach pokryte są ściany więziennych celi. W jednej z sal wypisano na ścianie nazwiska zmarłych. Janiuk, Radczenko, Hryszczenko, Bukowiec. I więcej, ponad dziesięć osób. Nie od razu wynoszono zwłoki. Ludzie, słęczeni, spali na siedząco, jak mu-mie w inkaskich ruinach. Obok trupów swoich sąsiadów. I modlili się, żeby sufit, razem z całą szkołą, nie zawalił im się na głowę. I żeby do piwnicy nie zajrzeli Rosjanie, szukając kobiet.

Niektóre wsie przy drogach już odbudowane, inne w trakcie odbudowy. Jeszcze inne – całkiem rozwalone. Najgorzej to wygląda na trasie na Chersoń. Im bliżej do miasta i do Dniepru, który jest linią frontu – tym bardziej asfalt chrzęści, bo zryty gąsienicami czołgów. Po polach – trochę zaśniewionych, trochę zabloconych – walają się jeszcze gdzieniegdzie te słynne papierowe torby z rosyjskich racji wojskowych. Zielone, z gwiazdą. Nawet ładnie zaprojektowane. Pola po horyzont. Stepy. „W stepie szerokim”. To tu to wszystko. Droga na Chersoń. Na południe.

Stacje benzynowe po bokach – wypalone. Przydrożne domy

liwują miasto. Nie tylko, bynajmniej, infrastrukturę energetyczną. Walą też w centrum miasta: prawie dokładnie tam, na przykład, gdzie stały namioty „punktów niezłomności”, w których ludzie – marznący na co dzień w nieogrzewanych mieszkaniach, doprowadzeni do depresji z powodu braku światła – mogą posiedzieć w cieple, naładować smartfony, obejrzeć wiadomości, pogadać z ludźmi. Do śmierci trudno przywyknąć. Ale do ciągłej kanonady – owszem. Unosi się nieprzerwanie nad Chersoniem jak miejski zgiełk.

Dlatego i po wyzwoleniu ludzie wyjeżdżają. W sklepach, owszem, jest nie tylko jedzenie, ale w zasadzie wszystko, czego – według współczesnego kapitalizmu – potrzeba czy nie potrzeba. Zaoopatrzenie wróciło razem z Ukrainą. I wielkimi, żółtymi billboardami wiszącymi wszędzie: „Kochani, jesteście wśród swoich”. Powieszonymi na miejscu tych rosyjskich, zapewniających, że „Rosja pozostanie tu już na wieki”. Nie ma pieniędzy, dramatyczne nie ma pieniędzy. Kolejki do pomocy humanitarnej zakręcają po kilka razy. To samo w nieodległym Mikołajowie, do którego Rosjanom wjechać się nie udało, ale który oblegali. Tu też ludzie stoją, gdzie tylko coś można dostać.

A obok – prawie normalne miasto. Tu i tam ślady ostrzałów, ale samochody jeżdżą, sklepy działają, porządne najczęściej restauracje podają jedzenie, kawiarnie parzą kawę. Często pracują bez prądu: pracownicy przyświecają sobie komórkami.

No więc tak, wszystko jest. Nie ma tylko pieniędzy.

Nie ma też już kolejek po benzynę, jak to było na początku wojny. Wtedy wszyscy jeździli z kanistrami w bagażnikach, ja też. Na stacjach albo nie było, albo reglamentowana. Teraz jest po prostu przede wszystkim droga.

– Nie wiem jakim cudem, ale benzyna mi się w bagażniku wylała z kanistra – mówił nam Anton w Mikołajowie. – Teraz tak wali w środku oktanami, że mogę otworzyć drzwi, siedzieć w aucie, a wszystkie dziewczyny będą do mnie Ignęły, jakbym się wypryskał najdroższymi perfumami.

No więc samochodem da się całkiem nieźle po Ukrainie jeździć, ale trzeba mieć na to pieniądze. I odpowiednie dokumenty, bo co jakiś czas na drodze wyrastają betonowe zapory z ukraińskimi flagami i żołnierze każą się opowiadać i legitymować. Nie robią problemów, bywają zasadniczy, ale nie tak jak na początku wojny. Wtedy posterunków było o wiele więcej, często osadzonych przez półcywilne załogi. Albo i cywilne, z bronią, na przykład, myśliwską, kupioną w sklepie. Lokalna obrona terytorialna budowała je przy wjazdach do wsi i miasteczek. Czasem oplecione siatką maskującą, czasem przymaskowane jakimiś gałęziami, wyglądały jak zabawa w wojnę, która stała się na serio. Wtedy było gorzej: panowała szpiegomania i w każdym doszukiwano się potencjalnego zagrożenia. Nikt nie wiedział, co się dzieje, a każdy mógł zareagować.

Dziś już spokojniej. Wszystko się mniej więcej wygładziło. Wiadomo, kto swój, kto wróg, skąd idzie, gdzie może być nalot. Pikają aplikacje w telefonach. Prąd wylacza się w poszczególnych osiedlach według grafiku. Ludzie kupują sprzęt turystyczny do grzania, gotowania, do ocieplania. Schodzą piecyki gazowe i LED-owe oświetlenie na baterie. Można wyjść do knajpy na wódkę, piwo czy wino, ale trzeba wrócić przed godziną policyjną. Siedzi się nocą w czołówkach, nie rozbiera do spania, owija w kołdry, koce i co tylko jest. Ludzie rzadziej się myją. Wnoszą na wysokie piętra pięciolitrowe bukłaki wody, bo ta z kranu często nie nadaje się nawet do gotowania. Ludzie się męczą, wściekają, ale dają radę. A wokół, tak samo jak oni – dający radę – wolny, kapitalistyczny rynek, który jak wszędzie i jak zawsze – wojna nie wojna – dostarcza ludziom wszystko, czego zapagną, i łapie za gardło, gdy nie mają czym płacić.

A coraz częściej, niestety, nie mają. ●

N A S Z A E U R O P A

Czy Oslo powinno dzielić się z Ukrainą?

NORWEGIA ZARABIA
NA WOJNIE JAK NIGDY.
IMA WYRZUTY SUMIENIA

Norwegia dzięki złożom ropy i gazu należy do najzamożniejszych państw świata. Ale dopiero wojna w Ukrainie przynosi absolutnie rekordowe zyski słynnemu funduszowi naftowemu tego kraju. Dlatego wybuchła tam debata, czy i jak Norwegia powinna pomóc Ukrainie swoimi pieniędzmi.

Marc Pfitzenmaier

WELT

Norwegia ze swoimi zasobami i euroatlantycznym etosem nigdy nie była tak ważna dla Europy jak teraz. Ale jednocześnie relacje tego kraju z europejskimi sąsiadami są wystawione na ciężką próbę. Ma on bowiem coś, czego Europa rozpaczliwie potrzebuje: gaz ziemny. Ponieważ UE – a już zwłaszcza Niemcy – chce się definitywnie uwolnić od zależności energetycznej od Rosji, staje się coraz bardziej zależna od Skandynawów, którzy już zastąpili państwo Putina na czele listy głównych dostawców gazu do UE.

Według danych norweskiego ministerstwa finansów z końca grudnia, w 2022 r. spodziewano się zysku w wysokości 113 mld euro. W bieżącym zyski szacowane są nawet na 130 mld euro – to już pięć razy więcej niż w ostatnim roku przed inwazją Rosji na Ukrainę.

Ten luksus to coraz wyraźniej także kwestia sumienia dla Oslo. Przez Europę przechodzi wzmagający się szmer, że Norwegia, chcąc nie chcąc, zachowuje się jak wojenny spekulant, a korzystanie z wysokich cen kosztem swoich europejskich partnerów, którzy już cierpią z powodu wysokiej inflacji, jest co najmniej nie fair.

Norwegia dostarcza obecnie ponad jedną czwartą zapotrzebowania Europy na gaz, w przypadku Niemiec udział norweskiego surowca jest jeszcze większy.

Od połowy lat 90. kraj wpłaca zyski ze sprzedaży do państwowego funduszu naftowo-gazowego. Obecnie jego wartość to ok. 1,3 bln euro, co oznacza, że każdemu Norwegowi można by wypłacić od ręki ćwierć miliona euro.

Struktura zarządzania tą fortuną została zaprojektowana tak, by miała przynosić fak-

tyczne korzyści obywatelom. Statutowym celem funduszu naftowego jest „zapewnienie odpowiedzialnego i długoterminowego zarządzania dochodami z norweskich zasobów ropy i gazu, tak aby z tego bogactwa korzystały zarówno obecne, jak i przyszłe pokolenia” – deklaruje państwowy Norges Bank, który zarządza funduszem.

Fundusz naftowy jest więc podstawą norweskiego modelu dobrobytu i ma zapewnić bezpieczeństwo kraju nawet w przyszłości, gdy żadne dochody z ropy i gazu już nie będą wpływać do kasy państwa.

W związku z wojną w Ukrainie i ogromnymi zyskami, jakie w jej następstwie osiągały dostawcy energii – w tym Norwegia – w kraju nasiliła się debata o tym, jak w przyszłości postępować z bilionowym funduszem. Jest to debata o pieniądzu i moralności, która już od jakiegoś czasu toczy się wokół funduszu, ale teraz nabrała nowego znaczenia wobec zmian egzystencjalnych w całej Europie.

Dyskusja dotyczy tego, czy Norwegia, której zdarzyło się niechęć czerpać zyski z wojny, nie powinna pomagać innym europejskim krajom cierpiącym z jej powodu. I czy część zysków nie powinna ostatecznie płynąć bezpośrednio do Ukrainy. W celu złagodzenia cierpienia, z którego Norwegia pośrednio korzysta.

Wojna zmienia wszystko

„Państwowy fundusz naftowo-gazowy zawsze był tu czymś świętym; wszyscy zgadzamy się, że nie należy go dotykać” – powiedział amerykańskiemu magazynowi „Time” norweski ambasador Paktu Klimatycznego Paal Frisvold.

Wraz z wojną w Ukrainie pojawiają się jednak pęknięcia w dotychczasowej zgodzie co do tego, jakie obowiązki wynikają z posiadania gigantycznych aktywów. W pra-

■
W 2023 r. wpływy do norweskiego funduszu naftowo-gazowego osiągną 130 mld euro – to już pięć razy więcej niż w ostatnim roku przed inwazją Rosji na Ukrainę

się można przeczytać, np. że „wraz z inwazją na Ukrainę wszystko staje się polityczne – zaczynamy zdawać sobie sprawę, że nie możemy po prostu rozłożyć rąk w beznadziejnym geście i powiedzieć: przepraszamy, tak działa rynek. Bo to my jesteśmy rynkiem”.

Kontrolowany przez państwo producent energii Equinor odpowiada za ponad 80 proc. produkcji ropy i gazu, a firmy przekazują 78 proc. zysków jako podatek, który następnie trafia do funduszu.

Choć więc to państwo norweskie de facto dyktuje rynkowi warunki, to rząd pod kierownictwem premiera Jonasa Gahr Støre z Partii Pracy powtarza argument o wolnym rynku.

Z tym że Støre rzeczywiście zasygnalizował, że Norwegia jest otwarta na rozmowy w sprawie długoterminowych umów gazowych. Powiedział jednak również, że to firmy, a nie rząd norweski, są odpowiedzialne za osiągnięcie krótko- i długoterminowych porozumień ze swoimi klientami w Europie. Tym samym socjaldemokrata od wielu miesięcy pozwala, by błagania państw europejskich o dobrowolne ustanowienie pułapu cenowego dla norweskiego gazu pozostawały bez skutku.

Jednocześnie jednak rząd w Oslo zmienia podejście do funduszu naftowego. Za czasów poprzedniego konserwatywnego rządu Erny Solberg nadal uparcie trzymano się doktryny zakładającej niemieszanie funduszu w bieżącą politykę – nawet jeśli już wielokrotnie wcześniej podnoszono zarzuty natury etycznej. W 2010 r. fundusz wycofał się np. z branży tytoniowej, a później z węglowej, przestał też współpracować z firmami zajmującymi się produkcją broni jądrowej.

W 2019 r. Støre, lider opozycyjnej wtedy socjaldemokratycznej Partii Pracy, dość agresywnie atakował rząd, mówiąc, że zarządzanie funduszem naftowym nie powinno opierać się tylko na finansowych zasadach zachowania i pomnażania kapitału, ale także uwzględniać cele polityczne.

„Musimy przyzwyczaić się do mówienia wprost, że fundusz naftowy jest instrumentem politycznym” – powiedział Støre na jednej z ówczesnych konferencji, wywołując debatę, która wcześniej prawie nie miała miejsca. „Myślę, że to, co mówi Jonas, jest niewiarygodnie niebezpieczne dla Norwegii jako narodu” – ripostowała wówczas premier Solberg.

Jesienią 2021 r. Støre przejął stery rządu w centrolewicowej koalicji. I zabrał się do przekształcania funduszu naftowego w potężny instrument służący przejściu na energię odnawialną.

Fundusz jest „własnością Norwegów, a ustalenie jego ram należy do norweskiego rządu i parlamentu. To czyni go politycznym w najściślejszym sensie tego słowa” – powiedział Støre w swoim pierwszym wywiadzie jako premier.

Choć Norwegia nie jest członkiem UE, Oslo wdraża unijne pakiety sankcji nakładanych na Rosję, a także wycofało inwestycje swojego funduszu naftowego z Rosji.



• Platforma wiertnicza nad złożem „Edvard Grieg” na Morzu Północnym
FOT. HAKON MOSVOLD LARSEN, AP

NASZA EUROPA

Obecnie zarząd funduszu planuje ponowną ocenę etyczną swoich inwestycji, która może dotyczyć również Izraela pod rządami nowej koalicji, którą premier Benjamin Netanjahu utworzył z politykami skrajnej prawicy. Według przecieków rozważane jest m.in. wycofanie aktywów z izraelskich banków, jeśli ich kredyty przyczyniają się do budowy osiedli na okupowanych terytoriach palestyńskich.

U siebie zielono – za pieniądze z eksportu paliw kopalnych

Jednak Norwegia musi również stawiać czoła innego rodzaju krytyce.

Z jednej strony surowcowy raj chce osiągnąć całkowitą neutralność klimatyczną do 2030 roku – a więc znacznie wcześniej niż UE – a już dziś krajowa energia elektryczna wytwarzana jest niemal w całości z energii wodnej.

Z drugiej zaś zielona idylla jest zakłócana przez rzeczywistość, w której Norwegia prowadzi nadal masową eksploatację złóż ropy naftowej i gazu ziemnego, a największy w Europie eksporter paliw kopalnych pośrednio przyczynia się do emisji dużych ilości CO₂.

Kilka tygodni temu rząd ponownie przyznał dziesiątki nowych licencji na wydobycie ropy i gazu na norweskim szelfie kontynentalnym, a nawet w delikatnym ekosystemie Arktyki uruchamiane są nowe odwierty – organizacje ekologiczne bezskutecznie się temu sprzeciwiały.

Pomoc Ukrainie tematem w parlamencie

Tymczasem debata o wysokich zyskach wynikających pośrednio z wojny dotarła do parlamentu. W Stortingu coraz głośniej mówią politycy, którzy uważają, że moralny obowiązek Norwegii nie ogranicza się w tej sytuacji tylko do zasilania krajowego funduszu emerytalnego rekordowymi kwotami ze sprzedaży surowców. Na razie jednak nie ma zgody co do tego, na co mają być przeznaczane te pieniądze.

Konserwatyści chcą je wykorzystać do amortyzacji wysokich rachunków za prąd, które są wyznaniem także dla wielu rodzin w Norwegii. Od miesięcy członkowie Zielonych i Socjalistycznej Lewicy – na której rząd opiera się w parlamencie – wzywają, by nieprzewidziane wydatki zyski trafiły do funduszu solidarnościowego – podobnego do podatku od nadmiernych zysków, który UE narzuca firmom z branży paliw kopalnych.

Ale jest też pomysł, by część pieniędzy trafiła bezpośrednio do Ukrainy. To głównie politycy Zielonych w parlamencie chcą takiego funduszu solidarnościowego dla Ukrainy. Konkretnie domagają się, by pieniądze płynęły na odbudowę niszczonego przez Rosjan kraju.

W ubiegłym roku Oslo wsparło Ukrainę kilkoma pakietami finansowymi, w sumie ponad 850 mln euro. Rząd nie powiązał ich jednak z funduszem naftowym. Ale Støre obiecał już „ważny przełom” w 2023 r. w sprawie wsparcia dla Ukrainy – „na zasadzie wieloletniej”. To sugeruje, że tabu „apolitycznego i nietykalnego funduszu naftowego” to już historia. ●

CZY XI JINPING URATUJE ŚWIAT?

Trzecie otwarcie Chin

Pojawiły się poszlaki, że Chiny zwracają z kursu izolacjonizmu na drogę mocnego wzrostu gospodarczego. Zagraniczne rynki wypatrują tego jak zbawienia.



Robert Stefanicki

W marcu stanowisko premiera odpowiedzialnego za gospodarkę obejmie Li Qiang, który dał się poznać jako zwolennik kooperacji i przedsięwzięć. M.in. pomógł Elonowi Muskowi zbudować w rekordowym czasie fabrykę Tesli w Szanghaju, gdzie Li jest szefem partii.



Świat stoi na progu recesji. Jest to skutek nałożenia się kilku czynników: prawa ekonomii wystawiły rachunek za rozdawnictwo łagodzące skutki pandemii; Putin dołożył do pieca inflacji, atakując Ukrainę, co wywołało gwałtowny wzrost cen surowców oraz niepewności; do tego ogólny cykl koniunkturalny po latach prosperity wszedł w fazę zniżkującą.

Problem: Chiny, rozwiązanie: Chiny

Chiny nie są tu bez winy. Nie zdusiły koronawirusa w zarodku, a potem długo utrzymywały strategię „zero COVID”. Praktycznie zamknęły granice i zwalczały najdrobniejsze ogniska choroby, zamykając całe miasta, fabryki czy porty, co można porównać do gaszenia niedopałka cysterną wody.

Na całym świecie pogłębiało to obawy o najbliższą przyszłość. A złe nastroje mają siłę samospełniającej się przepowiedni, bo hamują inwestycje i konsumpcję.

Nadziei upatrywano nie gdzie indziej: kołem ratunkowym dla międzynarodowych rynków miało być otwarcie Chin. I ten scenariusz się realizuje.

Nie wiadomo, w jakim stopniu nastąpiło to pod wpływem protestów chińskiego społeczeństwa, zmęczonego blisko trzema latami ograniczania wolności, a w jakim za namową ekspertów i biznesmenów, w każdym razie Xi Jinping nagle i dość nieoczekiwanie porzucił swoją sztandarową politykę „zero COVID”.

W danych ekonomicznych to jeszcze nie jest widoczne, ale na giełdach, które wyprzedzają rzeczywistość o jakieś 6-9 miesięcy, już tak. Pomimo obaw o recesję i trwającej wojny indeksy europejskie urosły prawie do historycznych szczytów. Euforię widać

nawet w krajach, gdzie gospodarką sterują politycy pokroju ministra Sasina. Jeśli ktoś pod koniec listopada kupił akcje KGHM, to po sześciu tygodniach miał ok. 40 proc. zysku – i powinien podziękować za to przede wszystkim Chinom.

Otwarcie daje nadzieję na większy wzrost chińskiego PKB – powyżej 5, a niektórzy widzą nawet 7-8 proc. Samo to winduje światowe ceny surowców (m.in. miedzi i srebra wydobywanych przez KGHM) w oczekiwaniu na większe zużycie w Chinach. Na odbiciu Chin skorzystają eksporterzy, zwłaszcza dostawcy dóbr luksusowych chętnie tam kupowanych. Skorzystają producenci mający fabryki w Chinach, importerzy, a także handel detaliczny. Sektor turystyczny na całym świecie wypatruje chińskich turystów jak kania dżdżu. Nawet w Stanach Zjednoczonych, pomimo utrzymującego się napięcia we wzajemnych stosunkach, branżowi eksperci oczekują 1 mln gości z Chin w bieżącym roku.

Co może studiować entuzjazm

Skoro budzące się z letargu Chiny będą zużywać więcej surowców, a podaż jest ograniczona, to spowoduje to wzrost inflacji, co zmusi banki centralne do dalszego podnoszenia stóp procentowych – a to tłumi wzrost gospodarczy.

Bank of America spodziewa się, że baryłka ropy Brent w trzecim kwartale br. będzie kosztować 110 dol. (dziś – 87 dol.). Silne ożywienie w Chinach będzie oznaczać większą konkurencję w imporcie skroplonego gazu ziemnego. W grudniu Międzynarodowa Agencja Energetyczna ostrzegała przed scenariuszem, w którym w momencie nadejścia kolejnej zimy Rosja całkowicie odetnie gazociąg do Europy. Mogłoby to skutkować niedoborami sięgającymi nawet 7 proc. rocznej konsumpcji kontynentu, co wymusiłoby reglamentację.

Nadzieja na wzrost konsumpcji wewnętrznej w Chinach też może się nie ziścić. Bezrobocie wśród młodzieży sięga rekordowego poziomu 20 proc. Sektor nieruchomości, który stanowi olbrzymią część chińskiej gospodarki, tonie w długach, a spodziewany dalszy spadek cen domów może wywołać szersze problemy.

W Chinach szaleje koronawirus. Dziesiątki milionów ludzi łapie go każdego dnia, szpitale są przeciążone. Według modeli w tym roku na COVID-19 może umrzeć nawet 1,5 mln Chińczyków. Nie jest pewne, czy lockdowny zaraz nie powrócą.

„Ale w końcu aktywność gospodarcza gwałtownie się odbije wraz z chińskim popytem na usługi i towary” – wieści tygodnik „The Economist”. „Ponowne otwarcie Chin będzie największym wydarzeniem gospodarczym 2023 roku”.

Dwa pierwsze otwarcia

Spójrzmy, jak przez stulecia zmieniła się chińska potęga. Przed epoką industrializacji PKB Chin stanowiło nawet jedną trzecią światowego (Indii – drugie tyle). Dopiero w XIX w. nastąpił gwałtowny spadek – azjatyckie państwa przespały rewolucję przemysłową i stały się jedynie rezerwuarem taniej siły roboczej i surowców.

Wtedy nastąpiło pierwsze otwarcie Chin wymuszone przez mocarstwa zachodnie oraz Rosję i Japonię. Słabnące cesarstwo zostało zarzucone opium, zmuszone do przyjęcia niekorzystnych traktatów handlowych i oddania suwerenności nad fragmentami terytorium. Ale jednocześnie Chiny dostały nowe technologie (kolej, telegraf), nowe modele administracji i instytucji finansowych. Półkolonizacja uruchomiła procesy, które spowodowały upadek zafanowanego cesarstwa i modernizację kraju.



„Ponowne otwarcie Chin będzie największym wydarzeniem gospodarczym 2023 roku” – wieści tygodnik „The Economist”

Powstanie Chińskiej Republiki Ludowej w 1949 r. zakończyło „stulecie upokorzenia” – taka była propagandowa narracja – ale dopiero upadek maoizmu, wprowadzenie gospodarki rynkowej „o chińskich cechach” i drugie, tym razem dobrowolne otwarcie Chin na kapitalistyczny świat poważnie zmieniły globalny układ sił. Partia pod wodzą Deng Xiaopinga zdecydowała o włączeniu kraju w obieg światowej gospodarki, co setkom milionów Chińczyków pozwoliło wyjść z biedy, a Państwu Środka zostać mocarstwem numer dwa.

Obecne otwarcie nie może się równać z dwoma przywołanymi wyżej. Nie powoduje ani nie jest skutkiem zmiany reżimu. Chiny mają pozostać takie same jak przed covidowym zamknięciem. Ale czy na pewno?

Do czego dąży Xi?

Chiny się otwierają, bo tak chce Xi i w takim zakresie, jak będzie chciał Xi. A czego chce Xi, można tylko zgadywać. Ostatnio polityka Przewodniczącego – głównie w odpowiedzi na narastającą rywalizację z USA – skręcała w stronę izolacjonizmu, samowystarczalności i zwiększania kontroli państwa. Pandemia okazała się tu pomocna. Partia już nie ma ochoty wysyłać rzesz chińskich

studentów za ocean, zniechęca do nauki angielskiego, ogranicza zagraniczną ekspansję gigantów technologicznych, a dyplomację prowadzi z pozycji siły.

Polityka historyczna Xi Jinpinga podkreśla grzechy innych mocarstw wobec Chin, a ostatnio posunęła się do chwaleń izolacjonistycznej polityki dynastii Qing, powszechnie obwinianej za upadek kraju. Zeszłego lata badacze z Chińskiej Akademii Historii sporządzili artykuł przekonujący, że przedstawianie polityki zamkniętych drzwi jako zacofanej i barbarzyńskiej jest „zachodniocentryczną narracją historyczną”. Kierownik tego zespołu, Gao Xiang, został właśnie mianowany prezesem i sekretarzem partii Chińskiej Akademii Nauk Społecznych, czołowej instytucji, która formułuje ideologię i doradza przywódcom.

Z drugiej jednak strony są poszlaki, że zmiana polityki Xi Jinpinga jest poważniejsza niż rezygnacja z lockdownów. Że już nie będzie dalszego zacieśniania scentralizowanej kontroli nad gospodarką i tłumienia inicjatyw sektora prywatnego. Że priorytetem znowu ma być wzrost.

Mniej wilczych wojowników, więcej technokratów

Na Ogólnochińskim Kongresie Ludowym w marcu stanowisko premiera odpowiedzialnego za gospodarkę obejmie Li Qiang, który dał się poznać jako zwolennik kooperacji i przedsiębiorczości. M.in. pomógł Elonowi Muskowi zbudować w rekordowym czasie fabrykę Tesli w Szanghaju, gdzie Li jest szefem partii. Sprzeciwił się też drastycznej blokadzie metropolii w kwietniu 2022 r.

Promocja sprawnego technokraty to ważny sygnał. Niejedyń. W grudniu chińscy przywódcy zorganizowali konferencję w Pekinie, gdzie zapewniali, że skupią się na wzroście gospodarczym. Aby go napędzić, bank centralny dosypuje gospodarce pieniędzy. Guo Shuqing, szef partii w Ludowym Banku Chin, powiedział 7 stycznia, że rozprawa platformami technologicznymi „w zasadzie się skończyła”.

Ostatnio nie słychać też o harcach „wilczych wojowników”, jak zwie się jastrzębich dyplomatów zaangażowanych swoimi wypowiedziami relacje z innymi państwami, które się Pekinowi czymś naraziły. Najbardziej znany Zhao Lijian przestał być rzecznikiem MSZ, przeniesiono go na niższe stanowisko.

Dokąd zatem zmierzają Chiny? To wie tylko Xi. Skoro zdrowie światowych gospodarek jest uzależnione od tego, jaki kurs przyjmą Chiny, to, parafrazując Churchill'a, można by powiedzieć, że jeszcze nigdy w historii tak wiele nie zależało od tak licznych. Ale w rzeczywistości wszystko jest nadal w rękach jednego człowieka. ●



FOT. MACIEK JĄZWIĘCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

60. urodziny Wojciecha Malajka

DZIŚ BYM HUKNAŁ PIĘŚCIĄ W STÓŁ

Wszyscy w moim wieku myślą, że nadal mają osiemnaście lat

Z WOJCIECHEM MALAJKATEM*
Z OKAZJI JEGO 60. URODZIN ROZMAWIA
AGNIESZKA KUBLIK

Poproszę o pierwsze pytanie.
– Słucham?

Taki prezent na 60. urodziny – pytanie, jakie pan chciałby usłyszeć, a nigdy nie padło.
– Pytano mnie już chyba o wszystko, ale gdybym ja sam ze sobą usiadł...

To na własne pytanie musiałby pan odpowiedzieć.
– Dlatego włączyła się natychmiast autocenzura. Wybrnę tak: zaskoczyła mnie pani, niech pani pyta pierwsza, a ja będę myślał.

A chciałam być taka miła na początek. Ale upewniłam się, że pan nie stetryczał.
– Kto tak powiedział?

Próbuję inaczej zagaić.
– A, to uł. Nie stetryczałem, ale mam świadomość, że to ocena subiektywna. Bo mogę uważać się za bystrego w kwiecie wieku,

gdy wszyscy wkoło mówią: rany, co za stary tetryk.

Nie spaździerniczał pan?
– Też chyba nie. A to kto powiedział?

Andrzej Poniedziałki.
– On na pewno nie spaździerniczał. A co do mnie, to trochę się boję, że myślę o sobie tak jak każdy 60-latek. Wszyscy w tym wieku myślą, że nadal mają 18 lat.

Jak pan skończył 50 lat, to powiedział: „Jestem już w tym wieku, że nic nie muszę, na szczęście”.
– Tak wtedy myślałem, a potem nagle zostałem rektorem Akademii Teatralnej.

Czyli to kokieteria była.
– Nie dlatego zostałem, że musiałem, tylko mnie to zajaralo. I od siedmiu lat nic się nie zmieniło. Myślę, że będzie mnie jarało już do końca drugiej kadencji.
Chętnie powtórzę: jestem w wieku, kiedy już nic nie muszę. Inna rzecz, że u mnie zawsze raczej wszystko było z chcenia, nie z muszenia.

Ogromny luksus.
– W którym jest dużo przypadku. Zacząłem reżyserować, bo ktoś mnie poprosił. Zacząłem być dyrektorem teatru, bo ktoś mnie zaprosił. Do szkoły też mnie zaprosili moi współpracownicy, koledzy. Ciekawe, do czego ktoś mnie jeszcze zaprosi.

Magda Jethon zaprosiła pana do Radia Nowy Świat.
– I to jest cudowne.

Przestał pan dyktować Teatrowi Syrena, bo chciał pan mieć więcej czasu dla siebie, dla rodziny, dla przyjaciół... No to teraz pan rekturuje, co pochłania więcej czasu niż dyktowanie.
– Jak byłem dyrektorem, to siedziałem w gabinecie właściwie non stop. Jak jestem rektorem, też siedzę. Nie umiem inaczej.

A chciałby pan umieć?
– Nie. Nie narzekam. Cieszę się, że mnie tak rodzice skonstruowali. I że moja rodzina też się tak skonstruowała, że umiemy być razem, chociaż mnie nie ma częściej, niż jestem.

Czyli akceptuje pana takiego, jaki pan jest?
– Tak.

To ogromne szczęście.
– Ale jest druga strona medalu: co się wydarzy, jak w końcu przestanę być zapraszany? Wszystko stanie na głowie. Nagle zacznę być w domu, w którym mnie tak długo nie było. Wszyscy będą się głowili, co my mamy z tym zrobić. Włącznie ze mną.

Pracoholik.
– Teoretyzuję, bo pewnie się to zamieni w jakąś aktywność reżysersko-aktorską. Od-

zywają się teatry, które chcą, żebym albo w nich grał, albo reżyserował.

Poprzednim razem rozmawialiśmy w pana gabinecie w Teatrze Syrena. Moją uwagę przykuł Jerzy Grzegorzewski. Aż kilkanaście zdjęć.
– A tu dwa.

Grzegorzewski to mistrz, którego nikt nadal nie zastąpił?
– Nadal.

A zaczęło się tak banalnie. Jak pana po raz pierwszy zobaczył, 22-latek, powiedział, że „jakiś dziwny, nijaki i żeby raczej dał sobie spokój z tymi wizytami u niego”.
A pan marzył o angażu w Teatrze Studio, wówczas jednym z największych w Warszawie.

– Powiedział to Ewie Mirowskiej, mojej profesorze ze szkoły teatralnej. Na szczęście była bardzo zaskoczona i oponowała. Ale ja nie byłem jakoś specjalnie dotknięty. Widocznie byłem nijaki i do niczego.

Potem się okazało, że nie dość, że rozumiemy się jako artyści, to jeszcze jako przyjaciele.

Pomylił się?
– Nie, wtedy tak mnie zobaczył, a potem zobaczył inaczej. Może ja się też trochę zacząłem starać? Na to pierwsze spotkanie w sprawie roli wszedłem spóźniony, byłem tak zdenerwowany, że się zgubiłem w mie-

ście. Grzegorzewski nie miał manii wielkości ani ego, a był dosyć zirytowany, czyli musiałem nieźle się spóźnić.

Jak Grzegorzewski uczył?

– Przede wszystkim uczył człowieczeństwa w tym zawodzie. Nie zamieniał siebie w maszynę, był złożony z wątpliwości i z niepewności. I nas nie zmieniał. Szukał w aktorze wrażliwości, takiej najbardziej intymnej.

Emocje wywlekał?

– On sam taki był, wrażliwy, nic nie musiał wywlekać.

W życiu jest tak, że się na kogoś trafia i natychmiast ma się fantastyczną wymianę wszystkiego, włącznie z wrażliwością, temperamentem, albo nie trafia. Myśmy trafili.

Aktorzy często opowiadają, że emocje muszą z siebie wybebeszyć. Jak się tego nauczyć?

– Nie wiem. Bo każdy inaczej o tym myśli. A poza tym – „wybebeszyć”? Boję tego słowa.

Że się z przemocą kojarzy? Z wybebeszającym i wybebeszanym? Z katem i ofiarą?

– Nie do tego zmierzam. Wywnętrzanie się, wypruwanie flaków czy składanie się w ofierze na ołtarzu sztuki to przesada. Można grać tak, żeby nie płacić żadnych kosztów, a widz przeżywał, jakbyśmy składali się w ofierze. Praca z Grzegorzewskim na tym polegała. Żadnego wybebeszania.

„Wydzierał to coś z trzewi, i to bolało”. To pan o Grzegorzewskim.

– Bolało jego. Widziałem, z jakim poświęceniem, z jakim trudem wymyślał rzeczy genialne. Genialne musi kosztować.

Często pomagały nam rzeczy, które przynosił. Znikał na pięć minut, szedł do rekwizytorni i wracał np. z filiżanką. Nagle wszystko wpadało na swoje miejsce i powstawał obraz, który rozumiałem.

Ale czy to jest zrozumiałe, co mówię?

Bardziej czuję, niż rozumiem. Adam Ferency opowiadał mi o innym aktorskim odczuciu. Dla niego aktor musi umieć się odmóżyć, próbować dojść do instynktu, który w człowieku siedzi, często ciemnego, żeby przekazać mógł w nim i odbiorcy eksplodować.

– No i wracamy do punktu wyjścia, bo „wybebeszyć”, „odmóżyć”, „eksplodować” może oczywiście znaczyć dla każdego coś innego, ale tak naprawdę chodzi o to samo. O znalezienie w sobie sposobu zgodnego ze swoim temperamentem, żeby uruchomić wyobraźnię.

Ferency opowiadał, że po próbach z Tadeuszem Łomnickim do „Hamleta we wsi Glucha Dolna” zwątpił w swój talent. Wyszedł na scenę i „zaryczał z trzewi”, ale Łomnickiemu się nie spodobały te trzewia wywalone. „Kto ci, chuju, dał dyplom?! Kto ci, chuju, dał dyplom?! – darł się z wysoka, siedział na krześle postawionym na stole. Cały zespół wkolo. Ostatnie, co pamiętam, to krzyk Kazia [Kutza] z widowni: »Odpierdol się, skurwysynie, od niego! Odpierdol się!«. Myślałem, że już nigdy nie będę aktorem, tak mnie zmasakrował”.

Malajkat łapie się za głowę.

Ferency wszedł w samochód i dojechał do Sochaczewa, nie pamięta jak. Wrócił do teatru i Kutzowi kazał szukać zastępstwa. Ale „po 40 minutach otworzyły się drzwi i stanął w nich Łom. Zaczął iść w naszym kierunku, ja zacząłem iść w jego kierunku. On się zatrzymał i ja się zatrzymałem. On runął na kolana i ja runąłem na kolana. On nachylił się do mnie: »Przepraszam cię, chuju«. Wstał i wyszedł”.

Malajkat z niedowierzaniem kręci głową.

„Siedem lat minęło, grałem we Współczesnym. Łom przyszedł po spektaklu, zaczął się wolno zbliżać, a ja do niego. Runął na kolana i ja runąłem na kolana.

Powiedział: »Jesteś aktorem«. Wstał i wyszedł. Takie były jego zagrywki. Niezły był w tym”.

– Mam nadzieję, że już nigdy coś takiego się nie przydarzy żadnemu aktorowi. Bo samo zachowanie jest poniżej wszelkiej krytyki, bo metoda... Reżyser siedzi i czeka, aż aktor „zrobi dobrze”, aktor myśli, że daje z siebie wszystko, ale może pęknąć, a nie trafić, bo nie ma umowy, co to znaczy „dobrze”. Nie wiadomo, na co tamten czeka, nie wiadomo było, co ten ma dać. Jeden myśli, że daje, a drugi się wścieka, bo jego zdaniem nie. Absolutna klęska pedagogiczna i reżyserska.

Tak wtedy wyglądały relacje mistrz – uczeń, dzisiaj absolutnie nie do przyjęcia.

– Nie do przyjęcia i ja się bardzo z tego cieszę. Ale już w tamtych czasach wiedzieliśmy, na czym polega przekroczenie granic. Tylko w takich przypadkach jak ten w grę jeszcze wchodziła magia, nimb jakiegoś nazwiska. Mistrz, osobowość, te sprawy. Każdy wierzył w nadprzyrodzoną moc kogoś takiego jak Łomnicki, w jego boskość.

Bóstwo, tak?

– I to jest straszne. Daje pole do nieludzkiej przemocy, bo to jest nieludzkie powiedzieć komuś „jesteś chujem”, potem „przepraszam cię, chuju”, a po siedmiu latach „jesteś aktorem”. Co, on stworzył tego aktora?

Pewnie tak właśnie czuł.

– Co ten Adaś musiał myśleć przez te siedem lat?

Ale nie tylko Łomnicki się tak zachowywał. I nie tylko w Polsce tak było.

– Nie, ale to straszne, straszne, panie rektorze.

Malajkat zerka na portret Łomnickiego, który wisi za jego rektorskim biurkiem.

Pan na mnie patrzy jakoś tak ponuro...

Pan spotkał takiego reżysera?

– Kazio Kutz... Muszę zastrzec, nie chodzi o wyautowanie, jak się teraz mówi, jego czy kogoś innego, przywołuję go, żeby pokazać mechanizmy. Więc Kazio też miał takie skłonności, ale mi było łatwiej niż ludziom duszającym wszystko w sobie, bo we mnie zawsze była niezgoda, którą okazałem. Więc spotkałismsy się na piwie, on powiedział, co myśli o tym, co ja robię, ja powiedziałem, co ja myślę o takich metodach. I dodałem, że nie mówię, że ja umiem wszystko zagrać i że gram świetnie, ale z takimi metodami nikt sobie nie radzi.

Teraz bym po prostu huknął pięścią w stół – co też pewnie byłoby przemocowe – i powiedziałbym, że sobie nie życzę, albo umiemy pracować, albo nie umiemy. Byłbym bardziej asertywny. Ale jednak wyjaśnilismsy coś sobie. On rozumiał, że nie do trze do mnie pokrzykiwaniami, które są przerywane kurwami, więcej tego nie robił – i nie było między nami żadnej kolizji, żadnej urazy.

Nie potraktował go pan jak boga. A Łomnickiego tak traktowano.

– To błąd. Przecież sami sobie tych bogów tworzymy.

Dopiero niedawno zaczęło się mówić, że aktorstwa nie trzeba uczyć przemocą. I że emocjonalny, intymny, stresujący charakter zawodu niczego nie usprawiedliwia.

– Tak czynili ci, którzy tego sami doświadczyli i nie wyobrażają sobie, że można inaczej. Bo wie pani, nadal są ludzie, którzy mówią, że to było im potrzebne. To syndrom sztokholmski i bardzo im współczuję.

Są tu, w Akademii? Wykładowcy?

– Wykładowcy i aktorzy, którzy mieli kontakt z tymi bogami. Że to ich stworzyło i dla tego są aktorami. Nie wiedzą, że mogli być takimi albo może nawet lepszymi aktorami, gdyby te relacje wyglądały inaczej. Umożliwia tworząc cudowną przestrzeń – dla każdego, kogo uczymy, nieważne, czy chcemy,

żeby został dobrym prawnikiem, hydraulikiem aktorem czy pianistą. Kiedy wiemy, czego oczekujemy od siebie nawzajem i na jakich zasadach, dajemy i dostajemy dużo więcej, niż klęcząc na kolanach i wyzywając się od najgorszych.

Na uczelni dziś już tak nikt nie uczy?

– Mam sygnały, że nawet jeśli ktoś ma takie zapędy albo takiego modelu się nauczył, to hamuje się, bo po prostu nie ma na to zgody. Ale uwaga, nam nie chodzi o to, żeby kogoś, kto nie umie uczyć inaczej, stąd wyrzucić i publicznie napiętnować. Dajemy szansę. Niech on się nauczy działać inaczej.

Uczą się?

– No pewnie.

A co, jeśli nie chodzi o ewoluujące normy, tylko o rzeczy wbudowane w daną jednostkę – charakter, osobowość, temperament?

– Nawet jeśli, to można je okiełznać. Czy w innych relacjach społecznych niż teatr, sztuka i relacja mistrz – uczeń dajemy zgodę na folgowanie temperamentowi? Na bicie pejczem zamiast rozmowy?

Gdyby teraz na uczelni wydarzyło się coś takiego jak z Łomem, to ten ktoś by stracił pracę z dnia na dzień.

Skoro jesteście w okolicach przemocy – młodsze pokolenie aktorskie jest sceptyczne wobec nagości, uważa, że jest nadużywana, zwłaszcza ta kobieca, z nie zawsze czystą intencją. Nagość to nie forma przemocy?

– Nie, w sztuce potrafi być czymś niezwykle przejmującym. To kwestia umowy. Z gością trzeba się obchodzić czule, ufając sobie, wtedy można wiele osiągnąć. Nie trzeba z nikogo zdzierać ubrania na siłę.

A Romana Polańskiego pan by do Akademii zaprosił?

– Nie. Jednak ta nierozwiązana przed amerykańskim sądem sprawa z 1977 roku, gwałtu na 13-latce, wciąż na nim ciąży.

Mimo talentu...

– Talent nie broni w moich oczach ani Łoma, ani Kutza, ani Polańskiego.

Ofiara mu wybaczyła. No i czasy się zmieniły.

– Nie, nie na tym to polega, że ofiara ma wybaczyć. To nie wystarczy.

A cóż to znaczy, że czasy się zmieniły? W pewnych sprawach czasy się nie zmieniły, jak ktoś krzywdzi. Czas nie ma tu nic do rzeczy.

Polański się zmienił.

– Tylko tego brakuje, żeby się nie zmienił.

Nie zapłacił za to?

– Nie wiem, od tego jest sąd, żeby położyć na szali winę i karę, zważyć je i wydać wyrok. Być może tak, to trudna sytuacja, ale nie wystarczy, że ponieważ to trudne, to wybaczamy. Ja nie jestem od oceny i od wybaczenia. Chciałbym, żeby zrobił to ktoś, kto jest do tego powołany.

Pamięta pan taki cytat: „Aktor jest do grania, a dupa jest do srania”?

– Pamiętam, to jest z tego samego rozdania co Łom.

Kazimierz Dejmek.

– No tak, fajny bon mot, ale ten sam przemocowy, ordynarny język. Jak można w ogóle kogokolwiek porównać z dupą?

I do tego Dejmek się pomylił. Od ludzi sztuki oczekujemy, jak od każdej osoby publicznej, zaangażowania, jakiegoś opowiedzenia się. Dlatego dziś aktorzy czytają konstytucję. Co, o zgrozo, okazuje się aktem odwagi.

– Cieszę się, że aktorzy umieją się zdeklarować. Mniejsza, czy po dobrej, czy złej stronie mocy – ważne, że to robią. Korzystają z obywatelskiego prawa do zajęcia stanowiska.

Ostrożny pan.

– Bo jestem rektorem Akademii Teatralnej. Jestem funkcjonariuszem. Odpowiadam za tych, którzy tu się uczą, pracują.

I co to pomogło? Minister kultury poskąpił kasy, studenci musieli zbierać na koncercie, który zorganizowali tu, w Akademii. Zresztą z Radiem Nowy Świat, niekoniecznie miłym władzy. Zebraliście 130 tys. zł.

– Wszystko pójdzie na rzecz studentów. Już sporo wydaliśmy – na buty do ról, do tańca, do ćwiczeń, 20 par za 7 tys. A część pieniędzy przeznaczyłem na fundusze stypendialne.

Ten koncert to taki bunt przeciwko władzy.

– Nie, to był krzyk, który chciał zwrócić na siebie uwagę. I zwrócił. I dobrze.

To co z tym pytaniem na urodziny?

– Nie mam. Wszystko już przegadałem ze sobą. Mam nadzieję.

To o czym pan marzy?

– O niczym.

Nie...

– Tak. Marzenia o czymś, czego się nie ma i nie może mieć, są paraliżujące. Obciążają, są zakładaniem sobie kajdan...

A nie podnoszeniem poprzeczki?

– Cały czas podnoszę poprzeczkę, właściwie codziennie.

Ja mówię o czymś, co sprawia, że krew krąży żywiej i człowiek sobie mówi: wcale nie przeżyłem jeszcze wszystkiego. Lot w kosmos, zjazd z Kasprowego, skok ze spadochronem...

– Nie marzę o takich rzeczach, bo wiem, że się tego nie nauczę. I nie muszę nawet próbować, naprawdę. Zjeżdżam z takich gór, z jakich lubię. I jestem realistą. Wiem, że nie polecę w kosmos, bo nie mam tyle pieniędzy, a nikt mnie za darmo nie zabierze. Po cholerę mi takie marzenia? Będę się budził zlany potem, a umierając, będę żałował, że nie poleciałem. Nie marzę o czymś, co jest niemożliwe.

A skąd pan wie, że niemożliwe?

– Znam swoje możliwości. W marzeniach cudowne jest zaskoczenie. To, że nie wiemy, że je mamy, a one się nagle stają. Nie pomyślałem nigdy, że mógłbym być dyrektorem czy rektorem. Kiedy to się stało, potrafiłem się tym zachwycić. A dziś jestem zachwycony, bo zadzwonili przyjaciele z życzeniami. A nie marzyłem o tym.

Ale o „Hamleta” to pan się modlił.

– Też nie, słowo daję. Nie mógł ani Bogusław Linda, ani śp. Krzysztof Kolberger, więc ja stałem się Hamletem. Traf.

Życie byłoby dużo prostsze, gdyby ludzie zachwycali się tym, co im daje, a nie po trupach dążyli do czegoś, co być może się nie zdarzy. Bo wtedy zostaną trupy.

Filozofia Malajkata?

– Tak.

Sprawdza się?

– Na razie nie zostawiam za sobą trupów, a często bywam zachwycony.

Może to jest definicja szczęśliwego życia?

– Nie mnie rozsądzać. Ale być może. ●

*Wojciech Malajkat

● ur. w 1963 r., aktor, reżyser, wykładowca, rektor Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie. Był dyrektorem artystycznym i dyrektorem Teatru Syrena. Grał m.in. w „Mów mi Rockefeller”, „Czterdziestolatku. 20 lat później”, „Szabli od komendanta”, „Ogniem i mieczem”, „Klasie na obcasach”, czterech częściach „Listów do M.”

UNIKACZE RÓŻNORODNOŚCI RZĄDZĄ

Atakujcie PiS, atakujcie hierarchów Kościoła, ale nie atakujcie wyborców PiS, nie atakujcie wiernych

FRAGMENT SPOTKANIA AUTORSKIEGO
Z PROF. **MARCINEM MATCZAKIEM**
POD PATRONATEM WYDAWNICTWA ZNAK
I „WYBORCZEJ”. ROZMAWIA **KATARZYNA
KOLENDA-ZALESKA**

Zbiór pana felietonów to jest taka trochę kronika upadku państwa. Pierwszy, z 2016 r., jest o Trybunale Konstytucyjnym.

– Wspominam moment, kiedy wyszedłem z zajęć na Powiślu i zadzwonił do mnie ktoś, że w Sejmie odwołuje się już powołanych sędziów Trybunału Konstytucyjnego.

„Ta informacja wydała się tak absurdalna, że jedyną moją reakcją był nerwowy śmiech”.

– Tak. Dla prawnika, który myśli regułami, instytucjami, pewne rzeczy wydają się oczywiste i niezmiennie. I tak wydawało się przez trzydzieści lat. A nagle przyszli jacyś ludzie, którzy powiedzieli, że można wszystko zniszczyć. Ja na to patrzę trochę też jako na dowód swojej naiwności. Mnie się wydawało na początku, że tu chodzi o konstytucję, o prawo. Teraz mi się wydaje, że tu chodzi o ludzką frustrację i nienawiść, która gdzieś się rodziła bardzo długo, od roku 89. I mniej więcej chyba w połowie tego kryzysu, mniej więcej koło roku 2018, 2019, zrozumiałem, że to, co się psuje w TK, w Sądzie Najwyższym, to jest tylko symptom choroby głębszej. Choroby, która dotyczy ludzkich serc.

Bo jeżeli dzieje się tak źle i myślimy, że PiS powinien mieć 5 proc. poparcia, a ma nadal 32, to czegoś nie rozumiemy. I dlatego trzeba zejść trochę głębiej, a nie tylko mówić o tym, że trzeba szanować konstytucję. Bo mówimy o tym od siedmiu lat i nadal jest grupa ludzi przekonanych, że punktem honoru czy punktem ich natury, tożsamości jest popieranie władzy, która w ich rozumieniu jest patriotyczna, chociaż nie jest, w ich rozumieniu jest chrześcijańska, chociaż nie jest, dlatego że pozwala ludziom umierać za granicą. Coś tutaj się trudniejszego dzieje.

Cel PiS jest jasny, utrzymać władzę, przejąć wszystkie instytucje.

– Ja się spodziewałem, że będzie o wiele gorzej. Że takich sytuacji, w których wykorzystuje się Trybunał, jak to było w przypadku decyzji aborcyjnej, żeby wejść z butami ludziom w życie, będzie pięćdziesiąt, sto albo dwieście. Jeżeli ma się większość w parlamencie i kontroluje się TK, który jest jedynym organem, który może powiedzieć parlamentowi „nie”, to parlament może zrobić wszystko. Ale nie stało się to dzięki wysiłkowi ludzi, którzy wyszli na ulice i nie dali się oszukać. To jest dla mnie może jedyne źródło optymizmu wynikające z tego wszyst-

kiego – zobaczcie, ta władza ma telewizję, którą finansuje już teraz za prawie 3 mld zł rocznie, mimo to, kiedy robi się jakiegokolwiek badania opinii publicznej, kto ma rację w kwestii łamania konstytucji, ludzie mówią jasno, że nie ma racji po stronie rządu. To jest wielkie zwycięstwo. To oznacza, że ogromna liczba ludzi wykonała ogromny wysiłek, żeby nie dać się okłamać. I to, że PiS przy takiej propagandzie i takim działaniu ma nie 45, tylko 32 i mu spada, to jest jakiś powód do dumy tego społeczeństwa obywatelskiego, które powiedziało „nie”. Nie uważam, że im się całkiem udało. Mogło im się udać bardziej.

Dla mnie najgłębszą diagnozą tego, co się w Polsce stało przez ostatnie trzydzieści lat, jest diagnoza, którą przedstawiła Karen Stenner, politolożka analizująca populizm, m.in. nowy autorytaryzm, czyli sytuacje, które mają miejsce w Brazylii Bolsonaro, Trump itd. Stenner mówi tak: w każdym społeczeństwie jest około 30 proc. tzw. unikaczy różnorodności. To są całkiem porządni ludzie, którzy nie lubią nowości, którym się podobają melodie, które już raz słyszeli, którzy lubią rytuał, rutynę także, którzy nie chcą być wielkimi przedsiębiorcami jak Elon Musk, ale chcą mieć normalną pracę, do której mogą codziennie przychodzić. I to są ludzie, którym jest źle w demokracji. Bo demokracja jest chaosem. Ciągłą krytyką. Jacyś dziennikarze zadają trudne pytania i jest kłótnia. Wystarczy popatrzeć na programy w TVN, w TVP nie ma kłótni, tam wszyscy są jednomyślni. Co cztery lata są wybory, politycy się kłócą. Nie wiem, czy macie znajomych, którzy nie lubią konflik-

tu – dziecko mieli jedną, to nie będzie kłótni. Po co wam niezależne media. Będzie jednolitość idei, będzie jednolitość sztuki, disco polo tylko, nie będzie rażącego uszy jazzu, bo to jakieś wymysłówki. Dodatkowo jeszcze będzie jednolitość seksualna, bo kto to, panie, widział, żeby facet z facetem. Jeżeli poziom chaosu i agresji w demokracji jest zbyt wysoki, to ci unikacze różnorodności bardziej się ujawniają. To jest twardy elektorat PiS. Przychodzi populistyczny przywódca taki jak Trump albo Kaczyński i mówi: słuchajcie, tam po drugiej stronie są potwory, to są ludzie, którzy chcą zniszczyć wasz porządek normatywny, oni nie szanują Kościoła, nie szanują JPPII, trzeba z tym zrobić porządek. Ci ludzie będą wam chcieli wejść do kościoła, przerwać mszę, zniszczą tradycję, zniszczą rodzinę itd.

Z tego wynika jeden wniosek: atakujcie PiS, atakujcie hierarchów Kościoła, ale nie atakujcie wyborców PiS, nie atakujcie wiernych. Jeżeli to robicie, to zaczynacie grać w grę Kaczyńskiego, żeby on mógł tym swoim ludziom powiedzieć: jestem waszym jedynym obrońcą przed chaosem. Jeżeli tego nie rozumiemy, to ta maszynka będzie się cały czas nakręcała. To jest trudne, to jest przeciwności, ale trzeba o tym rozmawiać.

Co jest największym grzechem tych ośmiu lat?

– Zniszczenie praworządności. Rządy prawa to sytuacja, w której rządzą reguły przez nas wspólnie ustanowione, a nie ludzie, którzy są zmienni i mogą być arbitralni. Profesor Kruger, chyba najlepszy na świecie



Zbigniew Ziobro do ciebie powie: nie podobasz mi się, to nic cię nie ochroni. Zniszczenie praworządności to zniszczenie bariery, która ludziom mającym akurat władzę pozwala zrobić z nami to, co im się żywnie podoba. My przez trzydzieści lat po PRL, który też był oparty na takiej arbitralności – wystarczył telefon i sędzia rozstrzygał tak, jak polityk chciał – budowali tę barierę. Mielśmy TK, samo istnienie takiej możliwości, że on uchyli, świetnie wpływa dyscyplinując na polityków, pewnych rzeczy nawet się nie proponuje, bo wiadomo, że one nie przejdą.

Dlatego PiS zaczął od TK.

– To, co zmienił Jarosław Kaczyński, to jest przekonanie, że rządzi człowiek. I dlatego nie ma sensu myśleć o prawie, tylko trzeba się jemu podlizywać, trzeba robić to, co jemu się podoba. Jeżeli on akurat głosi idee patriotyzmu, to trzeba budować lawęcki patriotyzm. Jeżeli w telewizji jest szef, który popiera PiS, to trzeba zapraszać takich gości, którzy się podobają. To jest upadek państwa. Dlatego że szef państwa jest wtedy otoczony przez klakierów. Jak popełnia błędy, to nie wie, że popełnia błędy. Jeżeli dziennikarze, którzy są zależni od niego, mówią, że wszystko, co ten rząd robi, jest świetne, to nie ma szans się dowiedzieć prawdy.

Chciałabym jeszcze porozmawiać o zaufaniu do państwa i do instytucji państwa. Jak popatrzymy na to, co się teraz dzieje z policją, to to zaufanie zostało całkowicie zdruzgotane.

– To jest bardzo dobry przykład, tylko nie chciałbym się na nim zatrzymać.

Z policją było tak, że w roku '89 miała zaufanie zerowe i bardzo długo pracowała na to, żeby ono zostało zwiększone. Teraz ze względu na działania dotyczące m.in. protestów, na te dziwne sytuacje, o których słyszmy, traci to zaufanie. Ale są i inne instytucje i tam jest rozmowa trochę trudniejsza. Wiecie, co ja zrobię, jak PiS przegra wybory i będziemy mieli znowu wolne sądownictwo? Napiszę akt oskarżenia pod adresem polskich sędziów. Powiem im, że swoim zachowaniem często ułatwiali ten atak, który PiS zrobił. Jeżeli byliście kiedyś w sądzie, stanęliście przed polskim sędzią, to wiecie, że nie zawsze są to ludzie idealni, osobowościowo, charakterologicznie.

Chcę pokazać, że ludzka frustracja czy złe emocje nie biorą się znikąd. Podobnie

Wiecie, co ja zrobię, jak PiS przegra wybory i będziemy mieli znowu wolne sądownictwo? Napiszę akt oskarżenia pod adresem polskich sędziów

tów, którzy nie lubią kłótni, którzy chcą, żeby było spokojniutko, żeby się nic nie działo? To są ci ludzie. Jak pojawiają się populisci, to oni dokładnie tych ludzi rozpoznają, bo często sami tacy są. I obniżają ich lek przed różnorodnością, wprowadzając jednolitość. I mówią: po co wam 17 partii, be-

znawca praworządności, mówi, że w praworządności chodzi o jedną rzecz: o ochronę przed arbitralnością władzy, przed wdzimisię władzy. Czyli przed sytuacją, którą znacie, jeżeli oglądaliście serial „Ślepnąc od świateł” – tam jest Dario, który mówi: nie podobasz mi się i masz przerąbane. Jeżeli

FOT. ARTUR BARBAROWSKI/EAST NEWS



jest niestety z lekarzami. Wielokrotnie lekarzy broniłem, ale jeżeli przychodzicie do lekarza i lekarz mówi: wejdzie, położy się, rozbierze się, jest w ciąży – to nie jest to dobra komunikacja. Jest niestety pewna wina w polskiej elicie prawniczej i lekarskiej, zwróćcie uwagę, że to są dwie grupy, które mocno zostały przez PiS zaatakowane, bo PiS dokładnie wie, gdzie nacisnąć, żeby w ludziach wyzwoić nienawiść. Budowanie zaufania do instytucji polega na tym, że sędzia, który wie, że jedziecie na sprawę 400 km, prosi asystenta, żeby zadzwonił do was i powiedział, że rozprawa jest odwołana, żebyście nie jechali. Takie sytuacje są rzadkie, a one budują zaufanie. Lekarz, który próbuje mimo wszystko, mimo ogromnego obciążenia służby zdrowia być cały czas człowiekiem, rozumie, że przychodzicie nieraz przerażeni, próbuje mimo wszystko z wami rozmawiać, on buduje zaufanie. Wiem, że sędziowie mają tyle spraw, lekarze mają właściwie pół minuty na pacjenta, są problemy systemowe. Ale to jest ważne. Zaufanie do instytucji zaczyna się od zaufania do człowieka i jeżeli sędziowie, lekarze, nauczyciele akademicy nie będą mieli takiego poczucia, to po prostu zaufania się nie zbuduje.

Co dalej po PiS? W 2017 r. pan zwracał uwagę, że „styl, w jakim nasze państwo ukarze winnych kryzysu, będzie miał wpływ na to, czy i jak szybko uda się przywrócić porządek po nim”.

– W 2019 r. zrobiliśmy w Fundacji Batorego konferencję, na którą zaprosiliśmy Samuela Issacharoffa, wybitnego znawcę od tzw. kruchych demokracji. On mówi, że demokracja upada, kiedy nie da się bezpiecznie przegrać wyborów. Demokracja upada, kiedy przeciwników politycznych wsadza się do więzienia, takim przykładem jest np. Erdogan, który był uwięziony przez swoich przeciwników i jak wyszedł, to nie brał jeńców. Ludzie mówią: panie, ale jak, przecież jest straszne to, co oni robią, to trzeba wypalić żelazem, zniszczyć. Nasza rola jako prawników polega na tym, żeby łagodzić te emocje. Niektórzy mówią: gdyby Zbigniewa Ziobrę postawić przed Trybunałem Stanu w 2007 r., to PiS by nie przyszedł do władzy, nie byłoby tak źle. Byłoby dokładnie tak samo, tylko zamiast Ziobry byłby Kowalski. Zrozumcie, że to nie chodzi o konkretną osobę, tu chodzi o siłę, która płynie z tych unikaczy różnorodności, którzy w demokracji dają mandat tym ludziom, którzy re-

alizują pewien program. I jeżeli władza, która wygra wybory, dajmy na to demokratyczna, zrobi dokładnie to samo, co zrobił PiS, czyli odwoła sędziów TK, ale nie trzech czy pięciu, tylko piętnastu, to jak za cztery lata wygra ktoś inny, może po recesji w Europie, czyli dodatkowych źródłach frustracji, to TK zamieni się w spółkę skarbu państwa. Będzie lupem politycznym. Każdy następny będzie wycinał wszystkich i będzie wstawiał swoich.

Issacharoff opowiadał o aferze Watergate – Gerald Ford, czyli demokratyczny prezydent, który wygrał wybory, ulaskawił Nixona. To było dokładnie tak, jakby u nas prezydentem został Trzaskowski i ulaskawił Ziobrę. Issacharoff mówi, że to była mądrość polegająca na tym, żeby nie zrobić z kogoś męczennika politycznego, żeby nie pokazywać, że prawo jest narzędziem zemsty. Ważniejsze jest, żeby pokazać zło, które miało miejsce, żeby pokazać, o czym rozmawiała Julia Przyłębska z politykami w swojej willi, na czym polegały kontakty między sędziami a politykami, i później pozostawić sądowi dyscyplinarnemu możliwość przeprowadzenia postępowania niż dać politykowi możliwości edyktem zniesienia TK. Jeżeli pójdziemy na skróty, jeżeli nie pokażemy szacunku dla ideałów, o które walczyliśmy przez siedem lat, a je podepczemy, powiemy: no dobrze, niby jest praworządność, niby sądy powinny decydować o odpowiedzialności dyscyplinarnej, ale tu zrobimy wyjątek, bo chodzi o Krystynę Pawłowicz, to ten wyjątek się na nas zemści.

Ja naprawdę uważam, że większość sędziów w TK to są ludzie, którzy nie nadają się do pełnienia tej funkcji, a niektórzy są obrazą tej funkcji. Ale nie bronimy ludzi, tylko instytucji. To nie chodzi o to, żeby ich nie rozliczyć. My jasno mówimy, że tzw. dublerów z TK trzeba wyrzucić uchwałą Sejmu. Dlatego że są wyroki sądowe, które stwierdzają, że oni nie są sędziami. Ale nie ma wyroku sądowego, który stwierdza, że Krystyna Pawłowicz nie jest sędzią. I to jest różnica. Jeżeli chcemy, żeby Krystyna Pawłowicz nie była sędzią TK, musimy to zrobić zgodnie z procedurą, a ta procedura to jest postępowanie dyscyplinarne. I to się może nie udać, żeby była jasność, ale w prawie nie chodzi o to, żeby sąd był sądem, a sprawiedliwość była po naszej stronie. Nie wiem, czy widzicie, co się dzieje w TK. Nagle monolit pisowski się dzieli, jest już sześciu przeciwnych pani Przyłębskiej,

w głosowaniu nad odebraniem immunitetu Krystyny Pawłowicz było 7 do 6, jednym głosem tylko wygrała, w sprawie posła Treli. Zwłaszcza jeżeli władza się zmieni, nagle ci ludzie zaczną się inaczej orientować. Mnie chodzi tylko o to, żeby to rozliczyć, ale zgodnie z prawem, a nie uchwałą Sejmu.

Rafał Zagórowski, inżynier: Panie profesorze, również te 70 proc. pozostałych ma swoje emocje. Przez osiem lat blisko spotykamy się z codziennym gwałceniem prawa i naszych wolności w każdym obszarze. Ja rozumiem, że radykalne rozwiązania, takie z rewolucji francuskiej, to nie to, ale w przypadku, kiedy ktoś jest chory, to stosujemy zastrzyk z adrenaliną w klatkę piersiową, walimy go w piersi, stosujemy, brutalnie dosyć, sztuczne oddychanie, żeby go odratować. Być może nie jest rozwiązaniem takie powolne leczenie tego chorego, tylko jakaś metoda radykalna. I czy nie wchodzi w rachubę właśnie powołanie takiego trybunału, który poprzez delegalizację pewnych systemów działania mógłby to załatwić dosyć radykalnie, a nie w rozwleczeniu na długi, długi czas i powolną metodę.

– Jest taka metoda. Trzeba wygrać wybory większością konstytucyjną. To nie chodzi tylko o liczby. To znaczy, że większość obywateli, i to bardzo istotna większość, podziela pana pogląd, że ten PiS to rzeczywiście zrobił rzeczy tak złe. Jeżeli nie wygrywa pan wyborów większością konstytucyjną, to oznacza niestety – i trzeba się z tym pogodzić – że nie wszyscy podzielają pana opinię. I to nie tylko dlatego, że są okłamani, tylko dlatego, że niektórym ludziom, którzy żyli poniżej poziomu godnościowego wcześniej, dzięki 500 plus na prowincji żyje się lepiej. Krótka mowa, prawo stara się być tutaj mądrzejsze od naszych emocji. Jeżeli pan chce zmienić TK, to musi pan przekonać większość, olbrzymią większość naszych obywateli, że to trzeba zrobić. Jeżeli pan tego nie zrobi, to znaczy, że oni nie podzielają tej opinii. A więc robi pan to przeciwko nim. Powiedzą: to jest oszustwo. My też tak chcemy zaraz. PiS oczywiście próbował tak zrobić, i te próby zmiany konstytucji mimo braku większości konstytucyjnej napotykały opór. To trochę tak, jakbyście chcieli we własnym domu przeprowadzić istotną zmianę, ale w ogóle z nikim byście nie rozmawiali, tylko pan jako ojciec albo dziadek by zdecydował, że tak ma być. I potem by pan się dziwił, że w tym domu nie jest zbyt dobrze, bo wszyscy się buntują i uważają, że ktoś tutaj przegiał, bo sobie przypisał władzę.

Główna funkcja prawa polega na stabilizacji stosunków społecznych, na tym, żebyście mogli się zająć nie chodzeniem i protestowaniem na ulicach, tylko własnym życiem. Jeżeli tak zagramy, to ta konieczność chodzenia, ten konflikt będzie trwał wiecznie. Istotą prawa jest to, żeby on się zakończył. Zakończył się w sensie moralnym dobrze, to znaczy w taki sposób, żeby tych, którzy złamali prawo i jest na to procedura, ukarać, ale likwidacja TK edyktem Sejmu nie jest po prostu takim sposobem. Sposobem jest wygranie wyborów większością konstytucyjną.

W Sejmie właśnie będzie rozpatrywana ustawa o SN.

– Normalnie powinno być tak, że jak coś jest dobre dla Polski, to jest dobre dla rządu. A u nas przez te siedem lat zrobiło się tak, że to już nie jest oczywiste. Rozjechał się ten interes. Ja rozumiem, że myślenie w narodzie jest takie, że jeżeli PiS dostanie te pieniądze, to mu to kupi trzecią kadencję, w związku z tym tych pieniędzy nie powinien dostać. Natomiast jesteśmy na skraju recesji, my tych pieniędzy jako Polska potrzebujemy. Sytuacja, w której opozycja mówi: jeżeli coś ma być dobre dla PiS, to nawet jak jest dobre dla Polski, to my mówimy „nie”, moim zdaniem jest nie do obrony. Mimo że sam pisałem bardzo ostro o tym, że PiS jest jak alkoholik, który mówi: daj mi

pieniądz, wydam na ubranka dla dzieci, a i tak je przepije, i wiem, że oni część tych pieniędzy mogą próbować wykorzystać, żeby kupić sobie władzę, to mimo wszystko tu nie ma za bardzo przestrzeni.

Ale ten projekt nie jest konstytucyjny.

– Tak, ale są dwa główne elementy tego projektu. Jeden jest konstytucyjny i dobry, czyli to jest test niezależności sędziego, drugi niekonstytucyjny, dlatego że próbuje się powierzyć rozstrzyganie w sprawach dyscyplinarnych sądowi administracyjnemu, który zgodnie z konstytucją robić tego nie może. Opozycja powinna zaproponować, że test ma pozostać, natomiast te kompetencje, które PiS chce przekazać sądowi administracyjnemu, należy przekazać Sądowi Najwyższemu. To jest propozycja, która jest propozycją bezpieczną, bo to jest rozwiązanie, które nie zaprzecza idei tej ustawy. Bo jest jasne, że PiS wybrał sobie sąd administracyjny, bo SN nie ufa po prostu.

Jest 30 proc. neosędziów.

– Opozycja moim zdaniem ma dosyć łatwą sprawę, głosujemy za, bo chcemy tych pieniędzy dla Polski, ale wymagamy zmiany, która usunie niekonstytucyjność.

I tej zmiany nie będzie.

– Ale to będzie sytuacja także dosyć jasna, bo zakładam, że będzie złożona poprawka w Sejmie, która prawdopodobnie upadnie. Trafi to do Senatu, Senat ją ponownie proponuje i później za niekonstytucyjność tego projektu, bo zakładam, że Sejm odrzuci tę poprawkę, będzie odpowiadał PiS, a nie opozycja.

Prof. Piotr Węgleński: Jak pan ocenia to, co się ostatnio dzieje wokół stanowiska RPO?

– Uważam, że to jest sytuacja skandaliczna. Działanie, w którym następuje, nie wiem, jak to nazwać, abdykacja z funkcji RPO. RPO to musi być wojownik. To jest kolejna instytucja, taka sama jak TK, której zadaniem ustawowym jest sprzeciwianie się władzy, która chce zrobić krzywdę obywatelom. Nie tylko obywatelom, każdemu człowiekowi, bo prawa człowieka przysługują każdemu człowiekowi, też tym, którzy umierają za naszą granicą z Białorusią. Jeżeli człowiek, którego dorobek naukowy bardzo szanują, przychodzi i mówi, że jego pomysłem na obronę praw obywatelskich będzie prowadzenie badań, jeżeli ten człowiek zwalnia panią dr Machińską, która jest takim wojownikiem, która tam jeździ i działa, to jest jakaś pomyłka. I niestety następuje kastracja, wybicie zębów zupełnie temu urzędowi i nie mam już poczucia, że to jest urząd taki, którym był za kadencji prof. Bodnara, kiedy zawsze można było liczyć, że stanie w obronie obywateli. Ja miałem nadzieję, kiedy Marcin Wiącek zostawał RPO, że jego mądrość, jego dorobek naukowy spowodują, że on dorośnie do takiej funkcji, której od RPO oczekujemy. To, co się zdarzyło ostatnio, napawa mnie wielkim smutkiem i rozczarowaniem. ●

„Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości”

– nowa książka Marcina Matczaka już w księgarniach



Adam Michnik poleca **160. rocznica powstania styczniowego**

NIE WIEM, CZY BYŁ SENS. WIEM, ŻE BYŁ MUS

Jutro pojedę do Warszawy objąć dyktaturę nieistniejącego państwa

TADEUSZ KONWICKI



• Scena z powstania styczniowego
autorstwa XIX-wiecznego drzeworytnika
francuskiego Charles'a Mauranda
FOT. POLONA

Tak mogło być: Traugutt bez pośpiechu zstępował z ażurowych schodków wagonu. Nie rozglądając się, wprawnym okiem konspiratora zdołał spostrzec, że peron jest prawie pusty. Koło parowozu stał naczelnik stacji i o coś pytał maszynistę. W drzwiach budynku dworcowego, obok mościeżnego dzwonu, kolebał się sennie wielki, brodaty portier. Wzdłuż pociągu szedł nieśpiesznie patrol żandarmski: młody, elegancki oficer w błękitnym mundurze i dwóch podoficerów. Widzieli już Traugutta. I on ich widział, choć zajęty był porównywaniem swego starego repetiera z zegarem stacyjnym.

Postawił sakwożaż na żwirze peronu, rozejrzał się nie dbale za bagażowym. Stało ich kilku za zielonym płotkiem, który oddzielał teren dworcowy od ulicy obsadzonej młodymi lipami. Ale żaden z nich nie kwapił się z pomocą samotnemu podróżnemu. Oni też czekali.

Traugutt schował troskliwie zegarek w kieszonce kamizelki. Wtedy patrol zatrzymał się o dwa kroki przed nim. Oficer salutował grzecznie, feldfeble przytrzymywali czerwonymi od chłodu rękami wielkie szable w skórzanych pochwach.

– Czy mogę prosić pański paszport? – spytał oficer.

– Oczywiście, proszę bardzo. – Traugutt podał wielką kartę papieru złożoną we czworo.

Żandarm czytał uważnie dokument, zerkając z powściągliwą ciekawością na podróżnego. Portier dworcowy uderzył w dzwon i krzyknął coś po rosyjsku z nadwzłzańskim akcentem.

– Pańska godność? – spytał oficer, nie podnosząc wzroku znad papierów.

– Czarnecki.

– Tak. A imię?

– Michał.

– Kupiec? Pan tu za interesami?

– Tak, za interesem. Na jeden dzień.

– Domyślam się, że stanie pan w Hotelu Europejskim.

– Jeśli dostanę numer.

– Mam nadzieję, że pan dostanie. Życzę przyjemnego pobytu – oficer zwrócił dokument, ponownie salutując.

Wtedy dopiero nadbiegł bagażowy w wielkim zgrzebnym fartuchu. Był to z pewnością starowiec, barczysty, zarosnięty chłop uśmiechający się ponuro.

– Są tu u was dorożki? – spytał Traugutt po polsku.

– Skolko ugodno – odparł basem tragarz. – Dorożek to mamy pod dostatkiem, wasza wielmożność.

– Więc prowadź.

Ruszyli przed dworzec, odprowadzani dyskretnym spojrzeniem oficera żandarmów. W złocistym powietrzu leciały splecione nitki babiego lata. Traugutt przystanął i popatrzył na to przymglone niebo, którego nie widział od miesięcy.

• • •

W skok podjechała dorożka. Bagażowy postawił sakwożaż u stóp młodego jeszcze furmana. Traugutt przetarł śpiesznie końcem szalika potniejące okulary, wsiadł do chybotliwego pojazdu. Wtedy dorożkarz odwrócił się na krótką

chwilę i przeciągle spojrzał mu w oczy. Ale Traugutt nie odwzajemnił mu spojrzenia, choć od razu zauważył na jego plecach odwrótnie przyszyty numer porządkowy, co w niektórych guberniach było oznaką wtajemniczenia.

– Do Europejskiego – powiedział, patrząc w głąb obłej ulicy wyłożonej czerwonym kamieniem polnym.

– Ja znam dobrze miasto. – Dorożkarz chlasnął lejcami spalone boki karego konia. – Jakby co było trzeba pomóc...

– Dziękuję. Ja tu na jeden dzień.

Dorożkarz odwrócił się znowu, tym razem czujnie uśmiechnięty.

– Może szanowny pan chciałby zapoznać bardzo eleganckie damy? Ja znam adresy. Tu można się zabawić. Z Łodzi, nawet z samej Warszawy przyjeżdżają kupcy i oficerowie.

Traugutt unikał jego spojrzenia. Przymrużył oczy za okularami, bo lodowaty wiatr nadleciał z głębi ulicy, pędząc przed sobą obłok krwawych liści.

– Nie mam czasu, przyjacielu. Może innym razem.

Dorożkarz zrezygnował. Zajął się leniwym koniem, który podniósł ogon i zaczął sytać zielono-brązowymi jabłkami. Miasto warowało przyczajone w tych resztkach jesiennego słońca nad zachodem. Przechodnie szli śpiesznie, nie pozdrawiając się nawzajem, stójkowi zabijali zgrabiałe ręce na rogach ulic, tylko w oknach można było dostrzec ukryte za firankami twarze ludzi, którzy czekali, od wielu miesięcy czekali z nadzieją i rozpaczą.

Raptem zrobił się ruch na ulicy. Środkiem leciał konny oficer z obnażoną szablą.

– Udiraj! Udiraj! – krzyczał przeraźliwym głosem.

Dorożkarz zjechał błyskawicznie do rynsztoka i zatrzymał konia. Obok przemknęła hałaśliwie zbrojna kawalkada: półsotnia kozaków otaczająca otwarty powóz, w którym na czarnym, pikowanym siedzeniu leżał wyorderowany generał, a obok niego tkwił wyprostowany służbiście młody oficer, zapewne adiutant.

– Gubernator – poinformował dorożkarz. Potem dodał ostrożnie: – Srogi człowiek.

– Tak, widzę – rzekł obojętnie Traugutt.

Znowu ucichło. Z bram wynurzyli się ludzie, którzy tam znaleźli schronienie. Gdzieś w podwórzu odezwał się domokrażca zachwalający jękliwie swoje towary. Północny wiatr duł coraz silniej. Traugutt zdecydował się postawić kołnierz palta wyłożony granatowym aksamitem.

Dorożka znowu stanęła. Furman pokazał biczyskiem zamglony skwer nad rzeką, gdzie jaśniały w ostatku światła dziennego trzy wysokie, złamane słupy.

– Gubernator srogi człowiek – powtórzył.

Dopiero teraz Traugutt dostrzegł trzy ciemne toboły ob-racane przez wiatr pod tymi słupami. To były szubienice. Trzy szubienice jak trzy krzyże.

– No to dojechaliśmy – rzekł dorożkarz.

Traugutt ocknął się z naglej zapaści.

– Ile bierzesz?

– Co łaska, szanowny panie.

Wchodząc do recepcji, zobaczył jeszcze, że dorożkarz nie odjeżdża, że patrzy za nim, jakby na coś czekając. Później zbliżył się do pojazdu człowiek w kaszkiecie, rozmawiali chwilę o czymś, wreszcie ten w kaszkiecie wskoczył na stopień dorożki, która ruszyła kłusem z powrotem pod dworzec.

– Szpieg czy bojownik? – spytał Traugutt sam siebie.

● ● ●

W hotelowym westybulu kręcili się oficerowie w polowych mundurach. Jedni wbiegali po schodach do numerów albo zbiegali gotowi do wyjścia, inni przysiadali w skórzanych wytartych fotelach jakby na dobrą wróżbę przed daleką podróżą. Niewysoki, łysy jegomość z bródką spoglądał pytająco na Traugutta.

– Potrzebuję ładnego pokoju na jedną noc.

Łysy brodacz uśmiechnął się wyrozumiale.

– Panowie oficerowie rozebrali najlepsze numery. Też na jedną noc.

Traugutt zaszeleścił papierowym rubelkiem mieniącym się jak tęcza.

– Nie zrobisz mi, kochasiu, zawodu. Jestem tu już umówiony, sam rozumiesz, że to delikatna sprawa.

– Ja wszystko rozumiem – rzekł recepcjonista, chowając rubelka w rękawie. – Może znajdę coś odpowiedniego dla pana dziedzica. Poproszę tylko o paszport, bo paszport to najważniejsza rzecz w dzisiejszych czasach – i mrugnął dwuznacznie, ale zarazem wesoło do klienta.

Poszperał w księdze, unosząc wysoko krzaczaste brwi z jakimś zdziwieniem, znowu się uśmiechnął, jeszcze dwuznaczniej, strzepnął palcami gorliwie i podał wreszcie klucz obciążony dębową gruszką.

– Zameldować damę czy od razu wpuścić? – spytał przyciszonym głosem.

– Puszczaj od razu, bo szkoda czasu.

– Ototo – zarechotał brodacz. – Dziś takie czasy, że każdej chwili szkoda. Wincenty, weź bagaż pana dziedzica.

Siwy posługacz w milczeniu przyjrzał się niechętnym wzrokiem Trauguttowi, wziął sakwojaż i bez słowa ruszył schodami na piętro.

Milcząc, otworzył drzwi numeru, milcząc, wziął napiwek i milcząc, chciał odejść. Ale Traugutt skinieniem dłoni zatrzymał go na progu.

– Dobry macie szampan?

Wincenty wzruszył ramionami.

– Dobry. Taki sam jak wszędzie.

– Coś ty taki niechętny?

– A skąd tu brać chęci? Człowiek sam powinien rozumieć.

– Co rozumieć, kochasiu?

– Co uchodzi, a co nie uchodzi.

Traugutt namyślał się przez chwilę z płaszczem w rękach. W rynnach za ścianą skowytnął raptem wiatr, nagie drzewo schyliło się i zajaśniało do okna.

– No dobrze. Każ wstawić butelkę szampana na lód, jeśli macie lód.

– Mamy, dlaczego nie – burknął Wincenty i wyszedł, zamykając drzwi odrobinę za głośno.

Traugutt podszedł do wielkiego lustra stojącego w kącie. W mętnej, szerniałej taflি zobaczył swoje odbicie: niewielkiego, chudego mężczyznę w drucianych okularach. Westchnął jakby z zawodem i przyglądał się jej młodej twarzy odstających uszach. Wiatr szarpnął oknem, zabrzęczały cieniutko źle zakitowane szyby. W pokoju obok ktoś chodził wielkimi krokami po skrzypiącej podłodze.

Traugutt zbliżył się do okna, odsunął brudną, lepką firankę i wzdrzgnął się znowu jak wtedy w dorożce. Ponad słabowitym, gołym drzewem zobaczył tę perspektywę

skweru, smugę rzeki i białe haki szubienic. Recepcjonista postarał się, dał dobry pokój od frontu.

Traugutt zasunął szczerlnie firankę i wyjrzał na korytarz.

– Wincenty!

– Czego? – odezwał się zakatarzony głos z dołu.

– Dajcie światło.

W sąsiednim pokoju rozmawiało kilku mężczyzn. Traugutt słuchał chwilę ich stłumionej mowy, zanim poznał Rosjan. Mimowolnie podszedł do okna i jeszcze raz odsunął ostrożnie firankę. Ciemniało na ulicy. Drzewa były histeryczne pokłony, maltretowane przez huraganowy jesienny wiatr, czarne, rzadkie chmury leciały na południe jak olbrzymie drapieżne ptaki. Ale szubienice pochłonęła już ciemność. Skwer roztopiał się w mroku i widać było tylko zarysy rabinów z uschniętymi kwiatami przedwczesnej jesieni.

Skrzypnęły drzwi. Wincenty niósł dwa cynowe świeczniki, na których szamotały się niepewne płomyki. Postawił jeden na stole, a drugi na chwiejnej etażerce przyprószonej kurzem. Wyszedł jeszcze i zaraz wrócił, niosąc mokre wiaderko, z którego sterczała szyjka zielonkawej butelki.

– Co macie na kolację? – spytał Traugutt.

– A co pan życzy? Mogą być kotlety cielęce.

– Niech będą.

Wincenty stał przy drzwiach, wzdychając przeciągle.

– Chcesz coś rzec?

– Nie. Nic.

Jeszcze raz westchnął i wyszedł z pokoju, a płomyki zaniepokoiły się, szarpnięte niewidzialnym przeciągiem. Traugutt wyjął zegarek, spojrział na cyferblat, potem chciał kluczykiem nakręcić mechanizm, ale się okazało, że jest nakręcony do oporu. Więc schował zegarek i podszedł do sakwojaża. Otworzył go, wyjął flakon z wielkim korkiem szklanym, nalał do dłoni trochę przejrzystej zawartości, natarł szyję, skronie, ręce. Chciał podejść do lustra, lecz zrezygnował, machnąwszy dłonią, a przy okazji powąchał tę silnie pachnącą rękę. Obok sąsiedzi zaczęli szczekać zastawą. Tam też szykowała się kolacja.

● ● ●

– *Oni, ci Rosjanie, śpiewają zabronione wiersze?*

– *Im wszystko wolno. Dziś śpiewają, jutro będą wieszać*

● ● ●

Potem siadł na łóżku przykrytym wyliniałą kapą i czekał. Przemagał rozwlekłe sekundy i minuty. Za ścianą brzęknęły struny gitary. Jakaś mucha, co nie zdążyła umrzeć przy pierwszym przymrozku, marudziła pod sufitem ze szerniałymi stukami gipsowymi. Traugutt wstawał, jakby chciał gdzieś śpiesznie pójść, ale znowu siadał na łóżku, zacierając kościste ręce. Czas marudził.

● ● ●

Wreszcie usłyszał ciche pukanie. Skoczył do drzwi, otworzył jednym ruchem gwałtownym. Stała w mroku, ale poznał od razu te zielonkawe błyszczące jak u kota oczy i zadarty nos.

Wciągnął ją do pokoju, zatrzasnął drzwi. Padli sobie w objęcia i tak objęci długo zbierali myśli.

– No co, Kościuszkówno? Jak życie, jak wszystko?

Wysunęła się z jego ramion, podniosła cienką woalkę. Uśmiechała się niepewnie, ze wstydem.

– To może siadajmy – rzekł Traugutt, powstrzymując drżenie rąk. – Na tym krzesło będzie ci wygodniej. Albo na łóżku.

– Nie, tu będzie dobrze. – siadła szybko na wyplatane krzesło, ręce ukryła w futrzanej mufce.

– Sam nie wiem, od czego zaczynać, Toniu. Jak w domu, jak dzieci?

– W domu po dawnemu. Dzieci rosną. Martwimy się o ciebie. Tak dawno nie było wiadomości.

– Teraz wszystko będzie dobrze.

– Jak dobrze? Dlaczego nie wracasz do domu?

– Wojna, Toniu. Nie mogę wracać.

Patrzyli na siebie chciwie, jakby pierwszy raz się dzieli. Ona patrzyła na jego pierwsze siwe włosy i na okulary, w których płonęły dwie malutkie świeczki, na jego przejmującą pospolitość, on przyglądał się jej młodej twarzy zarumienionej od chłodu, jej noskowi zadartemu, tej relikwii dziedziczonej po stryjecznym dziadku, i pełnym ustom, które były jej osobistą własnością.

Otworzyły się drzwi, wszedł Wincenty, niosąc kolację. Postawił jedzenie na stole, spojrział karcąco w stronę Toni i wyszedł, zamykając drzwi znowu odrobinę za głośno.

– Może wypijmy najpierw szampana? – spytał Traugutt.

– Jak chcesz – szepnęła.

Strzelił korek i zbiegiem okoliczności za ścianą wybuchnął śmiech wielu mężczyzn.

– Jesteś bezpieczny?

– Tak jak wszyscy – podniósł kieliszek. – Wiesz, za co piję?

– Wiem.

Umaczali ze skrupowaniem usta, dręczeni jakąś nie-stosownością tego hotelu, tych krzyków za ścianą i tego szampana. Gdzieś w mieście huknął oddalony strzał pochłonięty natychmiast przez nagły skowyt wiatru.

Traugutt wstał, podszedł do kobiety. Objął niezręcznie, poruszona woalka znów skryła jej twarz.

– No co, Toniu, no co?

– Żenuje mnie ten hotel.

– Mnie też. Ale co robić. Może zdejmiesz płaszcz?

Wstała posłusznie, oddała ciepły płaszczyk pachnący wrzosami. W jej dłoniach lysnęło coś głęboką czerwinią. Spostrzegła jego wzrok.

– Daj rękę – rzekła.

Sypnęła garstką małych, ciepłych kasztanów.

– Z Ostrowia – dodała. – Dokąd jedziesz?

– Do Warszawy. Może jesteś głodna? Kotlety wystygną.

– Nie chce mi się jeść.

– Mnie też nie. Chodź, siądziemy na łóżku. Trzeba mówić szeptem.

Ulokowali się na wysokim posłaniu, opierając plecy o wielkie poduchy cuchnące żelazkiem. Za ścianą ktoś brał na gitarze głębokie, melancholijne akordy.

– Po co jedziesz do Warszawy?

– Obejmuję kierownictwo Rządu Narodowego.

– Dlaczego właśnie ty?

– Dlaczego właśnie ja? Może taka jest wola Opatrzności.

● ● ●

Płomyki świec kołysały się sennie w mroku jak nagrobkowe znicze. Hotel żył wieczornym, pijanym życiem. Ktoś przebiegał korytarzem, ktoś inny krzyczał z dołu, ktoś niecierpliwy łomotał drzwiami. Śród tych hałasów odzywał się czasem złowieszczy, pełen tragicznej determinacji głos wiatru złej jesieni.

– Mówią, że powstanie umiera – szepnęła.

– Sytuacja jest ciężka. Ale Polska przecież nie umrze.

– Czy był sens powstawać przeciw takiej sile?

– I ty to mówisz, Kościuszkówno?

– Właśnie ja to mówię.

– Nie wiem, czy był sens. Wiem, że był mus.

– Zdradzieccy wodzowie, głupi politycy, niechętnie sobie warstwy narodu, a wszędzie armia szpiegów. Czasem nachodzi mnie straszna myśl, że powstanie trwa jeszcze tylko dlatego, gdyż podtrzymują je policyjni prowokatorzy.

Traugutt milczał. Słyszeli własne oddechy i słysze-li gwar w numerze sąsiadów. Jeszcze raz odezwała się gitara. Przyspieszonym rytmem skwapliwego akompaniamentu wabiła głos człowieka. Wreszcie pokazał się nieśmiały, gardłowy tenor:

„Praszczaj, niemytaja Rassija,/ Strana rabow, strana gospod,/ I wy, mundiry galubyje,/ I ty, im priedannyy narod”.

Traugutt poszukiwał malej, gorącej dłoni kobiety.

– Tak, istnieje moc podejrzeń, że do ruchu patriotycznego przeniknęło wielu agentów i prowokatorów. Być może zatarła się granica między czynem spontanicznym a sprowokowanym, między postępkiem szlachetnym a nikkemnym. Więc skryć się w bierną podejrzliwość, więc usprawiedliwić zgubną beczynność hasłami rozwagi?

– Naród musi przetrwać.

– A któż odróżni trwanie od agonii?

– Ja wiem, ja wiem, kochany. Ale serce krwawi, gdy widzę codziennie kibitki wywożące młodzież na Sybir, gdy patrzę na szubienice z zamordowanymi męczennikami.

– Nie ma chyba innej drogi, Toniu. Nie ma innej drogi, jeśli nie chcemy znikczemnieć, skarleć i umrzeć we wzgardzie innych ludów.

Za ścianą kilka głosów podjęło śmielej drugą strofę pieśni:

„Byt’ może, za stienoj Kawkaza/ Sokrojus’ ot twoich paszej,/ Ot ich wsiewidziaszczewo glaza,/ Ot ich wsieslyszaszczych uszej”.

Tonia słuchała ze zmarszczonym czołem pod wieńcem jasnych włosów. Zaciśnęła drobne palce na dłoni męża.

– Oni śpiewają zabronione wiersze? – szepnęła.

– Im wszystko wolno. Dziś śpiewają, jutro będą wieszać.

– Nie jesteś zmęczony? Masz daleką podróż za sobą.

– Teraz nie mogę być zmęczonym. Straszna odpowiedzialność spada na mój grzbiet.

– Czuję, że drżysz.

– To z chłodu. Zapomniałem kazać napalić w piecu.

– Nakryjmy się pierzyną. Ale zgaś przedtem świece.

Zdmuchnął oba płomyki i trzęsącymi się rękami zaczął zdejmować odzież przy wyplatanych krzeselku. Kątem oka widział cień Toni, która mocowała się z suknią. Słyszał szklisty szelest halek. Z czerni wycinało się powoli trupie widmo okna.

● ● ●

Boso przebiegł po lodowatej ziemi do wysokiego łóżka. Tonia czekała, odchyliwszy róg wilgotnej pierzyny. Nakryli się z głowami i własnym oddechem jęli ogrzewać kryjówkę.

– Pamiętasz mnie jeszcze, Toniu?

– A ty mnie pamiętasz?
– Stale pamiętałem. Każdą noc. I każdą dzień.
– Zapomniałeś zdjąć okulary.
– Zapomniałem.

Wysunął się z gorącego gniazda i omackiem położył szkła na podłodze.

– Strasznie się najadłam wstydu, wchodząc sama do hotelu.

– Ja też się wstydzę, przyjmując w numerze młodą damę.

Położył nieśmiało rękę na jej piersi okrytej cienką koszulą. Słuchała z napięciem tego poufalego gestu. Suchymi wargami ucałował kędzierzawy kosmyk włosów koło gorącego ucha. Ale w tym momencie ktoś zastukał do drzwi.

– Nie zamknąłeś? – szepnęła z trwogą.

– Nie zamknąłem.

Wyskoczył z łóżka, narzucił płaszcz na ramiona i otworzył drzwi. W korytarzu stał Wincenty z latarką w ręce.

– Panie Czarnecki, przychodzę ostrzec. Na policji zatrzymali pański paszport – rzekł starzec cicho bez poprzedniej wrogości.

– Sprawdzają pilnie, ale mój dokument dobry, kupiecki. Jutro oddadzą.

– Jakby pan chciał wyjechać po kryjomu, to mogę pomóc.

– Dziękuję za dobrą wolę. Nie muszę uciekać. Nie potrzebuję uciekać.

– Jak pan uważa. Ale w razie czego jestem na dole.

Starzec wpatrywał się pilnie w oczy Traugutta, chcąc widocznie odczytać prawdę. Z sąsiedniego pokoju ktoś wybiegł i zleciał na leb na szyję po schodach.

– No to spokojnej nocy.

– Bóg zapłać – rzekł Traugutt, przekręcając klucz w zamku.

Wrócił na łóżko, Tonia czekała wyprostowana, napięta, z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

– Ocean poświęcenia ludzkiego. Miałoby to obrócić się wniwecz... – szepnął i sięgnął do skroni, żeby zdjąć okulary, ale okulary leżały na ziemi, odbijając słabo siwy prostokąt okna.

Wtedy ona zwróciła się w jego stronę, raptem przyłgnęła, chowając twarz w załomie barku. Chciał ją objąć, lecz w tej cisnocie rozgrzanej kryjówki zadarła się koszula i poczuł nagle w dłoniach młode pulsujące ciało. Ogarnęła go szybka i słodka panika, zaczął śpiesznie całować rozdrzganymi wargami gorącą skórę, szorstkość napiętych sutek, wilgoć potu woniącego ziołami. Ona ścisnęła go wiotkimi ramionami za szyję, skryła powieką lśnienie oka i czekała, wstrzymawszy oddech. A on z jakimś dziwnym, rozpaczliwym lękiem, co zdać się mógł brutalnością, wdzierał się w nią na oślep i wdzierając się już, słyszał w sobie to straszne dudnienie krwi i ledwo wdarł się w tę spazmatyczną, bolesną gorącość, gdy targnęło nim nagle wielkie ukojenie, jakiego dotychczas nigdy nie zaznał.

Znowu słychać było brzęczenie tej upartej muchy pod sufitem. Tonia leżała bez ruchu w daremnym oczekiwaniu. Patrzyła na sufit szeroko otwartymi oczami, w których szamotały się pomniejszone cienie drzew z wietrznej ulicy.

– Dawno nie miałem kobiety – szepnął wreszcie z rozpaczą.

– Dawno nie miałeś mnie, generale

– i uśmiechnęła się, zwracając głowę w jego stronę.

Zaczął całować ją w gorące, wilgotne usta uwolnionej zupełnie z pożądania, a ona to czuła, oddawała pocałunki z wyrozumiałą powściągliwością.

– Wybacz – chciał szepnąć, ale mu nie pozwoliła, zakrywając usta dłonią.

– Cała noc przed nami.

– Tak, cała noc.

– A potem odjedziesz do Warszawy.

– Tak, Tونیu, odjadę.

– Ale dlaczego ty, właśnie ty?

– To mój obowiązek – chciał dodać: męski, ale zrezygnował.

Za ścianą podniósł się dziki, zwierzęcy wrzask i ktoś runął w prysyudy, aż odezwała się monotonnym drżeniem bambusowa etażerka.

– Czy wiesz, że jedziesz na pewną śmierć? – rzekła raptem Tonia.

– Pragnę uniknąć przedwczesnej śmierci jak każdy człowiek – szepnął po namyśle.

– Jeśli wytrwasz na posterunku do końca, znajdziesz śmierć.

– Ktoś musi umierać...

– ...żeby inni mogli żyć – dokończyła szyderczo Tonia.

– Kim ja jestem, Tونیu? Anonimowym człowiekiem. Ani pięknym, ani szczególnie zdolnym, ani znaczącym dla ogółu. Jestem zwykłą częścią tego narodu. I samemu mnie siebie nie szkoda.

● ● ●

U sąsiadów strzeliło rozbijane szkło. Ktoś wył do niewidocznego księżycza.

– Nie dadzą usnąć.

– Tونیu, jakim prawem miałbym strzec swego życia? Czyż ono nie takie samo jak wszystkie inne?

– A ja? A twoje dzieci?

– Nie wiem, czy dałem ci szczęście. Czy w ogóle coś ci dałem. Mam samopoczucie oszusta.

Teraz ona go pocałowała. Widział przed sobą jej ściemniałą od nocy twarz, jak twarz ruskiej madonny.

– Głupi jesteś, generale.

Za ścianą łamano meble. Ktoś walił głową w stół przy akompaniamencie chrapiących śmiechów. Traugutt w milczeniu wstał z łóżka i zaczął nakładać płaszcz na bieliznę.

– Daj spokój. Lepiej nie zwracać na siebie uwagi – odezwała się Tonia.

– Nie wytrzymamy do rana. Oni dopiero zaczynają.

Wyszedł na korytarz i zastukał do sąsiednich drzwi. Nikt nie otwierał, bo też i nikt nie słyszał tego pukania w pijanym wrzasku. Nacisnął klamkę, drzwi ustąpiły, pokazując wielki apartament wypełniony porozpinanymi oficerami wszelkich rodzajów broni. Spostrzegł też od razu ten błękitny, „gałuboj”, mundur oficera żandarmarii, oficera, który legitymował go na dworcu. Nie od razu zauważyli przybysza. Milkli kolejno, zwracając oczy na otwarte drzwi. Wreszcie uczyniło się cicho i tylko w kącie kapą monotonnie rozlana woda.

– Przepraszam panów, ale moja żona czuje się niezdrowa. Chciałbym prosić o spokój, bo nie można zasnąć.

Od stołu podniósł się młody kapitan i Traugutt ze zgrozą poznał na nim saper-ski uniform z cyframi pułku, w którym sam nie tak dawno służył.

– To my pana przepraszamy, panie...

– rzekł, trzaskając obcasami kapitan.

– Czarnecki – skłonił się Traugutt.

– Mamy zaszczyt, panie Czarnecki, przeprosić małżonkę i pana za ten nieporządek, prawda – chwiał się mocno w swojej postawie zasadniczej. – Niech nas usprawiedliwi, prawda, okoliczność, że to nasz kawalerski, pożegnalny wieczór, prawda. Jutro ruszamy w pole, panie Czarnecki, i jutro, prawda, o tej godzinie polowa z nas może nie żyć, prawda.

– Rozumiem, wszakże...

– To ja rozumiem, panie Czarnecki, my oficerowie jowo wieliczestwa...

– Alosza, daj spokój – odezwał się żandarm, patrząc w dno wysokiego kieliszka.

– Cśś, sza – kapitan chybnął w stronę gościa.

– Życzymy dobrej nocy madam Czarneckiej, prawda.

Traugutt wrócił do swego pokoju. Zdejmując płaszcz, powiedział niegłośnie:

– Oni też boją się śmierci.

Wsunął się pod pierzynę ogrzaną ciałem Tonia.

– Czy policja wyda ci jutro paszport?

– Myślisz, że los mnie ułaskawi. Że schwytają mnie jutro i ześlą na Sybir, miast powiesić za miesiąc albo za rok. Nie, oddadzą jutro paszport i pojedą do Warszawy objąć dyktaturę nieistniejącego państwa.

– Mówisz to z goryczą?

– Mówię tak, jak jest. Jak wypadło żyć.

● ● ●

W sąsiednim numerze ucichło. Od czasu do czasu skrzypnęła tylko podłoga albo ktoś odezwał się głośniejszym słowem.

FOT. JACEK ŁAGOWSKI / AGENCIA WYBORCZAPL

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Tomasz Łubieński*

*Władysław Lech Terlecki pisarz zapomniany
który uczył się wojny w górach Dagestanu
mijały lata słyszał coś o Lermontowie
z końcem stycznia na Litwie przeszedł do powstańców
pamiętam Terleckiego był wysoki szczupły
nosił biały kozuch z Sokolowa
ściągnięty rzemiennym paskiem
jastrzębie ruskie oczy krągłe okulary
teraz wie na sto procent kto wydał Traugutta
kto ułatwił Dąbrowskiemu ucieczkę do Francji
żeby ten zginął w Komunie Paryskiej
wieczna wyszukiwarka działa w archiwach ochrony
więc nie ma przed Terleckim żadnej tajemnicy
jeżeli oczywiście jest życie po śmierci
czego nie można zupełnie wykluczyć
w każdym razie nie sposób się z nim porozumieć
nie zdoła na autorskim spotkaniu przemówić
on mieszka w innym świecie bezpowrotnym
od czasów Orfeusza z cieniem Eurydyki*

***Tomasz Łubieński** – ur. w 1938 r., pisarz, historyk, eseista, dramaturg. Wydał m.in.: „Bić się czy nie bić?”, „M jak Mickiewicz”, „Wszystko w rodzinie”, „Ani tryumf, ani zgon. Szkice o Powstaniu Warszawskim”, „1939. Zaczęło się we wrześniu”. Wieloletni redaktor naczelny pisma „Nowe Książki”.



Wiatr gnał górą, objając się o stare, nieznaczne dachy.

– A u nas na Litwie pewnie już zima. Ty widzisz, jakie tu pogody. Popada deszcz, przeleci wiatr, ot i wszystko. Tونیu, śpisz?

Ale spostrzegł, że patrzy znowu w sufit nieruchomym wzrokiem. Przygarnął ją raptem do siebie.

– Tak cię kocham, Tونیu. Tyle ci zawdzięczam.

– Co mi możesz zawdzięczać?

Więc wyszukał skraj koszuli, objął dłońmi młode biodra jak snop świeżego żyta, zaczął całować gorliwie pulsującą śpiesznie szyję, szyję wiotką, pachnącą zapomnianym domem, dalekim Ostrowiem, utraconą bezpieczeńścią. Zdało mu się, że wraca to samo co przedtem pożądanie, zagarnął ją pod siebie, a ona poddawała się ze wstydliwą biernością, ale pełna upokarzającego oczekiwania, z całej mocy jej pragnął, budził w sobie tę tkliwą siłę, zdusił piersi roztrzęsionymi palcami, aż syknęła boleśnie, i przygnoił ją sobą, i tak zamarł, bo owo płytkie pożądanie roztopiło się już w sennej ocieźłości, w tępej rezygnacji. Leżał na niej i zbierał z rozpaczą rozpierzchnięte myśli. Za oknem słychać było soczyste klaskanie kopyt na kamiennym bruku. Patrol kozaków przeleciał z ciemności w ciemność.

– Zdrętwiała mi ręka – poskarżyła się Tonia.

Rozumiał, że pragnie spowszednić tę sytuację. Z wdzięcznością pocałował ją jeszcze raz i upadł na wielką poduszkę obok.

– Zła pora na spotkania – szepnęła.

– Ale może wszystko minie i wrócisz na Litwę.

– Tونیu, chciałbym wrócić, ale mogę i nie wrócić.

Wtedy ona zasłoniła się szczupłymi plecami. Leżała długo w tej pozycji i Traugutt pomyślał, że chyba usnęła. Ale kędzierzawy kosmyk nad gorącym uchem drżał ledwo dostrzegalnym spazmem jak szczygłe piórko.

– Kościuszkówno, ty płaczesz? – spytał ze ściśniętym sercem.

– A nic, nic – szepnęła, chowając twarz w poduszkę.

– Baby muszą czasem pobe-

czyć.

Na ulicy ktoś rozdarł się raptem wielkim krzykiem:

– Karau! Karau!

Odezwały się gwizdki policyjne, jacyś ludzie przebiegali tam i z powrotem wzdłuż budynku hotelowego. Tonia usiadła, okrywając się rogiem pierzyny.

– Słyszysz?

– Tونیu, trwa jeszcze wojna.

– Tak, ścigają jakiegoś człowieka. Nieznanego.

– Nieznani ludzie wywalczali zawsze wolność. Dla pamięci, dla otuchy zachowywano nazwiska mianowanych bohaterów, ale kajdany rozgryzał własnymi zębami o każdej porze, w każdej złej czy dobrej chwili, w każdym momencie obrotu Ziemi anonimowy człowiek.

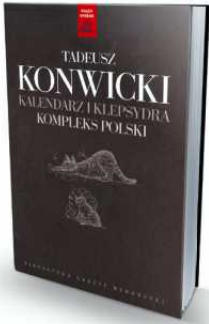
– Patrz, dnieje – powiedziała cicho.

Okno rozjaśniało się z wolna i wiatr uciuchał, jakby w oczekiwaniu na dzień, na jeszcze jeden krótki, jesienny dzień tego złowrogiego roku.

– Trzeba wstać i ruszyć naprzeciw śmierci – szepnął do siebie Traugutt.

Ona chciała zapytać, co mąż mówi, ale w raptownym, pełnym zgrozy przeczuciu zrezygnowała i zastygła z dłonią nieśmiało wyciągniętą ku twarzy, na której odcisnęły się ślady druczianych okularów: tak mogło być. ●

*** Fragment powieści Tadeusza Konwickiego „**Kompleks polski**” (1977, pierwsze wydanie poza cenzurą). Tekst za: Konwicki, „Książki wybrane”, t. 6: „Kalendarz i klepsydra. Kompleks polski”, Wydawnictwo Agora 2010. Tytuł: „Wyborcza”.



SIOSTRY DANCINGU

Polskich twórców wciąż traktuje się trochę jak tanią siłą roboczą

z **AGNIESZKĄ SMOCZYŃSKĄ**,
REŻYSERKĄ FILMOWĄ, ROZMAWIA **AGATA CAŁKOWSKA**

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jak się pracuje w państwie PiS, gdy pieniądze idą z PISF ministra Glińskiego?

– Nie zgadzam się z tak czarno-białą wizją rzeczywistości. Polski Instytut Sztuki Filmowej funkcjonuje od 2005 roku i niezależnie od władzy jest dla naszej kine-matografii bardzo ważną instytucją. Zresztą wystarczy sobie przypomnieć, jak wyglądało polskie kino przed jego powstaniem. PISF jest jednostką państwa, w jakiś sposób zależną od aktualnej władzy finansowo, ale mówienie o nim jak o tworze stricte rządowym, zarządzanym prosto z ministerialnego fotela, jest dużym nadużyciem. Pieniądze na nasze filmy nie idą od ministra kultury czy rządu, tylko ze środków, które gwarantuje ustawa o kinematografii. A gwarantuje, że Instytut dostaje również pieniądze od operatorów kablowych, dystrybutorów, telewizji, kin, a od dwóch lat również serwisy streamingowe oddają mu 1,5 procent przychodów z polskiego rynku.

A czy podziały społeczne: my i oni, widoczne są na planach zdjęciowych? Na pewno ma pani aktorów o różnych poglądach. Jak to wpływa na pracę?

– Jesteśmy dorosłymi ludźmi i nawet jeśli nie zgadzamy się ze sobą w jakichś kwestiach światopoglądowych, to plan filmowy na pewno nie jest miejscem do tego typu debat.

Ale nie powie pani, że to nie ma wpływu? Aktorzy odmawiają występowania, np. w filmie „Smoleńsk”... Czy ktoś pani odmówił grania z powodu poglądów?

– Nigdy nie miałam takiej sytuacji, aby moje polityczne przekonania spowodowały, że jakaś konkretna osoba nie chciała ze mną pracować.

A z kim by pani nie pracowała?

– Staram się nie patrzeć na ludzi, z którymi pracuję, przez pryzmat przekonań politycznych. Skupiam się na tym, z kim bym chciała pracować ze względu na jego wrażliwość, wyobraźnię, talent i energię.

Dlaczego tak mało aktorów, twórców, reżyserów pokazuje poglądy polityczne?

– Nie umiem ocenić, czy jest ich mało. Są osoby po dwóch stronach, które dość otwarcie mówią o politycznych sympatiach.

A ja nie widzę, by to była masowa skala. Czy to strach przed bojkotem, np. przez TVP? Wiele osób, które wspólnie znamy, tam pracuje.

– Każdy odpowiada za swoje wybory, nie mam prawa oceniać czyichś postaw. To są różne sytuacje. Moje filmy „Fuga” i „Silent Twins” nie były finansowane przez TVP.

A otrzymała pani propozycję wyreżyserowania produkcji TVP?

– Tak, miałam propozycję wyreżyserowania spektaklu teatralnego dla TVP i odmówiłam.

Kiedy idzie pani po kolejne pieniądze do PISF, to są emocje?

– To zawsze jakiś rodzaj konkursu, generuje stres, bo od tego zależy, czy zrobi się kolejny film, czy będzie się wykonywało ten zawód.

Spółeczeństwo pyta, dlaczego ma płacić kolejny podatek – opłatę reprograficzną. Jak by to pani wyjaśniła?

– Zacznijmy od tego, że nie mówimy o żadnym podatku i nie ma mowy o tym, że coś będzie płaciło społeczeństwo. To obliczona na straszenie narracja producentów sprzętu elektronicznego. Już samo słowo „opłata” ma złe konotacje. A o co tak naprawdę chodzi? Jako użytkownik dzieła możesz dowolnie nim dysponować – odtwarzać, kopię filmu wysłać rodzeństwu, nie pytać o dodatkowe zgody. Twórca dostaje za to rekompensatę, to lepsze słowo, czyli niewielki odsetek ceny urządzenia lub nośnika, które umożliwiają obejrzenie filmu w warunkach domowych. Kiedyś to były VHS czy płyty DVD, dziś to zapis cyfrowy. Dzięki temu możemy korzystać z dóbr kultury tak, jak chcemy, w dużej mierze bezpłatnie i na uproszczonych zasadach. Prawo do rekompensaty potwierdzone jest prawem unijnym i w wielu krajach jest normą. I co bardzo ważne – do opłaty reprograficznej nie jest zobowiązany użytkownik, ale producent sprzętu.

A co z tym mają wspólnego ubezpieczenia dla artystów i dopłaty do emerytur, o których też było głośno?

– Chodzi z jednej strony o nadążenie za przemianami technologicznymi, jak również społecznymi, stąd wzięła się ustawa o statusie artysty zawodowego. Nie chodzi tylko o emerytury czy dopłaty do składek na

ubezpieczenie, lecz także o całościowe ucywilizowanie warunków pracy ludzi 80 profesji, którzy zajmują się szeroko pojętą sztuką. Ustawa zapewnia dostęp do minimum zabezpieczenia socjalnego – opieki zdrowotnej i świadczeń ZUS. A związek opłaty reprograficznej z ubezpieczeniami dla artystów jest taki, że dopłaty, o których wspomniałam, mają być z niej finansowane. 60 procent twórców w Polsce zarabia poniżej średniej krajowej, a 30 – poniżej płacy minimalnej. Większość artystów się nie ubezpiecza, bo ich na to nie stać. Funkcjonujemy poza systemem.

Ma to pani w swoim doświadczeniu?

– Oczywiście. Mam za sobą lata kombinowania. Kiedy zaszłam w ciążę, zatrudniła mnie mama, bym miała ubezpieczenie zdrowotne.

Myśli pani, że akurat minister Gliński jest tym, który zadba o artystów?

– Nad ustawą pracowały wszystkie środowiska i wbrew politycznym podziałom wszyscy usiedli do partnerskich rozmów. Wspólnie zgodziliśmy się też, żeby system dopłat dla najmniej zarabiających był finansowany właśnie z opłaty reprograficznej, żeby nie obciążać dodatkowo budżetu państwa.

A filmy w internecie?

– Potrzebne są regulacje o tantiemach i nie jest to znowu żadna dodatkowa opłata, tylko część należnej kaźdemu z nas wypłaty, która teraz zostaje w rękach właścicieli platform streamingowych. To wbrew polskiemu prawu autorskiemu. Walczymy o to od 10 lat, bo polskich twórców niestety wciąż traktuje się trochę jak tanią siłę roboczą. I tu też trzeba podkreślić, że nie chcemy pieniędzy od widzów, ale od tych, którzy na naszej twórczości zarabiają – HBO czy Netflix. Kiedy 27 lat temu powstał Związek Autorów i Producentów Audiowizualnych, telewizje i kina również nie płaciły tantiem i trzeba było o to walczyć kilka lat.

Polska stała się w ostatnich latach areną walki o widza największych serwisów streamingowych, a my nie chcemy po prostu, by polscy twórcy byli pozbawieni udziałów w komercyjnym sukcesie swoich filmów.

Pandemia nic nie zmieniła?

– Zmieniła, i to bardzo. Rynek filmowy przechodzi transformację, coraz mniej filmów jest dystrybuowanych w kinach. Wystarczy spojrzeć na rozsiane po miastach billboardy i plakaty – to głównie seriale, wiele filmów wchodzi do kin zaledwie na tydzień bez żadnej outdoorowej promocji albo od razu ląduje na platformach, omijając dystrybucję na wielkim ekranie.

Rozmawiacie z władzami, z szefami platform?

– Spotkaliśmy się ostatnio w szerokim gronie twórców, bo sprawa robi się poważna. Ministerstwo Kultury przygotowało odpowiedni projekt ustawy i zaproponowało twórcom uregulowanie tych kwestii. Wyglądało, że wszystko idzie ku dobremu. Ale w grudniu, zaraz po wizycie w Polsce Reeda Hastingsa, jednego z założycieli Netflix, pan Janusz Cieszyński, wiceminister ds. cyfryzacji przy premierze, wnosi o wykreślenie właśnie tego przepisu zapewniającego tantiemy z internetu.

Byliśmy dogadani z ministerstwem na regulację tantiem, ale po wizycie założyciela Netflix'a wszystko się zmieniło

Unia Europejska już dwa lata temu przyjęła dyrektywę o prawie autorskim na jednolitym rynku cyfrowym, która nakazuje wprowadzenie do polskiego prawa odpowiedniego i proporcjonalnego wynagrodze-

nia za korzystanie z dzieł w internecie. Te przepisy działają już m.in. we Francji, Hiszpanii, Włoszech czy nawet Estonii i na Litwie. We wszystkich tych krajach platformy płacą tantiemy. Dlaczego akurat w Polsce nie mogą tego robić?

O jakie pieniądze walczyacie z Netflixem?

– Nie walczymy z Netflixem, ale o dobre przepisy, które nam się prawnie należą, o część naszego wynagrodzenia. Ciężko w tej chwili zgadywać, jakiego rzędu mogą to być kwoty. Według szacunków PISF platformy streamingowe osiągają w Polsce przychody na poziomie 2,3 miliarda złotych. Do polskich twórców filmowych w postaci tantiem trafiło natomiast jak do-tąd zero.

A jak się pani pracuje z kobietami producentkami? To były świadome wybory?

– Pracowałam z Agnieszką Kurzydło, Ewą Puszczynską i Klaudią Śmieją-Rostworowską. To są świetne producentki. Ewa Puszczynska jako jedna z pierwszych producentek w środowisku zwróciła uwagę na sytuację reżyserek, które są matkami. Uważała, że reżyserce powinno się zapewnić opiekę nad dzieckiem w czasie planu zdjęciowego.

Czyli kobiecie jest już łatwiej na rynku filmowym w Polsce?

– Od kilku lat sytuacja jest dla nas, twórczyń, trochę łatwiejsza. Kilka lat temu zastanawialiśmy się, dlaczego żadna z nas nie dostała propozycji wyreżyserowania bardzo popularnego gatunku, czyli kryminału. Dziś to się powoli zmienia. Coraz więcej kobiet robi komercyjne seriale. Z wyboru zajmuję się kinem artystycznym, a w komercyjnym są dużo większe budżety i do niedawna trudno było kobiecie o angaż w takich projektach. W kinie światowym na palcach jednej ręki możemy policzyć kobiety, które robią wysokobudżetowe produkcje. Również rynek reklamowy do dziś jest raczej na kobiety, jako twórczynie, zamknięty.

Dlaczego?

– To wynika z zakodowanych wzorców, z mentalności zarówno inwestorów, którzy dysponują pieniędzmi, decydentów, którzy je rozdają, jak i samych twórców. Niejednokrotnie mi przypomniano, żebym nie myślała o filmie wysokobudżetowym, bo jestem kobietą. Z roku na rok to się zmienia, ale to jest proces.

Jedna z dziewczyn zrobiła zestawienie dotyczące dostępu do pracy dla reżyserów i reżyserek przy seriach zleczanych przez największe platformy produkcyjne. Między 2000 a 2018 rokiem na 667 reżyserów były tylko 92 kobiety.

Te problemy są obecne w pani twórczości od początku. Obejrzałam właśnie najstarszy pani film, krótkometrażowy „Aria Diva”, w którym przykładna żona spotyka szaloną artystkę i wybucha między nimi uczucie.

– To był tak naprawdę mój pierwszy w życiu profesjonalny film. Po skończeniu reżyserii w Katowicach nie wiedziałam, co dalej; zarówno przede mną, jak i przed wszystkimi absolwentami i absolwentkami była czarna dziura. To były początki działania PISF i czasy, gdy napisanie scenariusza i przekonanie do niego to kilka lat starań. Zależało mi, żeby zrobić ten mały, półgodzinny debiut, trzydziestkę, bo to naturalna droga. Napisałam tekst, pierwszy, drugi, trzeci i Edward Żebrowski, Wojciech Marczewski i Andrzej Wajda odrzucali te pomysły. Cały czas mówili, że to są piętnastki, ale na tym polegała ta nauka, że człowiek uczy się opowiadać.

Żebrowski podsunął mi opowiadanie Tokarczuk o „Ariadnie na Naksos”, przeczytałam i stwierdziłam, że nie będę w stanie z tego zrobić filmu, ale jedna scena do mnie wracała, kiedy Diva śpiewa, a bohaterka dotyka jej gardła. I nakręciłam taką scenę w toalecie, ale nie weszła do filmu, a właśnie dla niej zdecydowałam się opowiedzieć tę historię.

Gdy teraz przypominam sobie te emocje, to była ciągła niepewność, poszukiwanie. Bardzo długo pracowałam nad tym scenariuszem z Robertem Bolestą. Napisał dwie wersje scenariusza, a ja potem je poprawiałam.

A jak wyglądała edukacja w szkole filmowej w Katowicach? Doświadczyła pani przemocy?

– Nie miałam złych doświadczeń. Mieliśmy zajęcia z Leszkiem Wosiewiczem, potrafił być ostry, ale bez przekroczeń. Potem słyszałam, że w młodszych rocznikach było dużo gorzej, ale starsze go uwielbiały. Dla wykładowców z Katowic zrezygnowałam ze zdawania do Łodzi. Myślę, że wokół spraw przemocy powinien toczyć się dialog. My jako środowisko musimy

zacząć o tym rozmawiać i wprowadzać mechanizmy, które te sytuacje uzdrowią. Szukać narzędzi, rozmawiać z psychologami, robić szkolenia. Ustalać i spisywać konkretne zasady współpracy, co można, a czego nie można.

Czyli świadomie wybierała pani szkołę. Mam wrażenie, że często decydujemy o tym przypadkiem. – Miałam 22 lata, nie miałam znajomych w środowisku filmowym, bardziej w teatralnym, bo byłam wtedy na próbach u Mikołaja Grabowskiego przy „Królu Learze”, ale film wygrał. Byłam też w klasie filmowej, w liceum, bo do tamtego momentu nie miałam pojęcia o kinie. Uczyliśmy się, chodząc do kina i oglądając filmy tych wszystkich wybitnych twórców. Sami zaczęliśmy kręcić krótkie filmy, bo to były czasy, kiedy pojawiły się tańsze kamery wideo.

W młodości chciała pani być aktorką, dlaczego? – Bo lubiłam wcielać się w różne postacie.

A jakim była pani dzieckiem? – Takim hej do przodu, ale bywałam też nieśmiała.

Od początku chciała pani opowiadać o kobietach? – To się tak jakoś stało, chociaż pierwsza moja szkolna etiuda pt. „Kapelusz” na podstawie opowiadania Kazimierza Brandysa opowiadała o ojcu i synu. A potem kobieca historia pt. „3 Love”, no i asystowałam Leszkowi Dawidowi przy „Ki”. Kobiety są mi bliższe, od zawsze bardziej mnie interesowały.

Rzuciły w domu rodzinnym? – Tak, bo moja mama miała siedem sióstr. Wychowywały się z ojcem, gdy babcia zmarła, kiedy mama miała sześć lat. Miałam bardzo silny i dobry związek z tatą i bratem, ale możliwość obserwowania mamy i jej sióstr, kobiet w różnym wieku, silnych, niektórych dużo słabszych, uległych, kruchych – to było jakoś formujące. Wszystkie ciotki były finansowo niezależne od mężów, pomagały sobie – nie wiedziałam wtedy, że można być kobietą zależną finansowo od męża.

Ma pani dwóch braci, a ja cały czas w pani twórczości wyczuwam tęsknotę za siostrą. – Na pewno to we mnie jest, także dzięki mamie i jej siostrom. Widziałam, jak bardzo siebie kochają, mama miała z nimi bardzo mocną więź i codziennie ze sobą rozmawiały, każda z każdą. Kiedy najstarsza z nich wyjechała do Szklarskiej Poręby, zaczęła sprowadzać siostry do siebie. Do pomagania w interesie. Najpierw w restauracji, a potem w pensjonacie. Były kierowniczkami, bufetowymi, kelnerkami i kucharkami. Radziły sobie świetnie. Pamiętam, że do piątego roku życia byłam non stop w pracy u mamy i bardzo to lubiłam.

Wzięła pani coś z tego dla siebie? – To życie knajpiane, te rozmowy mamy z ludźmi wykorzystywałam w reżyserii. Nauczyłam się, jak z ludźmi rozmawiać, jak współrządzić, jak tworzyć zespół. Widziałam, że gdy jeden element nie funkcjonuje, to może być problem. Jak kelner czy kelnerka nie przychodzili, to był luz, ale jak nie było kucharki, to zawsze był telefon i grobowy głos: „Hilda nie przyszła, nie mam kucharki”. Rozumie pani, co znaczy nie mieć kucharki w knajpie w Szklarskiej Porębie, gdzie się wydawało po sto obiadów?

Pamiętam te wszystkie sytuacje i to, że siostry sobie zawsze w takich sytuacjach pomagały. Ale oczywiście też zdarzały się klótnie, obrazy, każda z nich miała swój temperament.

Pani pełnometrażowym debiutem były „Córki dancingu”, które w Stanach Zjednoczonych nabrały statusu filmu kultowego. Jak poznaliście się ze scenarzystą Robertem Bolestą? – Przez Andrzeja Konopkę – mojego męża – kiedy pracowali razem w teatrze. Podobało mi się jego myślenie, opowiedziałam mu historię z „3 Love” o tym, że kobieta pisała SMS-y z dobrym duchem, a on ją zabija. W śledztwie okazało się, że pisała z dziewczyną, która się podawała za mężczyznę. Robert zaczął to pisać i tak powstał scenariusz. Potem pracowaliśmy razem nad „Arią Divą”.

Pani mąż, Andrzej Konopka, jest aktorem – rozmawiacie w domu o pracy? – To się ciągle przeplata – praca i życie. Lubimy te momenty, w których możemy jednak nie rozmawiać o naszej pracy. Chyba przez to się tak dobrze rozumiemy.

Żeby zrobić film, trzeba się ze scenarzystą zaprzyjaźnić?

– Gdy sama zaczęłam pisać scenariusze, to nic z nich nie wychodziło, nie miałam tekstu na debiut, po trzech latach zaczęłam się frustrować. Odezwał się wtedy Robert, ja urodziłam drugie dziecko, on czekał na swoje drugie i może poczuł, że trzeba popracować i zarobić. Powiedział, że chciałby opowiedzieć biografie swoich przyjaciółek, sióstr Wronskich, i że ma tytuł „Córki dancingu”, a ja pomyślałam o moim dzieciństwie w tych knajpach, o którym on nic nie wiedział. Poznał mnie wtedy z siostrami Wronskimi, powiedział, żebym posłuchała płyty „Ballady i romanse”, która zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Zadzwoniłam do niego, powiedziałam, że chcę to robić. Na początku to miała być taka zwyczajna historia o małych dziewczynkach wychowywanych na dancingu, scenariusz ewoluował i pojawiły się syreny. Film stawał się coraz bardziej szalony. Bardzo wielu producentów odrzuciło nasz pomysł. Zwłaszcza młodych.

Wiele razy mi przypominano, żebym nie myślała o filmie wysokobudżetowym, bo jestem kobietą

I nagle przyjął go Włodzimierz Niderhaus, dyrektor Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych w Warszawie, bardzo stateczny pan na stanowisku. – Stateczny, ale umożliwiał pracę wielu debiutantom. Myślę, że mało kto by się wtedy na takie kino zdecydował, a on był konkretny i przede wszystkim sprawczy, produkował filmy, a nie „developował” je latami, czym byłam już zmęczona. Powiedział, ile jest w stanie zebrać pieniędzy, i nie ingerował w tekst. Wypowiedział takie zdanie: „Albo to będzie coś ekstra, albo chamskie porno”. Pamiętam wtedy, jaką ogromną radość poczułam.

No właśnie, a te słynne pitchingi, kiedy sprzedaje się pomysły na film. Czy to naprawdę rzeź? – Trzeba w dwóch zdaniach umieć opowiedzieć, o czym jest film, żeby kogoś zainteresować. Doświadczony producent wie od razu, czy jest w tym potencjał. Przy „Córkach dancingu” kluczowym pomysłem było, że dwie syreny przyplływają do Polski i stają się gwiazdami w świecie dancingów, jakby w latach 80. Sprzedawaliśmy to jako baśń dla dorosłych. Myślę, że ten film wbił się w jakąś lukę. To, że powstał, to był jakiś cud, ale i wynik naszej ogromnej determinacji.

Otrzymał nagrodę specjalną jury Sundance Film Festival za „unikatową wizję i design”. Czy międzynarodowe nagrody pomagają na polskim podwórku, czy są solą w oku? – W środowisku masz swoich ludzi, których lubisz, którym ufasz, i oni są najważniejsi. Ten film ma przyjaciół poza Polską, w Stanach, w Japonii. Jak mieliśmy premierę „Silent Twins” w Nowym Jorku, to bardzo dużo osób do mnie podchodziło i wspominało „Córki dancingu”, czyli w ich tłumaczeniu „The Lure”. Ten film to był zbieg wielu pozytywnych okoliczności, ale też niesamowita praca. Robert przyszedł z pomysłem w kwietniu 2011 roku, zdjęcia ruszyły w 2014 roku. Potem premiera w Gdyni, a rok później na Sundance, czyli pięć lat życia.

Pani ostatni film, „Silent Twins”, to historia sióstr, które emigrują wewnątrznie – dlaczego to panią uwiodło? – Poruszyło mnie to, że aby jedna się z tej relacji uwolniła, to druga musi umrzeć. To jest dla mnie także film o bardzo silnej relacji miłosnej, która jest na dwóch biegunach – miłości i nienawiści. Trochę o poszukiwaniu tej drugiej połówki, że całe życie możesz jej szukać, a te dziewczyny były nimi od początku. Żeby określić siebie, to musisz mieć kogoś bliskiego w relacji, ale też musisz być sama. To, co jedna z sióstr pisze: że siostra jest jej cieniem i utrapieniem, i czy będzie mogła żyć bez tego cienia. Dla mnie to metafora dwuistej natury człowieka.

A w jaki sposób buduje się dzisiaj sceny przemocy, takie jakie mamy między siostrami w „Silent Twins”? – Dużo się o nich rozmawia i wszystko zależy, jaką emocję masz uzyskać, co ma pokazać w dalszej historii. Rozmawiałam o tym najpierw z jedną aktorką, potem z drugą, wszystkie gesty zostały omówione. Potem z kaskaderem ustala się całą choreografię. Kaskader to nagrywa, pokazuje, analizujemy i dopiero potem próbuje z aktorami, a następnie rejestrujemy to na planie.

Słynie pani z mocnych pierwszych scen filmu. To celowe? – Nie. Lubię myśleć o rozpoczęciu, bo to takie zaproszenie do świata, do historii, trzeba widza złapać, żeby chciał z tobą zostać na kolejne minuty.

Co w dziewczynkach z „Silent Twins”, które decydują się odgradzić od świata milczeniem, może być aktualne dla nas dzisiaj, tutaj? – To ich milczenie jest przecież protestem i to, że przestały się odzywać, kiedy zostały odrzucone przez rówieśników ze względu na swoje pochodzenie. Były innymi, z zewnątrz, czarnymi dziewczynkami. W tej historii odnajdziemy to, co najgorsze w wykluczeniu i odrzuceniu, czyli złamane ludzkie życie. Złamane nie tyle przez złe działający system, każdy taki układ tworzą zawsze ludzie – obojętni, niechętni, a nawet pogardzający innym człowiekiem.

No to jesteśmy w Polsce. Jak odbiera tu pani codzienność, boi się kolejnych wygranych wyborów PiS? – Boję się.

Brała pani udział w Strajku Kobiet. Czy ostatnie lata opowiedziały o polskich kobietach ciekawą narrację świata? To jest materiał na film? – Jest, ale ważne, żeby to nie był reportaż. Czuję, że to jeszcze zbyt świeże, że potrzebuje czasu. To jest rzeczywistość, w której żyję, i trudno mi ją diagnozować.

Obejrzałam w TVP Kultura program, w którym dwóch panów pastwiło się nad tegorocznym festiwałem w Gdyni. Byli zdania, że wprowadzenie parytetów płci obniżyło poziom tegorocznego festiwalu. A pani wygrała ten festiwal... – ...śmieszne.

Dla nich śmieszne jest, że można odgórnie wybierać filmy na festiwal, biorąc pod uwagę płeć twórcy. – Spójrzmy na konkurs główny w Gdyni, w tym roku: Dżianowicz, Minorowicz, Jadowska, Szumowska, Maliszewska, Woszczyńska i ja. Czy uważa pani, że te reżyserki robią złe filmy? Wolalabym rozmawiać merytorycznie na temat filmów, a nie po raz kolejny wysłuchiwać podszytych lękiem wypowiedzi broniących patriarchalnego systemu. Tak jak powiedziała Dorota Masłowska, przez wiele lat byliśmy ofiarami, świadkiniami, rzadko beneficjentkami antykobiecej kultury. Myślę, że nadszedł czas zmian, od których nie ma już odwrotu.

Rozumiem, że mówią to, powiedzmy, w trosce o wykluczenie zdolnych panów. – Coraz więcej kobiet dostaje się na reżyserię i w Łodzi, i w Katowicach – i nie dlatego, że są kobietami, ale mają ciekawsze projekty i myślenie.

Nie ma pani obaw, że osoby zdolne będą na gorszej pozycji, bo nie pasują do obecnych przemian społecznych z różnych powodów i tracą swoją życiową szansę? – To niesłuszne założenie. Myślę, że to, czy ktoś zawodowo zajmuje się sztuką filmową, to wypadkowa ciężkiej pracy, talentu i szczęścia.

Zalóżmy, że jest pani w komisji, która ma dać komuś życiową szansę tworzenia i ma wybrać mężczyznę z talentem lub kobietę, ale z gorszymi pomysłami. Co wtedy? – Oczywiście, że zawsze kieruję się pomysłem na film, tym, czy zaproponowana historia jest dla mnie ciekawa i czy widzę w niej potencjał. W komisjach PISF nie decyduje jedna osoba, zawsze są to ludzie o różnych doświadczeniach. Przyznanie dotacji jest zawsze przecież decyzją wspólną.

A da się zrobić film na partnerskich zasadach, bez krzyku, z szacunkiem dla całej ekipy? – To już, mam nadzieję, jest dzisiaj standard. Bez zespołu nie ma reżysera ani reżyserki. ●

FOT. GETTY IMAGES

W 2020 roku pandemia kazala nam się zatrzymać i z dnia na dzień zrezygnować z codziennej gonitwy. Dwa lata później zobaczyliśmy, czym jest wojna i jak w gruz obraca się życie milionów, jak my. Dzisiaj wielu pragnie uwierzyć, że ten wstrząs staje się historią. Powraca myśl o komfortowym życiu.

Współczesność to czas bezprecedensowej obfitości, odkryć naukowych, postępu w medycynie i wydłużonego czasu życia, ale badania potwierdzają, jak bardzo jesteśmy nieszczęśliwi, pełni lęku i napięcia. W rozwiniętych krajach obserwujemy stały wzrost diagnozowanych zaburzeń nastroju. Światowa Organizacja Zdrowia niezmiennie uznaje depresję za jeden z najpoważniejszych problemów na świecie. Według danych WHO w 2021 roku depresja dotknęła 280 milionów osób na świecie. Każdego roku aż 700 tysięcy osób odbiera sobie życie. Samobójstwo jest czwartą najczęstszą przyczyną śmierci osób w wieku 15-29 lat.

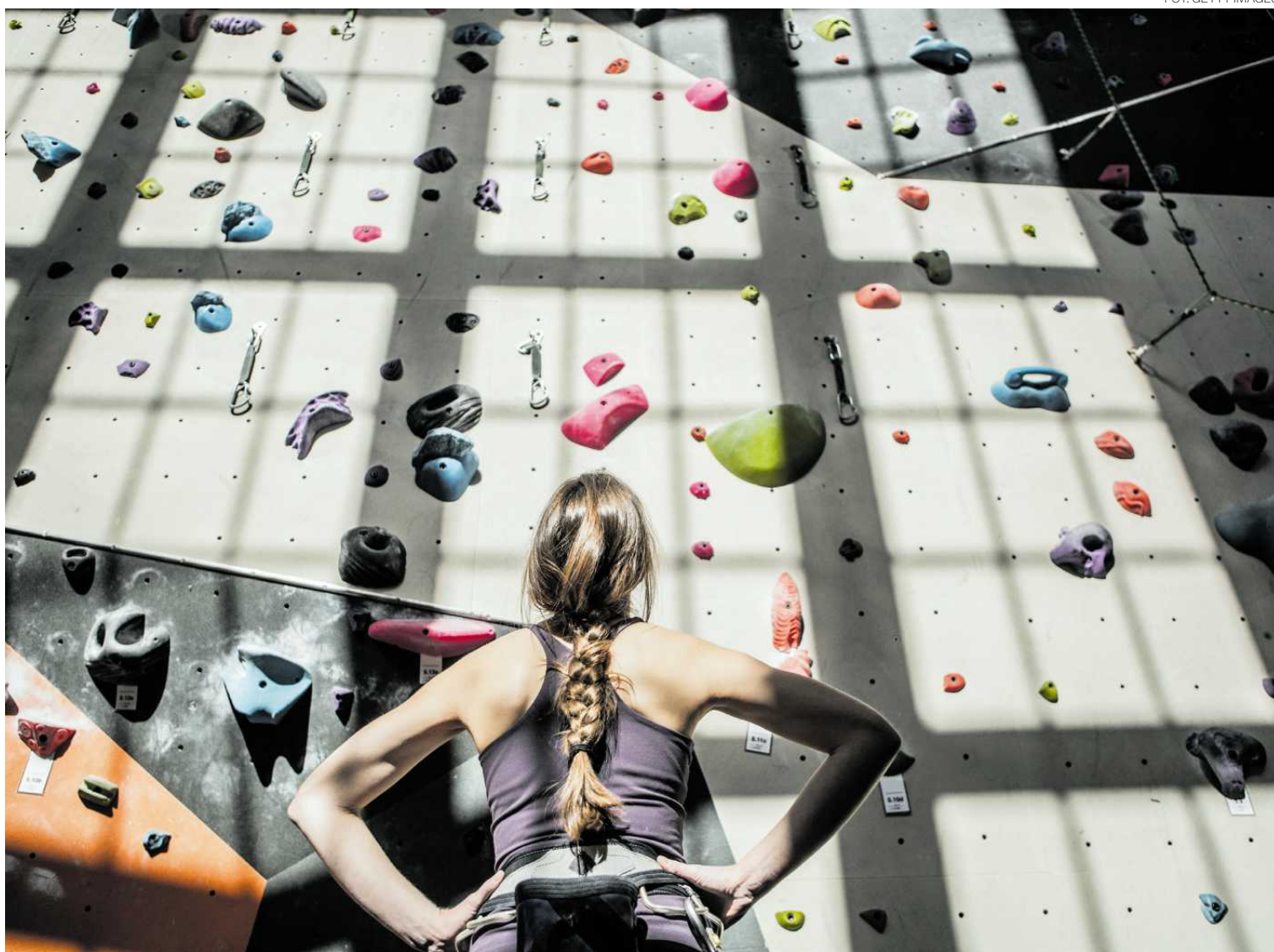
Uczymy się żyć na autopilocie, w oszołomieniu, znieczuleniu, w transie.

SIŁA SPOŁECZNOŚCI

Nie musimy spędzać dni na walce o przetrwanie, do wyjątku należą sytuacje, w których egzystencja zależy od współpracy, ale zyskaliśmy czas na zmaganie się z naszymi głowami. Dlatego pandemia była szokiem, wojna również.

A jeśli człowiek został uwarunkowany do życia w społecznej masce, może jesteśmy już tylko produktem polaryzującej medialnej propagandy, która podważa naszą inteligencję i zdolność samodzielnego myślenia. I uwierzyliśmy, że domy, drogie samochody, ubrania i luksusowe wakacje są drogą do szczęścia. Dni spędzamy w klimatyzowanych pomieszczeniach, z twarzą przed ekranami, podsycaamy swoje niepokoje i przelewamy je na innych. Czy w obliczu swojej pozornej otwartości nie skupiamy się na pielęgnowaniu swoich ograniczeń? Może po prostu, po ludzku jest nam łatwiej, gdy ograniczymy swój sposób myślenia i zawężymy pole widzenia? Świat wówczas może wydawać się prostszy.

Niewątpliwie z jakiegoś powodu wciąż wybieramy dopasowywanie się do istniejących norm społecznych i sztywnych standardów kultury. Może siedzimy i czekamy, aż wszechświat, los lub Bóg zapewni nam życie, którego pragniemy, zamiast samodzielnie poszukiwać swojej drogi, być aktywnym, pracować i działać. Woliemy znajdować bohaterów na zewnątrz, zamiast dostrzegać i doceniać odwagę w samych sobie. By nie ryzykować. A technologia stworzyła barierę między nami a przyrodą, która skutecznie oddziela nas od możliwości dotarcia do głębszego wymiaru poznania i doświadczania.



Życ lepiej

CODZIENNOŚĆ NA AUTOPILOCIE

Nie musimy spędzać dni na walce o przetrwanie, ale zyskaliśmy czas na zmaganie się z naszymi głowami

Lukasz Łapiński*

Zdolność współpracy i łączenia się w małe grupy jest dla nas intuicyjna. Życie w plemionach opierało się na wzajemnej ufności, która spajała. *Homo sapiens* mógł ze spokojem zostawić dzieci pod opieką innych, kiedy szedł polować. Przez tysiąclecia człowiek wносił coś do społeczności, do której należał, bo ufał. Dzisiejsza globalna, masowa społeczność nie przypomina już tej plemiennej, która tak bliska jest naturze człowieka. Na zamkniętych, strzeżonych luksusowych osiedlach miejsce zaufania zajmuje nieufność. Pracodawcy montują moduły GPS w samochodach firmowych, rodzice śledzą pozycje nastoletnich dzieci po lekcjach. Dziś ufanie ludziom bywa utożsamiane z naiwnością, a zasada ograniczonego zaufania (czytaj: zasada nieufania) to dla wielu synonim zradności i roztropności. Straciliśmy naturalne środowisko, w którym w spontaniczny sposób się odnajdujemy i potrafimy sprawnie funkcjonować.

KULTURA KOMFORTU

Zachwycamy się tym, co osiągnęliśmy jako ludzkość. Z wielką kreatywnością, zaangażowa-

niem i wysiłkiem stworzyliśmy wspaniałe prosperującą i kwitnącą cywilizację. Łatwo nam wierzyć, że marzenie o komfortowym życiu jest na wyciągnięcie ręki, a komfort nie jest czymś groźnym. W końcu w jaki sposób można wygodą miałby wyrządzać komuś krzywdę?

Ale ciemna strona kultury komfortu to redukcja naszej istoty jako ludzi. Komfortowe życie sprawia, że nie podejmujemy oporu i łagodnie zanurzamy się w coraz głębszą bierność, odrętwienie i bezradność. Coraz bardziej rośnie w nas lęk, że komfort stracimy, więc coraz więcej wysiłku wkładamy w to, aby komfort zwiększać. Błędne koło. Oddzielamy się od tego, co nieprzewidywalne i niedające się kontrolować, od tego, co dzikie, co bywa esencją życia i bycia żywym. Jak pisze Olga Tokarczuk, „od jakiegoś momentu w swoim życiu zaczy-

namy widzieć świat we fragmentach, wszystko osobno, w kawałkach odległych od siebie niczym galaktyki, a rzeczywistość, w jakiej żyjemy, w tym nas upewnia (...)”. Tracimy z oczu prawdziwy koszt naszego „komfortowego życia” – gigatony odpadów, destabilizacja klimatu, wymieranie gatunków, cierpienie zwierząt hodowlanych, kryzys migracyjny oraz dramaty ludzi produkujących dla nas te wszystkie „dobra” w miejscach, których nie zobaczysz w telewizji.

Viktor Frankl, psychoterapeuta, w centrum swojej metody postawił ludzką życiową wędrówkę w poszukiwaniu sensu. „Podstawą zdrowia psychicznego – podkreślał – jest pewien stopień napięcia – rozdźwięk pomiędzy tym, co już osiągnęliśmy, i tym, co jeszcze musimy osiągnąć, albo tym, kim jesteśmy, a kim być powinniśmy. (...) W kwestii higieny psychicznej za wysoce błędne i nie-

bezpieczne – pisał – uważam przekonanie, jakoby człowiek potrzebował przede wszystkim równowagi rozumianej jako stan pozbawiony wszelkich napięć”. Dziś wyraźniej niż kiedykolwiek rodzi się w nas potrzeba radykalnego odrzucenia wszechobecnego terroru sukcesu, świata bez przeszkód, perfekcyjnego i idealnego życia. Szukamy znaków życia. Gdzie szukać? W tułaczce przez życie znajdujemy poszlaki. Doświadczenia, które spotykają nas w podróży, sprawiają, że lepiej czytamy sygnały i wskazówki zostawione przez innych i przez naturę. Uczymy się sprawdzać, które z nich mogą być przydatne. Dobrymi nauczycielami okazują się nasze porażki i nieoczekiwane wydarzenia, które burzą to, co dotąd wydawało nam się stabilne. Każdy upadek, strata, której doświadczamy, to szansa na to, aby wyraźniej dostrzec to, co jest dla nas ważne. Być może to stanowi o istocie podróżowania („to, co staje nam na drodze, staje się drogą” – Marek Aureliusz). Oto kilka wskazówek:

ODWAGA

Wielu z nas żyje w chronicznym, rozlanym stresie. Wyścig szczy-

rów wprowadzamy w życie swoich dzieci już na etapie wyboru wózka i fotelika samochodowego (ten droższy, luksusowy czy ten zwykły, przeciętny). Wybieramy pracę oraz drogę życiową, kierując się kalkulacją ekonomiczną i społeczną. Robimy rzeczy, których nie lubimy, tłumacząc sobie, że właśnie to nam daje pozycję i bezpieczeństwo bliskim. Czasem warto odpuścić to, co trzymamy tak mocno. Chwila, w której zauważasz, że droga, którą idziesz przez życie, nie daje ci szans na spotkanie tego, czego naprawdę pragniesz, bywa najważniejszym momentem życia. Kiedy oberzemy kierunek życia dający nam spełnienie, jest niemal pewne, że naruszymy istniejące status quo. Aby poczuć się w pełni żywym, niezbędna jest odwaga. Bez niej nie sposób odzyskać tego, kim byliśmy, zanim kultura wtłoczyła nas w to, czym jesteśmy dzisiaj. To może być wstrząs. Bywa, że jest to samotna wędrówka przez nieznanne lądy, to podróż, w której trzeba ryzykować i stawiać na szali swoje komfortowe życie.

CIERPIENIE

Jest nieodłącznym elementem życia. Doświadczenie bólu, straty, choroby i umierania jest wpisane w bycie żywym. Buddyści istnienie cierpienia nazywają Pierwszą Szlachetną Prawdą. Ból narodzin, starość, śmierć, strata, smutek, ból fizyczny, niepewność, desperacja, lęk, rozpacz, żaloba, niemożność dostania tego, czego pragniemy – to doświadczenia związane z byciem żywym. Zachodnia cywilizacja stara się temu zaprzeczać. Zdobywcze nauki oraz liczne wygody, które sobie fundujemy, umożliwiają nam zamknięcie się w bańce iluzji i uwierzenie, że nas to nie dotyczy. Wszystkie wygody świata tego nie zmieniają. „Niedostrzeganie cierpienia sprawią, że jesteśmy w tym cierpieniu uwięzieni” – konstatował Joseph Goldstein.

Warto przyjąć istnienie cierpienia do wiadomości i objąć tę prawdę pełną i mądrą akceptacją. Wbrew pozorom ta perspektywa nie jest pesymistyczna. Nie ma nic wspólnego z biernością i poddaniem się. Wręcz przeciwnie – to właśnie ona pozwala nam głęboko doceniać każdą chwilę. Nie chodzi tu o to, że cierpienie uszlachetnia, lecz o to, że ze spotkania z nim możemy wynieść wiele cennych doświadczeń.

BLISKOŚĆ I CZUŁOŚĆ

W encyklice „Laudato si” papież Franciszek podjął się opisu aktualnego kryzysu przyrodniczego i klimatycznego. Z wieloma тезami tego dokumentu można się nie zgadzać. Ciekawe jednak, że w tym dokumencie wyraźnie podkreślił kluczową rolę czegoś, co na pozór może się wydawać trywialne i ulotne. Zaakcentował bowiem znaczenie subiektywnego, intymnego sposobu patrzenia i budowania naszych relacji ze światem, przyrodą i drugim człowiekiem. Zachęca do pielęgnowania w sobie trybu postrzegania, który pozwala na intymne, osobiste doświadczenie bliskości, czułości, nieustanne go zdumienia i podziwu.

„Czułość jest tą najskromniejszą odmianą miłości – podkre-

śla Olga Tokarczuk w swojej przemowie noblowskiej. – (...) Pojawia się tam, gdzie z uwagą i skupieniem zaglądamy w drugi byt, w to, co nie jest »ja«. Czułość jest spon-taniczna i bezinteresowna, wykracza daleko poza empatyczne współodczuwanie. (...) Jest głębokim przejściem się drugim bytem, jego kruchością, niepowtarzalnością, jego nieodpornością na cierpienie i działanie czasu. Czułość dostrzega między nami więzi, podobieństwa i tożsamości. Jest tym trybem patrzenia, który ukazuje świat jako żywy, żyjący, powiązany ze sobą, współpracujący i od siebie współzależny”.

Być blisko drugiej osoby to być blisko tej pierwszej, czyli siebie samej/samego. I odwrotnie, nie da się zbliżyć do prawdy o sobie, nie będąc blisko z kimś innym. W spotkaniu z drugą osobą spotykamy siebie. W byciu razem dotykamy swojego człowieczeństwa. Nasza odwaga i wiara w siebie rosną wyłącznie w obliczu spotkania jednej osoby z drugą. Olga Tokarczuk kończy mowę noblowską, podkreślając, że potrzebujemy opowiadać w taki sposób, „jakby świat był żywą, nieustannie stawającą się na naszych oczach jednością, a my jego – jednocześnie małą i potężną – częścią”.

OBECNOŚĆ

XXI wiek to czas nadmiaru bodźców. Łatwo ulec rozproszeniu. Łatwo pozostać w tym stanie na dłużej. Komfort, wygoda, łatwość dostępu, powszechność dóbr, rozrywek i różnorodnych mediów to warunki, w których ulegamy bezczynności, fiksacji na taniej rozrywce, natychmiastowej gratyfikacji i trywialnych dylematach. Nasze umysły stają się ospałe i coraz bardziej nieobecne.

Często tak się zapędzamy, że bezwiednie przemykamy przez kolejne chwile z myślą o tym, aby tylko doczekać jakichś wydarzeń, kiedyś w przyszłości. Życie upływa nam na odhaczaniu pozycji z listy spraw do załatwienia. Wyczerpani po całym dniu, wieczorem padamy na łóżko, aby przespać się parę godzin, tylko po to, aby nazajutrz ponownie wpaść w kołowrót automatycznego działania. Mknijemy przez życie na autopilocie, ledwie pamiętając, co się wydarzyło poprzedniego dnia. Gdy wszystko jest rutyną, staje się to pomijalne, niezdatne do zapamiętania i martwe. Włączamy „tryb domyślny” i w nawykowy sposób funkcjonujemy. Jednocześnie wydaję nam się, że doskonale wiemy, co się z nami dzieje, kim jesteśmy i dokąd zmierzamy.

Psychoterapeuta Wojciech Eichelberger podkreśla, że dzięki niewygodom żyjemy pełniej. Doświadczamy życia intensywniej, bo poza strefą komfortu wystrzają się nasze zmysły: słuch, wzrok, węch, dotyk. A to dlatego, że nie możemy postępować rutynowo, automatycznie, schematycznie. Stajemy się więc obecni w swoim życiu, jesteśmy tu i teraz. Kreatywni i otwarci.

Prawdziwa obecność, świadomość i uważność wymagają zatrzymania się, włożenia wysiłku i pewnej odwagi. Obecność to nie jest „tryb domyślny”. Możemy poczuć, że stykamy się z innymi poziomami swojego życia – takimi, które zawsze istniały, a z który-

mi nie mieliśmy kontaktu. Świadoma obecność tu i teraz oznacza „zetknięcie się z życiem”. Ta chwila, tu i teraz, jest jedynym momentem, w którym jesteśmy naprawdę żywi.

WOLNOŚĆ I ODPOWIEDZIALNOŚĆ

To dwie strony jednej monety. Walczymy o wolność, korzystamy z niej i ją doceniamy. Jak jest z odpowiedzialnością? Czy mamy świadomość jej związku z wolnością? Któż z nas nie bywa mistrzem w rozpraszaniu i przerzucaniu odpowiedzialności na innych? Ponadto wciąż mylimy od-

ność i mogą mieć wpływ na decyzje, które podejmujemy każdego dnia. Jak bowiem rzucić znienawidzoną pracę, gdy mamy na głowie spłatę kredytu przez najbliższe 20 lat? Konsumpcyjny model życia, korporacje, gospodarka oparta na wzroście, rywalizacja i porównywanie się z innymi budzą apetyt na dobra materialne. Czy jesteśmy już w tej mroźkowskiej niewoli?

W świecie rządzoneym przez sprzedaż i konsumpcję postawa celowego ograniczania stanu własnego posiadania bywa postrzegana jako ekscentryzm lub nawet szaleństwo. Dla wielu z nas może to być wyzwanie. Tym bardziej że nie zmagamy się tylko z powszechnym modelem życia, ale

wpływ na każdą, nawet na pozór najbardziej błahą aktywność, którą podejmujemy. Cud życia to proces bardzo ulotny. Każdy nasz oddech jest jednym oddechem bliżej do śmierci. To od nas zależy, co zrobimy z tym życiem, które nam się przytrafiło.

POŁĄCZENIE Z NATURĄ

„Człowiek jest jedynym stworzeniem, które nie zgadza się być tym, czym jest” – to słowa Alberta Camusa. Jesteśmy jedynym gatunkiem, który na co dzień funkcjonuje w odcięciu od natury. Możemy miesiącami nie mieć kontaktu z przyrodą, funkcjonować w klimatyzowanych pomieszczeniach i pojazdach. Unikamy lasu, nie pozwalamy naszym dzieciom biegać po łące („bo kleszcze”) czy wchodzić na drzewa („uważaj, bo spadniesz”). Żadne zwierzę nie jest równie jak my odłączone od swoich naturalnych instynktów. Za wszelką cenę odcinamy się od tego, co w nas samych postrzegamy jako dzikie, naturalne i pierwotne. Dzikosć stała się synonimem zła, niebezpieczeństwa. Zapominamy, że jesteśmy zarówno ciałem, jak i umysłem, że jesteśmy jednością, i to kompletną.

Potrzebujemy odzyskać i poczuć swoje połączenie z naturą, ze światem, sobą samym, z innymi ludźmi i istotami. W osobistym, intymnym doświadczaniu tych niezwykłych powiązań i wzajemnych połączeń doznajemy tego, co najbardziej niezwykle i co nazywamy przeżyciami duchowymi. Bezpośredni, fizyczny kontakt ze sobą i z otaczającymi nas istotami żywymy oraz światem przyrody pozwala nam doświadczać transcendencji. Większość uczuć, które nazywamy religijnymi, większość mistycznych uniesień, tych szczególnie cenionych, użytecznych i pożądaných reakcji naszego gatunku, to w istocie doświadczenie i zrozumienie, że człowiek jest powiązany z rzeczywistością, tą znaną i tą niepoznawalną.

Potrzebujemy wyjść z domu, ubrudzić się ziemią, dbać o ogród, wyruszyć na spacer do pobliskiego lasu, doświadczać swojej cielesności, poczuć wysiłek fizyczny, być blisko swojego oddechu i bicia serca, czuć wiatr na swojej skórze, chodzić boso po łące, odżywiać się naturalnie, podziwiać życie zwierząt, zorganizować z przyjaciółmi piknik na trawie, zgubić się podczas wędrówki, przemoknąć w letnim deszczu, spać pod gołym niebem, a w upalny dzień wskakiwać z dziećmi do zimnej rzeki. ●



*Łukasz Łapiński

● psycholog i menedżer specjalizujący się w rozwoju i wdrażaniu niestandardowych rozwiązań w zakresie ochrony środowiska i działań na rzecz klimatu

Nowy serwis



Czytaj na:
wysokieobcasy.pl/zyclepiej



powiedzialność z poszukiwaniem winy i winnego. Winni są Bóg, los, geny, wydarzenia z przeszłości, wychowanie w takiej rodzinie, inni ludzie, społeczeństwo, wyjątkowe okoliczności, w których się znaleźliśmy, itd. Odpowiedzialność jest zawsze gdzieś poza nami.

Brené Brown ujęła to tak: „Jeśli weźmiesz odpowiedzialność za swoją historię, będziesz mógł napisać jej zakończenie”. Z kolei Jung uświadamiał sobie: „Nie jestem tym, co mi się przydarzyło. Jestem tym, kim postanowiłem się stać”. Świadome branie odpowiedzialności za swoje decyzje i działania oznacza przejście więcej niż połowy drogi do bycia aktywnym, zdolnym zmieniać zastany status quo, zmieniać swoje życie i otoczenie. Dlaczego nie cieszyć się odpowiedzialnością w taki sam sposób, jak potrafimy radować się swoją wolnością?

ŚWIADOMA KONSUMPCJA

„Kupujemy rzeczy, których nie potrzebujemy, za pieniądze, których nie mamy, żeby zaimponować ludziom, których nie lubimy” – tak uchwycił istotę kultury konsumeryzmu Tyler Durden, bohater kultowej powieści „Fight Club” Chucka Palahniuka. Sławomir Mrożek dostrzegł w tym drugie dno: „Być niewolnikiem rzeczy to niewola jeszcze doskonalsza niż więzienie”. Thoreau z kolei pisał: „Zdobycwszy to, co potrzebne do życia, może jednak dokonać innego wyboru niż zdobywanie nadmiaru, może się teraz zdobyć na odwagę i żyć”, i dalej: „Bogactwo człowieka proporcjonalne jest do liczby rzeczy, z których potrafi zrezygnować”.

Kredyty, długi finansowe i brak oszczędności to jeden z ważnych czynników naszego stresu, gniewu i depresji. Ograniczają naszą wol-

również, a może przede wszystkim, z samym sobą. Podjęcie tego wyzwania wymaga wysiłku i pewnej dyscypliny.

Droga może prowadzić przez zrozumienie słów „wystarczająco” i „dosyć”. W czasie studiów niewiele miałem i jeszcze mniej potrzebowałem. Czulem się wolny i szczęśliwy, otoczony grupą bliskich mi i ważnych dla mnie ludzi. Mojemu życiu towarzyszyła lekkość. Gdy wprowadziłem się do mojego pierwszego mieszkania, starannie je wyremontowałem i wyposażylem. Zaprosiłem najbliższych przyjaciół na parapetówkę. Do dziś pamiętam, że zupełnie nie potrafiłem cieszyć się ich obecnością. Przez cały wieczór zmagalem się bowiem ze sobą pochłonięty obawą, czy ktoś z gości nie popłami mojej nowej kanapy.

WDZIĘCZNOŚĆ

„Zwykło się uważać za cud chodzenie po powierzchni wody czy unoszenie się w powietrzu, ale myślę, że prawdziwym cudem jest chodzenie po ziemi” – powiedział buddyjski mnich Thích Nhất Hanh. Albert Einstein mawiał, że można przeżyć życie na dwa sposoby: żyć tak, jakby cuda nie istniały, albo też tak, jakby wszystko było cudem. Wdzięczność ma tę właściwość, że chwila, w której ją odczuwamy, zazwyczaj wolna jest od lęku, smutku, trosk czy też gniewu. Większość z nas nie jest w stanie równocześnie doświadczać wdzięczności i stanów destruktywnych.

Umiejętność doznawania wdzięczności ma znaczenie fundamentalne dla wszystkich relacji, które tworzymy z innymi ludźmi, ze światem i z sobą samym. Prawdziwa wdzięczność nie ogranicza się do myśli o niej. To głęboki stan poruszający każdą cząstkę naszego ciała i umysłu, który ma

Weekendówka
36



Autorem wielu haseł jest **Radosław Leniarski**

RAJDÓWKA

Albert Honoré Charles Grimaldi w 1889 roku objął tron Monako. Niewielkie księstwo zawdzięcza mu pierwszą w historii konstytucję, ustanawiającą parlament i rząd – obaloną zresztą przez samego księcia wraz z wybuchem I wojny światowej.

Albert rozwinął też w Monako sieć kasyn, miał duże zasługi na rzecz oceanografii i eksplorowaniu mórz i oceanów, interesował się archeologią, podróżami i odkryciami.

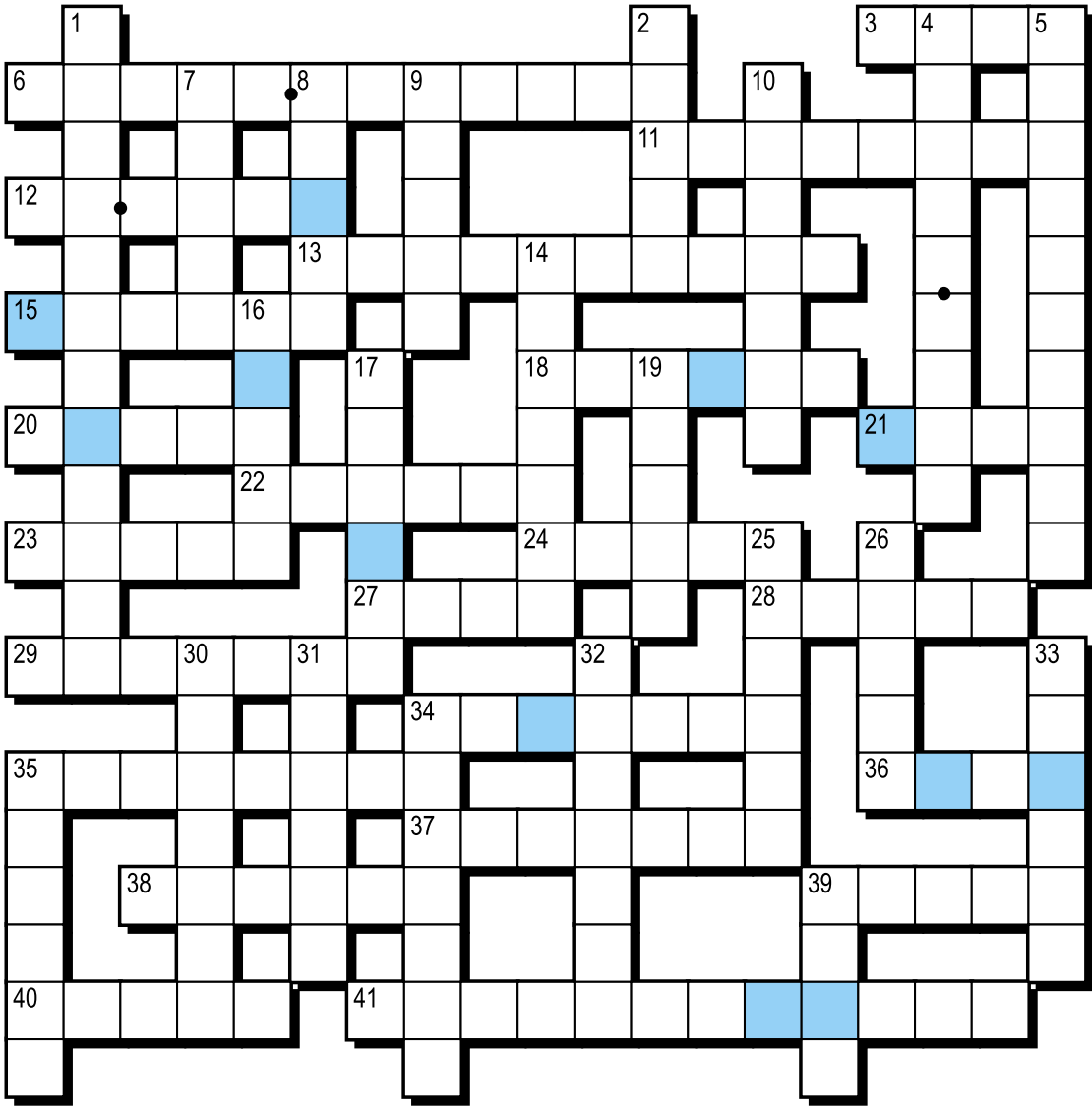
Albertowi także zawdzięczają kibice sportowi pierwszy na świecie rozgrywany cyklicznie rajd samochodowy (co ciekawe drugą najstarszą tego typu imprezą jest Rajd Polski, który zadebiutował 10 lat później). Rallye Automobile Monte Carlo, bo tak się oficjalnie nazywa, rozpoczął się 21 stycznia 1911 roku. Zgłosiło się 23 kierowców, którzy wystartowali z kilku europejskich miast, m.in. Paryża, Brukseli, Berlina, Wiednia czy Genewy. Ich zadaniem było dotarcie do Monako. Nieproste wcale zadanie zważywszy na stan ówczesnych dróg, trudne warunki pogodowe – oblodzone trasy! – wreszcie, stopień technicznego zaawansowania maszyn.

Oceniano nie tylko to, kto pierwszy zamelduje się na mecie, ale również pokonany dystans, czy parametry samochodu – jego wygląd, stan, w jakim dotarł na metę, czy komfort podróżowania. Pierwszym triumfátorem został startujący z Paryża Francuz Henri Rougier, jadący autem Turcat-Mery 25Hp. Wyprzedził J.A. de Aspiazu – za kierownicą Gobrona oraz Juliana Bentlera, który jechał Martini. Żadna z tych marek samochodowych już dziś nie istnieje.

Rougier w uznaniu rozlicznych zasług – był też pilotem, zdobywał nagrody za odległość lotu – został uhonorowany najwyższym francuskim odznaczeniem, Legią Honorową. A Rajd Monte Carlo rozgrywany jest do dziś, choć od 1997 roku zmieniła się jego formuła i nie jedzie się już do Monako z różnych punktów startu. Najwięcej triumfów w Rajdzie Monte Carlo mają rodacy Rougiera, Sebastien Ogier i Sebastien Loeb (wygrał też ostatnią edycję), po 8.

Dlatego dziś „Weekendówka” na rajdowo i samochodowo. A o pomoc w ułożeniu haseł poprosiliśmy Radosława Leniarskiego, dziennikarza „Gazety Wyborczej”, korespondenta na dziewięciu igrzyskach olimpijskich. Radek uwielbia boks, lekkoatletykę i kolarstwo oraz, co dla nas najistotniejsze, samochody w każdej postaci. Relacjonował jako naoczny świadek debiut Roberta Kubicy w Formule 1, jego pierwsze podium oraz powrót do ścigania. A zatem – start! ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 35 z 14.01:

Poziomo:

- 2) Pisarski 6) Tequila 7) Dżok
9) Argos 11) Kiopek 13) Fafik
14) Kora 15) Ketmir 17) Saba 19) psy
20) Odie 21) Lady 23) Rowlf
24) Karusek 26) Biały Kieł 28) Cezar
30) Jip 32) Rin Tin Tin 34) Kozak
36) Lassie 39) Central Park
40) Reksio 41) Śliniak

Pionowo:

- 1) Cujo 2) Pankracy 3) Sprocket
4) Idefix 5) Goofy 8) Beethoven
9) akita 10) Snoopy 12) Cerber
16) Szarik 17) Scooby-Doo 18) Bella
22) Gromit 25) Kern 27) Łajka
29) Anielka 31) Puszek 32) Rzecki 33)
Nana 35) Alex 37) Staś 38) Łapa

HASŁO: **PSI PATROL**

RAJDÓWKA

Hasła Radosława Leniarskiego oznaczono inicjałami (RL). Literę w kolorowych polach, czytane kolejno z góry, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 3) mleko na drodze rajdowca (RL)
6) obowiązkowo wypełniające przez uczestników rajdu
11) wciska gaz przed hopką, bo za nią może być prosta (RL)
12) 24 h ..., francuski wyścig, którego pierwsza edycja odbyła się w 1923 r.
13) ster rajdówki
15) Sobiesław, kierowca rajdowy z lat 60. i 70.
18) ... Sainz, hiszpański kierowca rajdowy

- 20) Rafał, zwycięzca 36. edycji Rajdu Dakar (quady)
21) ... Lauda, austriacki kierowca wyścigowy
22) pewnie pod takim imieniem znalazby Sennę kibice, gdyby był brazylijskim piłkarzem a nie wirtuozem F1 (RL)
23) na czele klasyfikacji
24) Janusz (zm. 2004), trzykrotny mistrz Polski w rajdach samochodowych
27) kibice
28) technika jazdy w kontrolowanym poślizgu (z ang.)
29) sztuczna przeszkoda na trasie rajdu
34) ulubiona cytryna Sebastiena Loeba (RL)
35) w nazwie rajdu kojarzącego się z Kryterium Asów

- 36) drużyna, zespół
37) minimalna ... czasów, nierzadko decyduje o zwycięstwie
38) „ale urwał!” Najczęstsza przyczyna zakończenia przed metą wyścigu F1 (RL)
39) jedno z państw, przez które przebiega trasa Rajdu Safari
40) Leszek, czterokrotny rajdowy mistrz Polski
41) tam ścigają się na tzw. Owalu, a triumf opijają mlekiem (RL)
Pionowo:
1) Kajetan, siedmiokrotny zwycięzca Rajdu Barbórka
2) wymagający, gdy szlak biegnie po bezdrożach
4) Wielka nagroda. Robert Kubica zdobył ją tylko raz, w Kanadzie w 2008 r. (RL)

- 5) są najpiękniejsze w komedii „Ci wspaniali młodzieńcy w swych szalonych gruchotach” (RL)
7) pokonywana przez uczestników rajdu
8) gaz do ...! (wpisujemy w mianowniku)
9) najszybszy koń mechaniczny na świecie w latach 2013-2018 (RL)
10) Jacek, ściga się na motocyklu
14) ... specjalne, czyli oesy
16) legendarny Rajd odbywający się dziś w Arabii Saudyjskiej (RL)
17) ... tankowania, wyznaczana na trasie rajdu
19) World ... Car, czyli WRC
25) meta Grand Prix górskich mistrzostw Polski z Sopotu (RL)

- 26) w duecie z kierowcą rajdowym
30) Jutta Kleinschmidt, pierwsza ..., która wygrała Rajd Dakar
31) Petter Solberg lub Mads Østberg
32) ojczyzna najszybszych Sebastienów w historii rajdów samochodowych (RL)
33) odcinkowy ... prędkości, wytapuje drogowych „rajdownców”
34) w tym sporcie pierwszy raz zetknęli się Robert Kubica, Lewis Hamilton, Niko Rosberg (RL)
35) kręcone na pustych parkingach
39) wyścig przełajowy, czyli w trudnym terenie

Leszek Rydz

Byle do

Weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z **App Store**

POBIERZ Z **Google Play**